

PLATE
SARAH
E.

JÓZEF KORZENIOWSKI

KOLLOKACJA

Z WSTĘPEM I OBJAŚNIENIAMI

KONSTANTEGO WOJCIECHOWSKIEGO
PROFESORA UNIWERSYTETU LWOWSKIEGO

WYDANIE DRUGIE

INSTYTUT
BADAN LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

2883

<http://rcin.org.pl>

NAKŁADEM KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ



23.120

WSTĘP

Stosunek „Kollokacji“ do „Żydów“ i „Spekulanta“.
Dnia 10 lutego 1846 pisał Korzeniowski do przyjaciela swego, Karola Wittego: »Romans mój pod tytułem *Spekulant*... jest już w ręku Zawadzkiego (księgarza). Mam nadzieję, że się da czytać. Napisałem go, przepisałem i posłałem na dwa tygodnie przed Bożem Narodzeniem. Od tej pory nie miałem pióra w ręku — i podobno nie prędko wezmę się do pisania, chyba że mnie co od was zaelektryzuje. W głowie mojej teraz tak pusto, w sercu tak tęskno, że nie wiem, czy już się co urodzi kiedykolwiek. Czuję to sam, że się wyekspensowałem kompletnie i głowę moją, jak pusty worek, można teraz przewrócić i wytrząść, nie wyleci ani grosz« (Kazimierz Witte *J. K., Notatki biograficzno-literackie*. Tygodn. ilustr., 1888). Tymczasem po tem wyznaniu niemocy zabrał się Korzeniowski, jak to często autorom się zdarza, do pracy twórczej i dał powieść nową: *Kollokację*. Wyszła ona w roku 1847, a łączy się wielu węzłami z komedją Korzeniowskiego *Żydzi* (1843) i z powieścią p. t. *Spekulant* (1846). Powtarza się w niej w warjacjach podobny tamtym wątek osnowy: ojciec (opiekun), chciwy, samolub, radby wydać córkę za czło-

wieka bogatego, nie myśląc o jej szczęściu. Bohater (w *Kollokacji* i w *Żydach*) jest biednym ale szlachetnym młodzieńcem, liczy się z wolą ojca, przeciw niej nie odważy się na krok stanowczy, podepce raczej swe własne szczęście. Bohaterka znów (także w *Spekulancie*), to istota energiczna, śmiała — z narzuconą sobie wolą potrafi walczyć. Są nawet podobieństwa w szczegółach. Mniejsza o analogje w sposobie zaznajomienia się bohatera i bohaterki i w nagłym zrodzeniu się uczuć (w *Spekulancie* i *Kollokacji*), mniejsza i o to, że tu i tam bohater ma siostrę dobrą, czulą, która poznaje się z bohaterką i stanowiąc z nią kontrast, obdarza ją lkliwą przyjaźnią — co jest jakby echem dwu kontrastowych przyjaciółek z romansu richardsonowskiego, russowskiego i naszych powieści sentymentalnych, począwszy od *Malwiny* — ale nawet motyw zwrotu w powodzeniach spekulanta, załamanie się linii, dążącej do czasu stałe ku górze, powtarza się tu i tam, jak znów w *Kollokacji* i w *Żydach* powtarza się postać szanownego ojca bohatera romansu z charakterystycznymi poglądami na jeden z warunków szczęścia w małżeństwie.

Toteż wspomniane trzy utwory, rozważane razem, są zjawiskiem zajmującym, są objawem pozostawania autora przez czas dłuższy w sferze tych samych pomysłów, a jak zobaczymy, także w sferze problemów istotą swą bardzo do siebie zbliżonych. I jeszcze jedno spostrzeżenie da się uczynić: *Kollokacja*, łącząc zagadnienia poruszone w *Żydach* i w *Spekulancie*, wysuwa jedno z nich (kwestję „spekulanta”) na czoło i szerzej je ujmuje; równocześnie zaś wyjaśnia zajęte w opowieści o pannie Klarze stanowisko autora/końcówki problemu: czy istnieje

nieomylny głos serca i jak zachować się w razie kolizji «uczuć wyższych» i «uczuć niższych». Fakt, że z tem wszystkim w *Kollokacji* się spotykamy, może należy przypisać w części głosom opinii publicznej po ukazaniu się *Żydów* i *Spekulanta*.

Komedję *Żydzi* oceniła krytyka bardzo pochlebnie, *Spekulanta* bardzo surowo. Zdaniem jednego z przedstawicieli ówczesnych »postępowców«, Edwarda Dembowskiego, Korzeniowski komedję swą wprost się unieśmiertelnił, albowiem wystawił w niej śmiało »szachrajstwa magnatów wołyńskich, których dla ich niecności żydami nazywa«. Natomiast na *Spekulanta* uderzono równocześnie z kilku stron, a Józef B. Dziekoński piętnował »sens moralny« powieści, dający się — według krytyka — streścić w słowach, że »miłość na świecie jest niepotrzebna, ponieważ zawodzi«, i że »posłuszeństwo bezwarunkowe uszczęśliwia, bez względu na uczucie nawet odrazy«¹. Toteż może powodowany chęcią odzyskania względów krytyki, nie tak dawno laskawej dla autora, podejmuje Korzeniowski w *Kollokacji* ponownie problem *Żydów* i może celem sprostowania błędnych wniosków, wysnutych przez krytyka z lektury *Spekulanta*, powraca w nowej swej powieści do zagadnienia, które ściągnęło na głowę autora nieoczekiwane gromy. Gdyby przypuszczenie to było trafne, mielibyśmy do czynienia z ciekawem, choć powtarzającym się niejednokrotnie, zjawiskiem oddziaływania krytyki na jednostkę twórczą.

Coprawda, także w *Spekulancie* oglądaliśmy »żydów«: »żyda w czamarce« i żyda w palacu (Augusta

i Chorążego), ale tam nie przeciwstawiono im żyda w chalacie, z żydostwa ich nie uczyniono problemu. W komedji prezesowi Zadzirnowskiemu przeciwstawia się Aron sam, mówiąc: »ja żyd, bo nie chcę dać więcej, jak pięć od sta; a jak się nazywa ten, kto chce wziąć piętnaście?«, w *Kollokacji* oświecić ma jaskrawo sylwetkę prezesa Zagartowskiego postacią »szczególnego żyda« Szlomy. Prawda, Szloma jest prawą ręką prezesa, »wszystko daje na kredyt, a potem zagrabi, co się urodzi«, bowiem »natura żydowska przemogła« w nim, ale przecie stoi Szloma od prezesa, nawet wtedy, gdy jest wykonawcą jego planów, pod względem etycznym znacznie wyżej. »Odgadli się prędko obaj, bo cel ich był jednaki, chociaż sposób zapatrywania się na środki, które do niego prowadziły, niezupełnie tenże sam« (Rozdz. II). Szlomie przyświeca ideał szlachetniejszego życia, i dlatego rad uczy się od Starzyckiego, co to jest »ludzkość« (R. V), dlatego »ze lżą w oku« mówi o szlachetności Kamilli (R. XV) i spełnia dokładnie jej zlecenia po śmierci prezesa, i dlatego wygłasza pod koniec powieści zdanie: »Im więcej myślę nad przeszłością, tem więcej pragnę rozkazów pani. Ja czuję, że nie był stworzony do szachrajstwa i mógłbym być czem innem się zająć« (R. XVI). »Piękną i wyższą naturą« nazywa Szlomę bohaterka romansu (R. XV). Więc kontrast, kontrast nie mniej bijący w oczy jak prezes Zadzirnowski, hrabia Ponicki i Aron Lewe — i tendencja ta sama, ta, która się tak podobała krytykom: gardzić żydami, a są wśród was gorsi niż żydzi.

A problem głosu serca i posłuszeństwa rodzicom? *Kollokacja* ma właśnie tę rzecz wyświecić. W *Spekulancie* Klara się pomyliła, tam miłość »napadła« bohaterkę »jak

złodziej z zasadzki«, ale z tego nie wynika, jak wywnioskowali krytycy, by autor nie uznawał głosu serca. Owszem, *Kollokacja* dowodzi, że go uznaje. Gdy bohaterka powieści mówi do ojca, że Bóg nazaczył jej tego, kogo ukochała, za towarzysza w tem życiu, on zaś, ojciec, sądzi »w grzesznej dumie«, że lepiej wie »niż niebo«, czego jej do szczęścia potrzeba (R. XIV), wypowiada, jak to z przebiegu akcji wypływa, przekonanie autora. Miłość może więc być również głosem Bożym, a wówczas błędzą rodzice, gdy chcą postanowić coś głosowi temu przeciwnego. Ale i dzieci nie powinny iść wbrew woli rodziców — »uczucie niższe« musi ustąpić »wyższemu«. Rozumie to bohater romansu, poddając się woli ojcowskiej, i rozumie bohaterka, wyrzekając się małżeństwa z ukochanym, bo idzie jej o miłość ojca i jego błogosławieństwo. Jest to stanowisko jasne, jakby odpowiedź na wszystkie zarzuty, które spadły na autora z powodu »sensu moralnego« przypisywanego *Spekulantowi*.

Związek z powieścią Balzaka. Pan prezes Zagartowski jest »żydem«, ale jest jeszcze czemś więcej niż »żydem«. Pan prezes to nietylko »szachraj wołyński«, to jednostka groźna, która dusi wszystkich naokoło i ciąży na wszystkich zmorą. W osobie pana Molickiego oglądaliśmy spekulanta posagowego, bez skrupułów, nikczemnika, ale ostatecznie postać dla szerszego otoczenia nieszkodliwą, — pan prezes to wielki spekulant, spekulant zupełnie już w stylu Balzaka, przyczajony, bezwstydnny, straszny z swą miną pobożną (czem i Milezka fredrowskiego i moljerowskiego Tartufa przypomina), niszczący z zimną krwią szczęście rodzin, mistrz w zakładaniu niezawodnych

min, idący do celu przebojem a chytrze, z systematycznością aż zdumiewającą. Odrazu przypominają się balzackowskie figury, takie jak de la Batdraye, Nucigen, Cointet, Du Tillet, Grandet. A zwłaszcza dwaj ostatni. O panu Du Tillet (w *Córce Ewy*, która nie pozostała bez wpływu na *Spekulanta*) mówi jego nieszczęśliwa żona: »morderstwa na gładkiej drodze wydają mi się aktami miłosierdzia w porównaniu do pewnych kombinacyj finansowych. Nucigen i on (Du Tillet) tyle dbają o to, że zrujnują kogoś, ile ja dbam o ich przepychy. Często przyjmują tutaj biedne ofiary: ludzi, których bilans słyszałam dnia poprzedniego... Ten wspaniały pałac jest prostą jaskinią« (w przekł. Boya, *Bibl. B. T.* 47, str. 21). Wobec Natana udaje Du Tillet przyjaciela, równocześnie zaś omota tuje go w długie, by go zgubić (zawadza mu bowiem), żąda splacenia weksli, a gdy to niemożliwe, chcąc dobić Natana zupełnie, radzi mu, ażeby pożyczył potrzebną sumę u lichwiarza Gigonneta, daje mu nawet list do swego współnika. Ma metody* niezawodne. Z tem wszystkiem, mimo podobieństwa metody i tej samej bezwzględności, pan prezes Zagartowski jest tylko powinowatym Du Tilleta, a potomkiem w prostej linii »pocziwca« Grandeta z *Eugenji Grandet* (1833), posiadacza trzynastu folwarków i starego opactwa, wyznawcy idei »zaokrąglenia« (»powrócił..., przejęty myślą zaokrąglenia margrabstwa Froidfond przez połączenie z niem wszystkich dóbr swoich« (przekł. Marji Trzczińskiej, *Bibl. najceln. utworów*. Warszawa, 1880, str. 16). »Pocziwiec« Grandet »miał coś ze zwinności tygrysa i dusiciela, umiał się położyć, przyczaić, wpatrywać się długo w swoją zdobycz, skoczyć na nią... Kłóż w Saun

szponów stalowych?» (str. 12); »Kiedy mówiono do niego, słuchał obojętnie, trzymał podbródek w ręce prawej, opierając łokieć prawy na lewej ręce...« (str. 13). W lichwiarskich jego interesach dopomaga mu jego prawa ręka, p. Cruchot. Zupełnie nie bacząc na godziwość środków, żyje »pocziwiec« myślą o »zaokrągłaniu«, gromadzeniu. »Postać ta oznajmiała niebezpieczną przebiegłość..., samolubstwo człowieka przywykłego do skupiania swych uczuć w rozkoszy skąpstwa i w jedynej istocie, która miała pewne znaczenie: w córce Eugenji, jedynej jego dziedziczce« (str. 14). Cóż dziwnego, że »pocziwiec«, marząc o zięciu miljonowym, wybucha, gdy jego córka zakochała się w ubogim krewnym, że potrafi jej powiedzieć: »jeżeli z powodu tego świszczypalki płaczesz, daj sobie pokój, moje dziecko, on sobie hul, hul pojedzie do Indyj. Już go nie zobaczysz...« (str. 55). »Pocziwiec«, rozmawiając, trzyma podbródek w ręce prawej, opierając łokieć prawy na lewej ręce, ale w chwilach odpowiadających tym, w których prezes Zagartowski puszcza tęgiego młynka, on jąka się bardzo systematycznie, a kiedy pan prezes zawołałby »Jezus Marja«, on, jego protoplasta, ma także swoje zakłęcie, choć inne (»na kozik mego ojca«).

Pan prezes jest tedy postacią nietylko w stylu wielkich balzakowskich spekulantów, ale z rysami przypominającymi żywo »pocziwca« Grandet'a. Ważniejsze, że jest w powieści postacią naczelną (jak Grandet), że przedstawia problem, który nie przycichnie, nie zniknie, jak w *Spekulancie*, by ustąpić miejsca problemowi innemu, dla autora ważniejszemu. Operacje finansowe pana prezesa są nie czemś ubocznem w powieści, owszem zajmują tyle

uwagi czytelnika, co miłość Kamilli; co więcej, miłość jest uzależniona od tych operacyj-spekulacyj, nie jest ona jedynym motywem konstrukcyjnym, jest tylko jednym z kół, jak w mechanizmie życia tak i osnowy i akcji powieści. Więc prezes to typowy balzakowski finansista-potwór, sobowtór Grandeta, a *Kollokacja* to jakby jedno ogniwo z łańcucha *Komedji ludzkiej*? W twierdzeniu takim byłaby przesada. *Kollokacja* obejmuje mniejsze pole, mniejszą sferę interesów ludzkich; ukryte sprężyny działań są i tu, ale niema obrazu namiętności i walk społeczeństwa—jest to raczej mikrokosmos, może dlatego także, że terenem akcji jest nie Paryż, lecz tylko Szyszkowce. Sam zaś słodziutki prezes, acz urodził się z ojca Grandeta, ucywilizował się nieco, wobec córki nie jest tak bezwzględny, jak balzakowski »pocziwiec«, nie popada w manję czcicieli złotego kruszcu.

Także i w osnowie *Eugenji Grandet* i *Kollokacji* zachodzą różnice tak stanowcze, że wątek polskiej powieści uznać należy za oryginalny. Wprawdzie Eugenia, jak Kamilla, choć natury to odmienne, potrafi wobec ojca zająć stanowisko surowo obiektywne (»od tej chwili zaczęła sądzić swego ojca« — str. 63), wprawdzie potrafi mu się opierać, traktować go nawet z dumą (str. 116, 117), a nawet potrafi być bardzo stanowczą i zagrozić mu śmiercią własną (str. 127), wprawdzie i ona po śmierci ojca zostaje sama, a majątek odziedziczony nie jest dla niej »ani połęgą, ani pociechą«, wprawdzie i ona s płaca wszystkich wierzycieli (stryja) w haniebny sposób wyprowadzonych w pole i skrzywdzonych przez »pocziwca«, jej ojca, wprawdzie »ręka tej kobiety opatruje tajemne rany wszystkich rodzin« — a ona sama »idzie ku niebu w towa-

rzystwie orszaku dobrodziejstw«, niemniej jednak łagodna Eugenja to nie stanowcza Kamilla, jej ideał Karol to nie Józef Starzycki i głos jej serca nie jest głosem Bożym. Także, choć nagradza krzywdy, wyrządzone przez swego ojca, kieruje się głównie względem innym, nie tym, który popycha do czynu bohaterkę *Kollokacji*, mianowicie chce przede wszystkim upokorzyć dawnego swego narzeczonego. Inne też zupełnie tu i tam ostateczne rozwiązanie wątku erotycznego, a rzecz jasna — pomysłu »kollokacji« w romansie francuskim ani śladu.

Źródło pomysłu kollokacji i kollokatorów. Skądże wziął się ów pomysł, a jeszcze przedtem, co nazywano »kollokacją«? Słownik języka polskiego wyjaśnia ten wyraz w sposób następujący: 1) wyposażenie, 2) wykaz wierzycieli podług kolei, jaką mają być splaceni, 3) wieś szlachecka, podzielona na części należące do różnych właścicieli. Korzeniowski oczywiście użył wyrazu, o który chodzi, w trzecim jego znaczeniu. W samym zaś pomysłe trzeba rozróżnić zasadniczą jego stronę, t. j. wogóle pomysł wprowadzenia do utworu drugiej warstwy, przeciwstawionej sferze wyższej, i pomysł pokazania takiej właśnie warstwy, jaką oglądamy w powieści, a nie innej, żyjącej w pewnych określonych szczególnych warunkach. Otóż koncepcja dwu sfer z jaskrawo znaczącymi się różnicami obyczajowymi po *Walterze Skocie* i po *Panu Tadeuszu* nie była już nowością. Ale nie był nowością i pomysł pokazania »kollokacji« i »kollokatorów«. W *Kraszewskiego Latarni czarnoksiężskiej*, która wywarła pewien wpływ na *Spekulanta*, znajdziemy satyryczny obrazek życia w »majątku rozbiorowym«, t. j.

w kollokacji. Widzimy mianowicie (w T. IV, w rozdz. II) ogromną wieś »państwo niezgody, sporów, procesów i klótni«. »Kollokatorowie« siedzą »na dziesięciu, trzech i na jednym nawet chłopie«. Jedną z osób powieści, pan August, tak objaśnia swego siostrzeńca (bohatera): »Wieszże, co to życie w takim rozbiorowym majątku, gdzie sąsiad potraça sąsiada, gdzie ogród graniczy z ogrodem, dom z domem, dziedziniec z dziedzińcem, gdzie codzienny spór o kury wpadające do ogrodów, o ścieżki, któremi chodzą, o bydło zajęte w szkodzie i Bóg wie o co jeszcze« (str. 51). Że pan August był spostrzegaczem dobrym, tego wnet mamy dowody. A więc obrazek: »maleńki dworek, podobniejszy do chałupy«, a »przed nim dwie jejmości w perkalowych szlafrokach, krochmalnych czepkach, wzięwszy się pod boki, rozprawiały tonem najwyższego gniewu: — Powiadam wasani, mówiła jedna, jak ten smarkacz raz jeszcze będzie mi wyrządzał psoty, to go każe złapać i różgami osiec« i t. d., na co jejmość druga: »...chcesz wasani wojny, to dobrze, tylko się strzeżcie, żebyście tak nie wyszli, jak mój sąsiad drugi...« (str. 52—3). A wnet obrazek inny: »ekonom« kollokatora pana Zabrzezińskiego z »ekonomem« pani Polityłowej »o mało się załby nie brali o jakąś dziewczynę, co zbiegła z jednej części i poszła służyć do drugiej« (str. 53), i znów inna scena: w pokoju gościnnym kollokatora Antoniego. Tam »na dwóch gierydonach po kątach ustawiono mnóstwo porcelany różnego rodzaju, srebrną cukierniczkę, srebrne lichtarze, robione kwiatki«, ale nie brak i »masielniczki«, po którą, gdy gość zjawił się niespodzianie, wpada kozaczek, a za nim »bosa i rozczochrana dziewczyna« — po butelkę stojącą na stole. Jejmość do gości »ustroiła się»,

wystąpiła w czepeczku z ponsowemi wstążkami. Nic to jeszcze, oglądamy strój cały: »szlafrok rozpuszczony tybetowy, perły na szyi i czystą chustkę do nosa w rękę« (str. 57). Cóż, kiedy pan Antoni ma nietylko małżonkę znającą się na strojach, ale i sąsiadkę, babę »piekielnicę«, i to o miedzę. Zatrzuwa mu ona życie. »Żeby co posiać w ogrodzie, żeby jak pilnować, wyjedzą, wybiją, wybiorą, wyniosą...« Więc kollokatorowie z *Latarni czarnoksiężskiej* to bardzo bliscy krewni tych z powieści Korzeniowskiego, podobne ich grzechy, pretensje, śmieszności. Kraszewski nie różniczkował ich tak, jak Korzeniowski, nie wycieniał, nie uwypuklił, ale — zdaje się — swoim obrazem »majątku rozbiorowego« poddał młodszemu koledze myśl rozwinięcia i zużytkowania wdzięcznego tematu. Wyrażono przypuszczenie, że niesforna charkowska grupka Polaków dała Korzeniowskiemu wzór niesfornej rzeszy szlacheckiej w Czaplincach. Możliwe, że i stamtąd wziął autor nasz niektóre rysy, możliwe i prawdopodobne, że na własne oczy widział jakichś kollokatorów, ale potrąceniem była według wszelkiego prawdopodobieństwa lektura czwartego tomu *Latarni* i ona, zdaje się, wpłynęła na wybitnie satyryczne zabarwienie scen z życia czaplinińskiej gromadki.

Echa z romansu sentymentalnego. W powieści, która dzięki rozczytywaniu się w Balzaku ma charakter realistyczny, a dzięki i własnemu usposobieniu Korzeniowskiego i poddawaniu się wpływowi autora *Latarni czarnoksiężskiej* — satyryczny, w znacznie silniejszym natężeniu niż *Spekulant*, są jednak jeszcze wyraźne echa romansu sentymentalnego. Miłość występuje w *Kollokacji* jako

uczucie żywiolowe i nieodparte — wszak Bóg, wyrok wyższy, przeznaczył oboje kochanków dla siebie. Bohater, dowiedziawszy się, że jest kochany »tak silnie«, »zbladł jak trup, upadł na krzesło, zakrył twarz obiema rękami i lzy szczęścia, bólu i trwogi puściły się z jego oczu...« i t. d. (R. VIII). Na widok ukochanej powstaje, ale musi chwycić się krzesła, »bo nogi pod nim drżały«, poczem pada do nóg panny i woła »w uniesieniu«: o! mój aniele... (tamże). Ona także płacze, mdleje. Ostatecznie jednak podobne objawy miłości zdarzają się i wśród kochanków niesentymentalnych, gdy przed wzajemną miłością piętrzą się przeszkody. Ale w *Kollokacji* są sceny całe jakby przeniesione wprost z nieznacznymi zmianami z *Wertera*, czy z którejś z werterjad, czy z *Malwiny* ks. Wirtemberskiej: »Bądź zdrów! bądź zdrowa! panna Kamilla wyrwała się z rąk jego (Józefa) i jak mgła zginęła między drzewami. Księżyc już zachodził, ciemniało na dworze, a jeszcze ciemniej było w jego duszy. Nareszcie poszedł... w inną ulicę..., skąd było widać jej okno. Okno było otwarte i oświetlone, a panna Kamilla stała w niem z zalamanemi rękami... Ukląkł pan Józef zdaleka, wyciągnął do niej ręce, jęknął głęboko, jak gdyby z tym jękiem serce miało się rozskoczyć, i uciekł...« (R. XI). Ależ to jakby żywcem skopjowane z pożegnania *Wertera* z *Lottą* lub *Ludomira* z *Malwiną*! Pan Józef o tyle tylko nie wytrwał w roli, że powinien był nie uciec, lecz paść na ziemię. A cóż za typowy dekoracyjny obraz w epilogu — typowy dla romansów sentymentalnych, znów z zakrywanym przez chmury księżycem, z szumem drzew. Przytem cmentarz, bohater czarno ubrany oparty o grobowiec, bohaterka w żałobie z zakrytą twarzą (R. XVI). A patos w dia-

logach miłosnych (także i pseudoklasyków coprawda przypominający), a deklamacje, dalekie od realizmu! Wszystko to echa romansu sentymentalnego, dowody pilnej lektury potomstwa *Nowej Heloizy*. To też *Kollokacja* przedstawia ciekawy typ powieści jako zespolenie romansu balzakowskiego, o zabarwieniu satyrycznym, z romansem jeśli nie wprost aż sentymentalnym, to w każdym razie o wybitnych znamionach sentymentalizmu.

Rola obserwacji. Mówiliśmy dotychczas o stosunku *Kollokacji* do dzieł literackich, także dzieł własnych Korzeniowskiego. Ale powieść nie jest tylko odbiciem wpływu lektury, Korzeniowski nie jest naśladowcą, daje on wiele wprost od siebie, dzieli się owocami własnych spostrzeżeń i przemyśleń. Punkt widzenia jest balzakowski, autor dostrzega w życiu groźnych, przyczajonych eksplloatatorów i ich ofiary, balzakowskie są dwa wątki, rysy i Du Tilleta i w wyższej mierze »pocziwca« Grandeta ma pan prezes, ale świat w *Kollokacji* jest polski, ludzie, z którymi obcujemy, to dobrzy nasi znajomi, ich zaś obyczaj to także obyczaj nasz własny. Z pewnością wiele tam figur zaobserwowanych, począwszy od pani Podziemskiej, s¹ ńczywszy na panu Plachcie. Ponoś nawet podobizny członków najbliższej rodziny autora znajdują się w *Kollokacji*: dziadek i babka Starzyccy to mają być ojciec i matka Korzeniowskiego. Wiadomo, że Korzeniowski, kiedy nabył dom w Krzemieńcu, pomyślał zaraz o sprowadzeniu do siebie rodziców, a wówczas ojcu przypadła rola nietylko »dziadzia familijnego«, ale i troskliwego hodowcy jarzyn ogrodowych. »Dziadzio« był zacny, wesoly, ciągle wyśpiewywał piosnki, ale był też i krewki, a gdy

obcy rząd kazał mu udowodnić szlacheckie pochodzenie, doszło do sceny, która omal nie skończyła się katastrofą. Pamiętajmy też, że z osób, wprowadzonych do powieści, do szkół krzemienieckich uczęszczał i Józef i Ignacy Zahorowski i Szłoma. Czy Korzeniowski nie mógł się spotkać w życiu z jakimś Szłomą, dawnym swym kolegą, czy Szłoma z romansu nie wygląda na portret osoby żywej? Nie potrafimy wskazać z niezawodną pewnością, co w *Kollokacji* wyrosło z bezpośrednich spostrzeżeń, ale czujemy, że jest ich tam bardzo wiele.

Budowa powieści. Budowa powieści, jak w *Spekulancie*, odznacza się prostotą, przejrzystością, doskonałym ustosunkowaniem części do całości, świadcząc o wszechstronnej rozwadze autora. Cztery pierwsze rozdziały tworzą ekspozycję. I znów, jak w *Spekulancie*, podany najdokładniej czas (rok 1838), miejsce (Wołyń, powiat starokonstantynowski, majątek Szyszkowce i kollokacja Czaplince). W r. I zaznajamia nas autor z bohaterką i bohaterem i odrazu zadzierzga węzeł osnowy erotyczny, by w r. II odsłonić treść wątku drugiego: plany zaborcze prezesa. Rozdział III daje nam poznać nowe środowisko (dom rodziców bohatera) i pozwala dorozumiewać się, że dojdzie do walki dwu sił: pieniężnej i moralnej, i że ta walka musi wpłynąć rozstrzygająco na rozwiązanie wątku erotycznego. Poczem (w r. IV) znów nowe środowisko: kollokatorowie, przyszłe ofiary zaborczości prezesa. — Od rozdziału V-go rozpoczyna się rozwój akcji i wytwarzają się zawikłania. Bohaterka obmyśla środki, któreby mogły doprowadzić do zwycięstwa uczuć miłości, ale jeden z tych środków (podsunięcie ojcu przypuszczeń, że oddanie ręki

Henrykowi Podziemskiemu nie byłoby jej niemiłe) okazuje się zawodnym, zwraca się przeciw bohaterce: sama ona stwarza swemu ukochanemu rywala (r. VI i VII). Wątek erotyczny rozwija się jednak dalej (w r. VIII spotkanie się zakochanych i rozmowa), poczem (w r. IX) oba wątki zyskują równouprawnienie: prezes zarzuca na swe ofiary sieci coraz gęstsze, między bohaterem zaś a rywalem dochodzi do pojedynku, co powoduje dalsze następstwa, w szczególności wyjawienie uczuć bohaterki dla ukochanego wobec jej ojca; dalszy rozwój wątku erotycznego, coraz silniej łączącego się z wątkiem drugim, aż wreszcie wątek erotyczny osiąga punkt martwy (bohater zwycięża się, bohaterka zapewnia ojca, że bez jego woli nie odda ręki nikomu). Teraz jednak chwilowo zapominamy o losach dwojga kochanków, a całkowicie zajmujemy się problemem wielkiego spekulanta i osaczonej przez niego zwierzyny, poznajemy sposoby, podkopy pana Zagartowskiego, wieńczone skutkiem (r. XII i XIII), natomiast bezpośrednio potem (w r. XIV) oba wątki spójają się: bohaterka zażąda od swego ojca zawrócenia z drogi, którą kroczył, rzucając groźbę dla niego najstraszniejszą (punkt kulminacyjny), co zadecyduje o dalszym postępowaniu prezesa (perypetja). Epilog obu wątków (rozwiązanie) zawierają rozdziały końcowe (XV i XVI-ty): to kara, która spada na wywłaszczyciela, ekspiacja win ojca przez córkę, połączenie się kochanków; i o rywalu nie zapomni autor: za jego pracę wewnętrzną nad sobą obdarzy go nagrodą.

Poznać odrazu, że powieść budował dramaturg. Świadczy o tem właśnie w szczególach przemyślana architektonika, umiejętnie skonstruowana ekspozycja, stop-

niowanie efektów dramatycznych w wątku miłosnym, doprowadzenie do punktu martwego, by dojść do punktu kulminacyjnego, poczem do perypetji i rozwikłania. Wy-
padki postępują w porządku czasowym, i raz tylko
(w r. IX) autor, jak objaśnia, musi »cofnąć się cokolwiek
wstecz«, ale powodem tego jest drugorzędny wzgląd kom-
pozycyjny (chodziło o powiązanie faktów).

Różnorodność środowisk. Metoda charakteryzowania postaci. Ugrupował autor postaci, jak to już w części wska-
zано, według środowisk, do których przynależą. Spoty-
kamy się mianowicie z trzema środowiskami. Jedno to
dom prezesa, drugie — współwłaściciele kollokacji. Te
dwie strony stoczą z sobą walkę (nierówną); ale i w domu
prezesa jest postać (bohaterka powieści, córka ojcu nie-
podobna), która nietylko nie ma nic wspólnego z pla-
nami ojca, ale będzie im przeciwdziałała, i wśród kollo-
katorów jest rodzina (Starzyckich), odrzynająca się pod
każdym względem jaskrawo od środowiska. Trzecie zaś
środowisko to dom pani Podziemskiej. Wprowadzenie
tego środowiska było autorowi potrzebne z rozmaitych po-
wodów: poucza nas ono, że wśród sfer zamożnych może
panować taka sama lekkomyślność, jak wśród szlachty
drobnej, służy do rozsnucia problemu wychowawczego,
dostarcza wątkowi erotycznemu żywiołu pobudzającego
(motyw rywala), wreszcie spełnia rolę kontrastu (prezes
i pani Podziemska, Józef i Henryk). W tej grupie jest też
i komisarz, potrzebny głównie do tego, by pani Podziem-
ska wystąpiła tem jaskrawiej jako typ i jaśnie wielmożnej
pani i przedziwnie niedoleżnej i lekkomyślnej admini-
stratorki swych dóbr. Natomiast Siedlowski charaktern

tej grupie nie nadaje, ale gdyby nie on, nie miałby kto nauczyć Henryka konnej jazdy, a w ślad zatem nie byłoby pojedynku i jego następstw.

Poza kollokatorami z wszystkich postaci najtroskliwiej wycieniował autor postać prezesa, Kamilli i Szlomy, tak, że na nich, głównie zaś na dwu pierwszych, skupia się uwaga czytelnika. Łatwość, z jaką nawet niezbyt wprawny czytelnik potrafi sobie odtworzyć charakterystykę tych figur, mówi dobitnie o sztuce autora. Błąd natomiast — jak dawno zauważono — jest bohater wątku erotycznego, kopja również dość bezkrwistej postaci: młodego Staroświeckiego z *Żydów*. Postać to, dla której autor, zdaje się, nie miał wzoru żywego, kiedy bowiem wzór żywy istniał, wówczas i tekturowy nieco dom Starzyckich potrafił dostarczyć takiej charakterystycznej figury jak gorączka dziadzio. Są też jeszcze, tradycją literacką przekazane, nie karykatury może, ale pół-karykatury: Henryk Podziemski i panna Beldeau. Ostatnia była już w onej nawet dobie w powieści typem konwencjonalnym, a zbyt żywo przypominała guwernantkę panny Róży z *Latarni czarnoksięskiej*, miss Fanny, która także była »poczwarznie brzydka, poczwarznie wystrojona, z czerwonymi włosami, żółtą, pergaminową twarzą, czarnymi zębami..., wystrojona w kokardy i wstęgi« (I, 64—5). Z postaci epizodycznych powiódł się natomiast Siodłowski, ale i on ma protoplastów, począwszy od niemcewiczowskiego Soroki.

Metoda charakteryzowania postaci pozostała ta sama, co w *Spekulancie*. Ważną rolę odgrywają i tu gesty i ruchy (»młynek« pana prezesa! — błyskawiczny lub powolny, zależnie od momentu), znamienne, powtarzane przez figury powieści słowa (»Tak i moja żona mówiła«

w ustach pana Pożyczkowskiego, »zjadłby mi sto djabłów który z moich wiarusów« w ustach pana Siodłowskiego i t. d.). Indywidualność dykcji zaznacza się głównie w stereotypowo powracających wyrażeniach i zwrótach figur epizodycznych (gdy słyszymy: »Ej, pluń jaśnie wielmożny pan na to«, wiemy, że pan Siodłowski musi być w pobliżu). Z osób ważniejszych tylko Szłoma ma swą dykcję swoistą (popelnia błędy i poprawia się; kiedy daje »słowo honoru«, lub mówi o »zmęczeniu moralnem«, wymawia frazesy te »z pewną pretensją« i »z przyciskiem«, a lubi wtrącać takie książkowe ozdóbki). Raz pokusił się Korzeniowski (w r. IX) o odtworzenie dykcji człowieka prostego (masztalerza) przez utkanie jej z rozmaitych »at«, »Panie odpuść«, »djabli nadali«, »taj«, »dawaj lecieć«, »dawaj bić«. Dykcja panny Beldeau nie jest niczem więcej jak tylko wydwarzaniem polszczyzny (»jak wy głupca zajechała«). Natomiast i ojciec Starzycki, i syn, i Kamilla nawet, i nawet Henryk mają skłonność do popadania w patos, — jednaki, bez względu na to, która z osób nim się posługuje. W *Spekulancie* patos tak się nie rozwielił.

Dialog. Sceny zbiorowe. Pejzaż i natura martwa.

Partyj dialogowych jest w *Kolokacji* więcej, niż w pierwszej powieści Korzeniowskiego, ale rola dialogu nie uległa zmianie. Bywa on czasem cięty, zwłaszcza gdy autor każe pewnym osobom powieści staczać z sobą jakby pojedynkę, gdy jednej z osób każe powtarzać charakteryzujące ją powiedzenia, a drugiej zaraz na to reagować. Tak pani Podziemska w rozmowie z panem prezesem stale powtarza: »Mój komisarz mówił mi«, na co on stale: »A! pani

komisarz, ja komisarza nie mam». Czasem, również jak w *Spekulancie*, posłuży autorowi dialog (w r. XI) do wypowiedzenia ustami czyjemiś własnych poglądów na ważne zagadnienia.

Niejednokrotnie zestawiano *Kollokację* z *Panem Tadeuszem*: tam Dobrzyn, tu Czaplince, tu i tam kłótniwa, niezgodna szlachta, tu i tam oglądamy charakterystyczne sceny. To podobieństwo oczywiście istnieje, ale o ile chodzi o metodę kreślenia scen zbiorowych, która w *Panu Tadeuszu* zabłysła mistrzostwem w scenie rady w zaścianku, Korzeniowski odbiegł dość daleko od techniki Mickiewicza. Bo sceny zbiorowe są i w *Kollokacji*, a terenem ich Czaplince. Pierwsza z nich to feta u państwa Plachtów na imieniny »samej pani«. Obaczmy, jak przedstawiona? Najpierw zjawia się pan Plachta (we fraku cy-namonowym), odbywa przegląd, przestawia meble, a równocześnie zwija się »jak mucha w ukropie« spotniały Żorż. Potem wchodzi do pokoju Plachcina w przyklejającej się do »obszernego« ciała aksamitnej sukni, potem panny Plachciani, poczem »zaczęli się... schodzić i zjeżdżać goście«. Ale i teraz autor pokazuje ich kolejno: najpierw pana Biruckiego z żoną i synami (tu portrety), potem pana Skrętskiego również z żoną i z pociechami (znów portrety), potem pana Zarzyckiego i Cepowskiego (scena powitania, ze Skrętskim ostatnio przybyli się nie witają). »Tym sposobem dopełniała się kompanja, schodzili się ubożsi i drobniejsi posiadacze...«. Tak autor od siebie. Wrażeń ruchu, gwaru nie odbieramy. Potem jeszcze pojawiają się podkręcający wąsa panowie Smyczkowscy (znów portrety, kostjумы i charakterystyka od autora), i teraz dopiero scena ożywia się. Ale nie dzięki dialogowi, lecz

opowiadaniu autora o »dowcipnych« figlach braci. Wreszcie wkracza pan Jakób (znów wygląd, kostjum). Ożywienie sceny potęguje się dzięki śpiewom domorosłego Orfeusza, jego pytaniom po każdej strofce: »a co?«, dzięki relacjom autora, jak audytorjum przyjmuje wokalne popisy artysty, ale dialogu niema i teraz, a wrażenie gwaru osiąga autor wyłącznie wtrącaniem uwag takich, jak: »wszyscy prawie krzyknęli«, »tym razem wszyscy huknęli brawo«, i t. d.

To feta; ale jest i »rada« (w r. XIII), wielka rada celem stworzenia związku obronnego. Najpierw opowiada autor sam, jak Skrętski, który wszystkich zebrał, »objawił swoje myśli, wyłożył całą chytróść postępowania prezesa«, poczem oddaje autor głos inicjatorowi zebrania, i pan Skrętski woła »z zapalem«: »Chce nas wydziedziczyć, chce z torbami puścić...«, przyczem bije ręką o stół. Tu już wkracza tłum: Zgoda! zgoda!... Przymierzmyż sobie jedność... Przymierzamy, przymierzamy!... — i znów krótkie odezwanie się pana Skrętskiego. Słowem technika początku rady dramatyczna, ale od powtórnego zabrania głosu przez pana Skrętskiego metoda autora zmienia się, rozpoczyna się opowiadanie, relacja autorska (zresztą barwna i dobrze szlachtę charakteryzująca, z podkreśleniem, jak związkowcy piją, czyje zdrowia wnoszą, co, kłęzcząc, wołają).

Mamy więc do czynienia ze stylizacją rady, jednak niezupełnie na modłę rad, ciągnących się długim szeregiem od obrazu obrad sejmikowych w *Janie z Tęczyna* i od rady w Zaścianku w *Panu Tadeuszu* (obydwa obrazy zrodziły się pod wpływem Waltera Scotta i jego technikę obrały za wzór). Radzie w *Koltokacji* brak dramatyczno-

ści, nietylko mickiewiczowskiej, ale nawet walter-scotowskiej. Dodajmy nawiasem, że epilog rady: przyjęcie delegacji przez pana Starzyckiego, przypomina epizod w *Panu Tadeuszu*: Starzycki tak samo patrzy na skuteczność obrad jak Maciej, tak samo brać szlachtę oblewa zimną wodą, acz nie unosi się jak Różeczka.

Czy scenom zbiorowym w *Kollokacji* odmówimy wartości artystycznej dlatego, że mniej w nich niż w *Panu Tadeuszu* żywiolu dramatycznego, znacznie mniej dialogu, że autorowi łatwiej kreślić grupki niż całość, że przeważa w tych scenach żywiol opisowy? Nie. Obie sceny w *Kollokacji* są wyborne, zwłaszcza pierwsza, tylko metoda kreślenia ich jest w znacznej mierze różna. Autor, jak powiedzieliśmy, stylizował sceny zbiorowe, mniej dbał o wywołanie wrażenia życia, rzeczywistości, bezpośredniości, więcej o to, by posługując się w części techniką dawniejszą, uschematyzować w pewien sposób obie sceny, by ten schemat nadał im pewną swoistą barwę, barwę komizmu. Wszak stworzył raz nawet jakby obraz z żywych osób, przypominający *tableau* z *Rewizora* z *Petersburga*: »Zasiedli w kółko na krzesłach, każdy ze swoim listem w ręce. Siedzieli tak długo w milczeniu, w milczeniu poważnem i uroczystem, jak niegdyś owi senatorowie rzymscy na krzesłach kurulnych, gdy oczekiwali Gallów« (R. XII). I tu nie o realizm obrazu chodziło Korzeniowskiemu, nie o wywołanie złudzenia rzeczywistości czy choćby prawdopodobieństwa.

Jak w *Spekulancie*, tak i w *Kollokacji* przyroda niewiele zajmuje autora. »Nazajutrz dzień był jasny i pogodny. Lekki przymrozek ściągnął wilgotną ziemię« —

powie mimochodem (R. V) i przechodzi do akcji powieści. Krajobraz szeroki nakreśli raz (w r. I), ale wartością jego malarską się nie zainteresuje, natomiast zwróci uwagę na — żyzność gleby. Pewną wartość nastrojową nada obrazowi porównanie lasów do szkieletów i uwydatnienie, także przez porównanie, melancholijnego blasku słońca. Czasem posłuży autorowi pejzaż do uwidocznienia kontrastu uczuć którejś z osób (wiosenna odzież lasów, skowronki, i cierpienia bohatera, który z swą ukochaną »miał się żegnać — na zawsze«, R. X), czasem będzie tworzył *pendant* do nastroju jednej z postaci, jak w rozdziale XI, o czym jeszcze będzie mowa. Raz opis wiosny, z wszystkimi zresztą konwencjonalnemi przyborami (w r. XVI), będzie miał zupełnie ten sam cel, co w *Spekulancie* (w r. XXXII): pozwoli nam zrozumieć »nieograniczoną tęsknotę«, jaką poczuła bohaterka romansu. Opisy domów i wnętrza domów i izb są, dawniejszą metodą autora, schematyczne, ale — także dawniejszą metodą — charakteryzują mieszkańców (gabinet prezesa, dom Hipolita Starzyckiego). Raz tylko odstąpił Korzeniowski od schematu i pozwolił Czaplince oglądać jednej z osób (Kamilli), skierowując uwagę obserwatorce i czytelnika na »najpokazniejszy« z dworków i na dym unoszący się z komina tego domu, na kształty i barwy dymu. Natomiast domu państwa Plachtów nam nie pokazał, powiedział tylko, że dach był dziurawy, ściany obszarpane i t. d. (Porówn. Wstęp do wydania *Spekulanta* w *Bibl. Narod.* Nr. 25).

Humor, komizm i satyra. Metody stylizacji postaci i scen komicznych. Stanowisko zasadnicze autora wobec przedmiotu jest dwójakie: watek erotyczny traktuje po-

ważnie, wątek drugi, który uzmysławiają nam stosunki prezesa z kollokatorami — humorystycznie. Z humorem także przedstawia same Czaplince: ludzi i ich obyczaje, ich wady i śmieszności, a także niektóre postaci do gromadki czaplinieckiej nie należące.

Samo wprowadzenie w wątek powieści jest humorystyczne z domieszką ironji: autor ośmiesza sposoby, w jakie »zaczynają się zwykle powieści tkliwe, zabawne lub nauczające« (sam połączył wszystkie trzy rodzaje), by »zacząć od rzeczy najbardziej krajowej... od błota« i zwrócić uwagę czytelnika na »muzykę kopyt końskich, kłapiących o rzadkie błoto«. Jednakże w tym tonie nie wytrwał. Powracając często do dowcipów, do ironizowania, umieszczał jednak partje, jak właśnie wspomniano, traktowane serjo, lub też wpadał w humor satyryczny, posługiwał się komiką. Wogóle wielkie tu bogactwo odcieni humoru, znacznie większe, niż w *Spekulancie*. Często na plan pierwszy wybija się satyra, satyra nielitościwa, w tem znaczeniu, że autor drwi z pokazanych postaci, bawi się zresztą nimi, czasem wybornie, ale zupełnie z nimi nie współczuje. Zajmuje wówczas stanowisko ironiczne, pokazuje jakby teatr marjonetek w mniej lub więcej karykaturalnych strojach, z nieco karykaturalnymi ruchami, gestami, przypatruje się im, nibyto obchodzi się z nimi poważnie, ale na ustach jego spostrzegamy drwiący uśmiech. Tak się dzieje, ile razy powiedzie nas do Czapliniec, z wyjątkiem do dworku Starzyckich.

Tam, w tym dworku, wobec postaci krwistego dziadka i zacnej babuni stanowisko jego zmienia się. Ironja znika, a wprawdzie autor uśmiecha się także, wskazując okiem czeresniową łaskę / dziadka lub pokazując słuchać o-

wiadań o tem, co zaszło w domu pani Kurdwanowskiej, starościny baranowskiej, jednak sympatyzuje z dziadkiem najwidoczniej i szanuje go porównie z panem Hipolitem i panem Józefem. Nie mniejszą sympatją darzy babunię, choć wyjawia nam w zaufaniu, jak odmówiła »jeden pacierz za męża, jeden za dzieci, jeden za wnuków w ogólności, jeden za siebie, jeden za dusze zmarłe, a potem dwa cicha czem i osobno za pana Józefa«. A czy czujący »wielki pociąg« do Czapliniec, »wielbiciel pruskiej metody zaokrąglania«, pan prezes Zagartowski, to postać humorystyczna? Z roli swej raczej groźna, niejednokrotnie jednak czytelnik, patrząc na pana prezesa i słuchając go, uśmiecha się, autor bowiem, niezawsze wprowadzie ale często, zajmuje wobec tej postaci stanowisko humorysty. Z humorem porównuje go do Ludwika XIV-go, albowiem jak Ludwik XIV »posadziwszy na tronie hiszpańskim Burbona, wykrzyknął: Już niema Pirenejów!, tak prezes, usadowiwszy się w samym środku wsi, na którą oddawna czatował, pomyślał w duchu: już Czaplince moje!« (R. II). Z humorem, zaprawnym ironją, staje rzekomo na stanowisku wielkiego spekulanta, przyjmuje jego argumenty za prawdziwe i opowiada o tem, jak »prezes, który z biedy i jedynie przez ludzkość wlaźł w posiadanie części państwa Pożyczkowskich, postanowił według planu z niej korzystać« (IX). Jest to humor, z jakim traktowałby ktoś tygrysa, wyciągającego się i wysuwającego łapy, gdyby zapewniał: no, no, to pocziwe zwierzę...

Z humorem ironicznym kreśli autor sylwetkę pani Podziemskiej, ale jest to znów inny odcień ironji. Mówiąc jeszcze o prezesie, udaje autor, że wierzy w jego poczi-

wość, jasnie wielmożnością matki Henryka się bawi i potępia ją. Pan prezes nie jest komiczny, postać pani Podziemskiej przechodzi w komizm, dopóki ten komizm nie zabarwi się tragizmem.

Postacią humorystyczną z lekkim odcieniem komizmu jest imci pan Siodłowski, postaciami *par excellence* komicznymi są wszystkie figury kolokatorów z wyjątkiem rodziny państwa Starzyckich. Otóż, gdy o kolokatorów w szczególności chodzi, przy kreśleniu ich sylwetek cel satyryczny łączy się z komizmem i humorem, komizm i humor wspierają satyrę. Celem obrazków z życia Czaplinców było ośmieszenie wprowadzonych figur, ich wad rozmaitych, gwoli wywołania refleksji. Figury te są śmieszne przez swój wygląd, przez to, co mówią i czynią, są komiczne, ale budzą śmiech nietylko komizmem swym, lecz także dzięki sposobowi, w jaki je autor pokazuje, dzięki okreśnikom autora, epitetom, ubocznym uwagom. *Monsieur* Jakóba nazywa autor »Orfeuszem czaplincowym«, »synem muz«, każe mu ślać ku solenizantce pani Płachcinie »wejrzenie długie i mordercze«, zapewnia, że »wniósł radość do całej kompanji, dawszy jej, że tak powiem, przedsmak tej estetycznej rozkoszy, jaką ją miał nakarmić« (R. IV). Więc pan Jakób nietylko jest śmieszny, komiczny, ale i traktowany w odpowiedni sposób, z humorem, przyczem humor powiększa, podkreśla komizm postaci. Figurą komiczną jest także pan Pożyczkowski, ale stanowisko autora wobec tej epizodycznej kreacji jest również humorystyczne i również powoduje silniejsze uwypuklenie jej cech komicznych. Autor podziela np. niepokoje pana Pożyczkowskiego i mówi o nich jakoby poważnie, w szczególności wówczas, gdy

pan P. po wizycie u prezesa nie wiedział dobrze, »czy nie zrobił jakiego głupstwa i czy mu się za to nie dostanie od najdroższej połowicy«. Gdy wybuchła walka o gęs i gdy pani Placyda piskliwym głosem powiększała wrzawę, wpadł na tę scenę pan Skrętski »jako aktor czynny i straszliwy« (R. XIII). Epitet, użyty przez autora, jakoby w dobrej wierze, zgodnie z wewnętrznym przekonaniem pana Skrętskiego, który z pewnością swej roli w tej chwili nie lekcewał. Stale przeto nawet wobec postaci komicznych (pana Plachty, pani Plachciny i t. d.) zajmuje autor określone stanowisko, powiększając tem wrażenie komizmu tych kreacyj. Jakkolwiek bowiem komizm tkwi w przedmiocie, można go subiektywnym oświetleniem spotęgować, nadać mu pewną barwę. Czyni to humor. Wogóle zaś komizm od humoru nie zawsze da się oddzielić z niezawodną dokładnością.

Są i dowcipy autora, także różnego rodzaju i także przechodzące czasem w wyrażenia o piętnie humorystycznym. »Chodźże prędzej serce i gadaj, coś zrobił« — mówi pani Pożyczkowska do męża, poczem »wzięła — czytamy — serce za płaszcz i popchnęła do sieni, których drzwi wkrótce za tem dobranem stadłem z trzaskiem się zamknęły«. Otóż, gdy jejmość bierze serce za płaszcz, mamy do czynienia z dowcipem i tylko z dowcipem, ale gdy państwo Pożyczkowscy otrzymują miano »dobranego« stadła, autor wprowadzie także dowcipkuje (zestawiając przeciwieństwa), ale równocześnie oświetla swój stosunek do szanownej pary małżeńskiej: bawi się małżonkami i lekko ironizuje na temat zgodności ich pożycia. Gdy czytamy: »Państwo Plachtowie mieli także lokaja i niestety! z brudno-żółtym paskiem na koł-

nierz», westchnienie autora («niestety!») nietylko jest dowcipne, ale również świadczy, że autorowi łalana komiczność prezesa związku i jego połowicy sprawia nie-małą uciechę. I tak dalej. Jest tu islotnie mnóstwo od-cieni humoru, humoru łączącego się z komizmem, z dow-cipem, w celach satyrycznych lub bez tego celu. Bujno-ścią ową *Kollokacja* bliższa jest niż poprzednia powieść autora tym romansom Kraszewskiego, w których autor *Latarni czarnoksiężskiej* dawał upust swemu temperamen-towi. Ponadto spotykamy się w *Kollokacji* jakgdyby ze stylizacją pewnych przynajmniej postaci i scen komicz-nych, oświetlonych w sposób humorystyczny. O sce-nach zbiorowych już mówiliśmy, ale stylizacja obejmuje kręgi szersze. Celem wywołania efektu komicznego usta-wia autor dwójki osób jednakowo się zachowujących, jakby sobowtórów. Oto Pinia i Binia, obie »tluste, białe i nie-szpetne«, obie z jednakiemi manierami, równie biegle mó-wiące po francusku i tych samych zwrotów używające; oto bracia Smyczkowsy »jeden ze skrzypką w ręku, obwi-niętą czerwoną chustką do nosa«, drugi z klarynetem, »okręconym także chustką i także czerwoną... razem witali damy i razem mężczyzn...«. Obaj zawsze podkręcają wąsa równocześnie i zawsze albo z prawej albo z lewej strony (raz tylko jeden podkręca z prawej, drugi z lewej, co już jednak jest zapowiedzią czegoś niedobrego). Co więcej: stylizuje się relacje autorskie, według zgóry ułożonego schematu, powtarzając je prawie dosłownie. Mordko po-prosił kollokatorów o pieniądze. »Wszędzie mu natural-nie odpowiedziano, że niema«. Wówczas »zsumował cały dług, przyłożył do tej sumy dziesiąty procent i podając każdemu walorowy papier, żądał, aby mu każdy wydał

formalny weksel... Kontenci..., bo cóż to kosztuje wydać weksel, kiedy jeszcze dostarczają papieru, wszyscy wypełnili żądanie Mordki...». A wnet Szloma »gdy mu... odpowiedziano, że pieniędzy niema, zsumował także rewersiki..., przydał do całej sumy dwudziesty procent i podając każdemu walorowy papier, prosił o weksel... Każdy... chwycił się podanego środka..., bo cóż to kosztuje wydać weksel, kiedy jeszcze dostarczają papieru. Zrobili więc wszyscy, czego żądał« (R. XII).

W podobnym, jak powyższy, celu ustawia się cały szereg scen, przyczem nie traktuje się ich szerzej, z realizmem, lecz w skrócie, zadaniem bowiem tych scen nie jest odtwarzanie życia w jego objawach, lecz wywołanie efektu komicznego. Efekt ten powstaje dzięki analogji sceny do poprzedniej i następnej. Szeregowi zaś takiemu odpowiada szereg drugi, *pendant* do poprzedniego. Więc: Karczma — woła Remigjusz; karczma, tak jest — mówi Paweł. Podkreśają węża, odgrażają się, poczem postanawiają udać się do prezesa z prośbą i perswazją. Wszak to podobno gorzelnia — mówi Skrętski. Zdaje się, że gorzelnia — odpowiada Zarzycki. Krzyczą zaperzeni, odgrażają się i postanawiają udać się do prezesa z prośbą i perswazją. Taki sam obrazek przed kuźnią, przed owczarnią. Poczem *pendant* do tego szeregu: drugi szereg. Panu Skrętskiemu po gwałtownej kłótni z panem Zarzyckim »przyszła myśl światła«...; kazał więc natychmiast zaprzęgać konie, pojechał do prezesa i... »na złość panu Zarzyckiemu część swoją odsprzedał«. Pani Birucka po ostrych przycinkach wzajemnych z panią Plachciną »nie chciała ani chwili zostać w sąsiedztwie swojej nieprzyjaciółki i kazawszy natychmiast zaprzęgać... pojechała do

prezesa, któremu także na złość swojej sąsiadce część swoją odsprzedała». Toż samo czynią dwaj bracia »zgodni« (zgodnie przedtem wykropiwszy żyda) i toż samo pan Plachta, o czym autor opowiada prawie dosłownie lub dosłownie powtórzonemi zwrotami. Między trzecią a czwartą sceną tego *pendant* (tego drugiego szeregu) wtrącona trójka scen »powitalnych«, znów z jednaką stylizacją (pan Skrętski, spotkawszy pana Zarzyckiego, »ukłonił mu się z umizgiem i ironją«, pani Plachcina, spotkawszy panią Birucką, »wzięła się za poły i bardzo nisko dygnęła«, pan Remigjusz spoglądał na brata »z uśmiechem« i »z lewej strony wása pokręcał« — R. XIII). Istny teatr marjonetek, figurki, które wypowiadają słów kilka i znikają. Sytuację objaśni krótko ten, kto te figurki pociąga za sznurek, by wyskakiwały parami, ustawiały się w szereg, zmechanizowane tem zjawianiem się i znikaniem, śmieszne to jednaką miną gniewną, to jednakim uśmiechem. Jest to technika w romansie polskim (o ile wiadomo) nowa, celowi swemu doskonale służąca. Czytelnik, jak autor, staje się tylko widzem, bawi się temi »jasełczkami«, o tem, że są one wyrazem tragedji niemal, bo choroby, którą jest dotknięta cała warstwa społeczna, nie myśli. Sceny komiczne — przedstawione z humorem beztroskim. Balzak ich nie zna.

Ale po tych scenach, podczas tragedyj końcowych (r. XIV i XV), humor znika, i dopiero, gdy polecenia bohaterki wszystkie zostały wykonane, gdy i jej już zdawało się, »że słońce inaczej świeci«, powraca i autor do pierwotnego nastroju i każe panom Smyczkowskim pogodzić się i z lewej strony pokręcić wása i zgodnie podążyć po czekający na nich skarb, Pinię i Binję, a innym z mło-

dzieży nie czującym wstrętu do małżeństwa i posagu »rzucić się« do innych panien obdarowanych sówicie przez gładzącą winy ojca bohaterkę romansu.

Żywioł dydaktyczny. Poza humorem żywioł osobisty przejawia się, jak w *Spekulancie*, w różnego rodzaju — niezbyt licznych, znacznie mniej licznych niż u Balzaka — refleksjach autorskich, silnie natomiast, silniej niż w *Spekulancie*, w dydaktyce. Właściwie cała powieść ma charakter dydaktyczny. Dydaktyka tkwi w przeciwstawieniu panu prezesowi Szlomy, następnie w przeciwstawieniu dwu etyk, dwu poglądów na sposoby postępowania w scenie pojedynku słownego między prezesem a Hipolitem Starzyckim (R. XIV), a zupełnie wyraźnie w okazaniu skutków, do których doprowadziła szlachtę czapliniecką jej lekkomyślność, i w przeciwstawieniu tej szlachcie rodziny Starzyckich, z jej cnotami, zalecanemi już dawniej przez autora, z oszczędnością, pracowitością, »pobożnem poddaniem się«, umiarkowaniem. Są też, jak w *Spekulancie*, i nieoczekiwane zestawienia kontrastowe w celach pedagogicznych: pełne komizmu, huczne, nad stan przyjęcie u państwa Plachtów, poczem pytanie: »A państwo Starzyccy?« i odpowiedź: »U państwa Starzyckich było cicho, spokojnie...« i t. d. (R. IV), albo szeroko opisany karnawał w domach szlachty czaplinieckiej z »tańczącymi śniadaniami« i znów pytanie dość niespodziane: »A u państwa Starzyckich?« z odpowiedzią brzmiącą jak poprzednia: »U państwa Starzyckich było cicho, spokojnie...« (R. IX). Z artystycznego punktu widzenia te kontrastowe obrazy, wprowadzone autor-

skiem pytaniem, nie są dostatecznie usprawiedliwione, z pedagogicznego — najzupełniej.

Problem wychowawczy, którego zresztą autorowie powieści polskich nie unikali, owszem zajmowali się nim gorliwie, począwszy od Krasickiego w *Przypadkach Doświadczyńskiego*, przez Korzeniowskiego w *Spekulancie* ubocznie jednak zaledwie dotknięty, tu, w *Kolokacji* doczekał się szerokiego rozwinięcia. Pan Henryk Podziemski był autorowi potrzebny jako rywal, jako kontrast Józefa Starzyckiego, ale nadewszystko potrzebował go autor jako odstrasżającego przykładu, jak dzieci wychowywać nie należy. Przemówił pedagog, sprawami wychowania już z zawodu swego żywo się zajmujący, przemówił także obywatel, świadom ważności problemu dla społeczeństwa. Ale autor nie zepsuł kompozycji powieści wprowadzeniem tego problemu, zbyt go na czoło nie wysunął. Czasem tylko odzywa się w czytelniku lekki niepokój, czy o wychowaniu Henryka dowiaduje się nie za wiele, czy pozostaje to w dostatecznym związku z węzłem: prezes — Czaplince, Kamilla — Józef, a nawet Kamilla — Józef — Henryk. Od siebie autor oświeśla niewłaściwe, ba, zgubne wychowanie stosownym doborem wyrazów, a nawet wskazaniem winowajcy: »synek... wychuchany, a przez winę matki i jej przesadzoną miłość welinowy panicz, czytał tylko francuskie romanse...« i t. d. (R. VI) Najdosadniej jednak, co myśli o strasznych skutkach takiego wychowania, mówi ustami samego Henryka, kiedy ten wyrzuca matce, że zrobiła go »lalką nikczemną, głupią, trwożliwą, ani sobie ani ludziom nieużyteczną«, że nie posyłała go do szkół publicznych, pozabawiając go tak ważnego czynnika wychowawczego, ja-

kim jest emulacja, że sprowadziła do domu »jakiś-
 goś włóczęgę Francuza«, a potem pozwałała synowi »po-
 zerać... zgubne książeczki« i t. d. Długa to tyrada, niestety
 wygłoszona z patosem.

Z rozpanoszoną francuszczyzną walczy autor przy
 pomocy ironji. (O pani Podziemskiej mówi, iż »wolała
 pozwolić im — komisarzowi i ekonomom — robić, co by
 im się podobało, niż zadawać sobie przykrość w mówieniu
 językiem, którego nie umiała i nie lubiła, i częstą kon-
 wersacją z ludźmi tak ordynaryjnymi zepsuć sobie piękną
 francuską pronuncjacją«, R. VI). Ale czasem nie ironi-
 zuje, lecz niemal wpada w gniew, jak wówczas, kiedy za-
 powiada, że polszczyzny pani Włodzimierzowej imitować
 nie będzie, »bo to rzecz przykra, upokarzająca i niezabawna«. Zbyteczna dodawać, że z francuszczyzną w uży-
 ciu potocznym walczyli nasi powieściopisarze oddawna,
 począwszy od Tańskiej.

W celu nietylko lepszego scharakteryzowania »księż-
 niczki z domu«, ale również napiętnowania stosunku ja-
 śnie oświeconych dam do oficjalistów, ogólniej: w celu
 również dydaktycznym, by zwrócić uwagę na to, co wy-
 soce niewłaściwe, wprowadza autor dialog pani Podziem-
 skiej z jej komisarzem. Że na oku ma moral, świadczą
 słowa autorskie po dialogu: »Zapewne czytelników moich
 uderzyły wyrażenia: Czy ma? Niech czytał... Są to sposoby
 mówienia niektórych pań naszych, z domu księżniczek
 i nie-księżniczek, gdy mówią do niższych...« (R. VI).

Ale uwag, wypowiedzianych tonem człowieka po-
 drażnionego, w powieści wogóle bardzo niewiele, owszem
 są one wyjątkiem.

Korzeniowski nie poprzestał jednak na zachwalaniu

pobożności, oszczędności i pracowitości, na wykazywaniu zgubnych skutków wadliwego wychowania, na walce z francuszczyzną i ze »złą pronuncjacją polską«, na ośmieszaniu pyszałkowatości wielkich dam; chciał wznieść się na wyższe stanowisko moralizatorskie, a nawet filozoficzne i dlatego ustami Hipolita Starzyckiego nietylko biadał na »zamiary nad sferę, wydatki nad możność, dumę nad stan i urodzenie«, ale wyraził również pogląd, w czym źródło tego wszystkiego i jakie wyjście z onego błędnego koła. To, co się dzieje, to kara za winy przodków: »To powszechne szaleństwo, tę próżność ślepa i występna, uważam za powiew tego ducha zemsty, któremu poruczono nas karać za wielkie i ciężkie grzechy naszych ojców«. A rada: »Bez walki niema cnoty, bez cnoty niema zasługi; a nam potrzebna ogromna masa zasług, aby nam wyprosiła przebaczenie« (R. XI). O ile na wywody historjograficzne, które nam każą widzieć w »powszechnem szaleństwie« karę za winę przodków, moglibyśmy patrzeć z uzasadnioną podejrzliwością, o tyle praktyczną wskazówkę, jak się z »szaleństwa« uleczyć, uznać należy za nieco ogólnikową wprawdzie, lecz w zasadzie trafną. »Przebaczenia« jednak, jak z toku *Kollokacji* widać, potrzebowaliby nietylko ojcowie, ale i synowie.

Sądy o powieści, jej oryginalność, wartość i znaczenie. *Kollokacja*, jak i *Spekulant*, choć czytano ją żywo i z zajęciem, spotkała się z oceną surową. Pierwszy odezwał się Tyszyński w *Bibliotece warszawskiej* (1847), ocena ta wszelako — jak to już Chmielowski w *Dziejach krytyki literackiej w Polsce* stwierdził — nacechowana była uprzedzeniem. Zbyt wiele było w niej szyderstwa.

Późniejsi krytycy (w szczególności Tarnowski, w ostatnich czasach Mann w *Encyklopedji Akad. Umiej.*) zarzuty skierowują głównie przeciw postaci Kamilli, mianowicie przeciw jej postępowaniu, z którem autor zdaje się solidaryzować. Tarnowski gorszy się tem, że »panna Kamilla spada na ojca jak piorun i przy świadkach robi mu rachunek sumienia taki, że od spowiednika lub sędziego byłby ostry, a ona jest córką«, nazywa ją »mimowolnym ale prawdziwym powodem... śmierci« prezesa, dziwi się temu, że »panna Kamilla igra z włosami kłęczącego u swoich stóp mężczyzny i takiego jeszcze, którego widzi drugi raz w życiu«, gorszy go też jej miłość »obcesowa«, używanie przez pannę »żyda-faktora do... sercowych interesów«, a oburza go, iż panna Kamilla »w rok idzie za człowieka, którego miłość ojca (jej) przyprawiła o śmierć«. Otóż ze stanowiska moralnego — a i takie stanowisko mając krytyce wolno — zarzuty te, nie Kamillę oczywiście obarczające, lecz autora powieści — bo, mimo wszystko, dla autora »zawsze jest ona (bohaterka) tą samą, wzniosłą, idealną panną Kamillą« — nie są całkowicie bezpodstawne, i panny Zagartowskiej niktby zapewne młodym panią nie chciał za wzór stawiać; ale z punktu widzenia artystycznego postać tę należy uznać za nakreśloną poprawnie. Jest to natura śmiała, zdolna do szybkich postanowień, z trudem wielkim hamująca swe uczucia, skłonna do wybuchu nawet, stanowcza, niełatwo ustępująca. Tak została pojęta i tak konsekwentnie przez autora przedstawiona. Gdybyśmy jednak zajęli nawet stanowisko moralne czy moralizatorskie, nie moglibyśmy twierdzić, że »rozwiązanie« powieści jest »prawie oburzające«. I nie tylko rozwiązanie. Autor nigdzie nie powiedział, nie dał

poznać, że całkowicie solidaryzuje się z wszystkim, co czyni bohaterka powieści, natomiast wyraźnie powiada, że panna Beldeau »brzydka Francuzka bez nauki nie była w stanie poprawić w a d, jakie się w tem cudnem stworzeniu (w pannie Kamilli) zagnieździły«, że »postanowiła... pozwolić jej robić, coby się jej tylko podobało«, że ojciec wychowaniem córki »nie umiała... kierować«, że zatrudniony swemi zdobyczami charakterowi jej żywemu i s a m o w o l n e m u pozwolił rozwinąć się zupełnie. Jeśli to weźmiemy pod uwagę, nasunie się przypuszczenie, czy autor owszem nie chciał, jak na figurze Henryka Podziemskiego, tak i na postaci panny Kamilli pokazać, jak niepożądane — przynajmniej w części — owoce wydaje zaniedbane wychowanie. A rozwiązanie? czy jest ono istotnie aż »prawie oburzające«? Gdybyśmy przymknęli oczy na to, że Kamilla poczuwa się do ciężkiej winy, że czyni sobie gorzkie wyrzuty, że, dalej, stara się zatrzeć wszelki ślad grzechów ojca i krzywdy wyrządzone przez niego narodzić, moglibyśmy ją sądzić surowo, ale gdy zważymy, że skrucha jej była prawdziwą, a czyny po śmierci ojca świadczyły o jej szlachetności, to, choć za ideał jej nie uznamy, zawahamy się, czy w sądach wobec niej mamy być zbyt bezwzględni. Prawda, że Eugenja Grandet, choć także »zaczęła sądzić swego ojca«, choć w sercu jej zrywał się bunt przeciw jego tyranji, była lepszą córką, niż panna Kamilla; ale zato Kamilla, nagradzając krzywdy wyrządzone przez ojca, działała z czystszych pobudek, niż Eugenja. Możliwość nawet wyrazić przypuszczenie, że Korzeniowski, obrawszy za punkt wyjścia sytuację, w jakiej się znalazła Eugenja Grandet, ale obdarzywszy bohaterkę swego romansu innym temperamentem jak ten, który był

właściwością Eugenji, i obmyśliwszy jej uczciwego amanta, zapragnął w powieści swej doprowadzić sytuację taką do naturalnych konsekwencyj. Rozwiązanie w romansie Korzeniowskiego jest jakby protestem przeciw temu rozwiązaniu, z jakim spotykamy się w *Eugenji Grandet*.

Kollokacja to trzecie ogniwo w łańcuchu, który powieść nasza tworzy wraz z *Żydami* i *Spekulantem*. Autor poszedł w niej o krok dalej niż w dziejach pana Augusta Molickiego i panny Klary. Tam nakreślił postać małego spekulanta, tu spekulanta wielkiego; tam znalazły się wstawki satyryczne, tu satyra dotyka całej warstwy społecznej (być może nawet, że warstwa ta w myśli autora miała być wyobrażeniem ogółu polskiego w dobie autorowi współczesnej); tam odzywały się echa sentymentu, tu sentymentalizm, który zalewał Polskę kilku powrotnymi falami, objawił się w dość znacznym natężeniu, przemawiając nie tylko jakością i wyrazem uczuć, ale także pewnymi znamionami motywami sytuacyjnymi i nastrojowymi.

Na tem też polega oryginalność powieści. Działa ona na czytelnika głównie postacią i rolą prezesa i sylwetkami kollokatorów: grozą i siłą czającego się a czynnego zła i satyrą — na tych, którzy wobec wilka w baraniej skórze mają odegrać rolę owiec. Problem balzackowski traktuje autor na sposób mistrza — wzruszenia nie okazuje, złowrogie machinacje wielkiego spekulanta kreśli jak obserwator — ci jednak, którzy mają paść ofiarą nienasyconej żądzy jednostki bez skrupułów, nie budzą współczucia, budzą śmiech. A obok obrazu rozpętanej balzackowskiej siły zdobywczej, idącej przebojem, choć z użyciem sprężyn ukrytych, obok komizmu tych, którzy u Bal-

zaka śmiechu nie wywołują, wkracza — najmniej jednak wzruszając — żywioł sentymentalny właśnie, z dewizą »głosu Boga«, z patosem, z nastrojowymi nocami księżycowymi, z cmentarzem i grobowcem. Do tego przytula się dydaktyzm, z wysuwającym się od czasu do czasu i celowo rozwijanym problemem wychowawczym. Te elementy, w części sprzeczne, niezupełnie dały się pogodzić; na tle realistycznych obrazów żywioł sentymentalny odrzyna się dość jaskrawo i budzi niepokój, czy autor nie wsluchuje się w echa pieśni dawno przebrzmiałej i czy nie pozwala echom tym rozlegać się wśród środowiska, które dawno powinno było zapomnieć o omdleniach z gwałtownej miłości. Oryginalność tedy barwy i charakteru powieści, wynik zespolenia się w niej różnych elementów, nie rozstrzyga jeszcze bynajmniej o jej wartości; innemi słowy: wartość powieści nie opiera się na oryginalności jej barwy i charakteru. Polega ona na czym innym: na obserwacji, na plastyce postaci, w szczególności zaś na plastyce naczelnej figury powieści, t. j. pana prezesa, dalej na zdolności podpatrywania i rysowania śmieszno-stek figur z teatru marjonetek czaplinieckich, na oryginalnem stylizowaniu scen, na swoistej metodzie wydobywania efektów komicznych przez schematyzowanie i skróty, wreszcie na budowie całości utworu. Znaczenie zaś w dziejach romansu polskiego zapewnia *Kollokacji* nietylko plastyka figur i metoda ich kreślenia, i nietylko wdzięk architektoniki, ale także fakt, że jest ona udatną, głębiej niż *Spekulant* w istotę rzeczy sięgającą próbą przeszczepienia romansu balzakowskiego na grunt polski.

BIBLIOGRAFJA

Wyczerpującego studjum o Korzeniowskim, ani jako o autorze wogóle, ani jako o powieściopisarzu, niema.

Z prac ważniejszych, które bezpośrednio lub pośrednio odnoszą się do *Kollokacji*, wymienić należy następujące:

K. Widman: Józef Korzeniowski, studjum literackie, Lwów 1868.

F. H. Lewestam: J. K., studjum literackie, Biblioteka warszawska, 1875—6.

W. Marenne (Morzkowska): K. jako dramaturg i powieściopisarz, Niwa, Warszawa 1876 (T. X).

K. Kantecki: J. K. Przewodnik nauk. i liter., Lwów 1879, i Dwaj Krzemieńczanie, Lwów 1879 (T. II).

P. Chmielowski: Nasi powieściopisarze, serja druga, Warszawa i Kraków 1895 i J. K., jego życie i jego działalność, Petersburg 1898 (Życiorysy sławnych Polaków, Nr. 3).

M. Gawalewicz: K. o sobie (z nieznanych materiałów), Biblioteka warszawska, 1897.

S. Tarnowski: Historia literatury polskiej, Kraków 1900 (T. V, 433 i n.).

W. Jankowski we wstępie do wydania *Kollokacji* w »Arcydzielach polskich i obcych pisarzy«, Brody (b. r.).

M. Mann: Rozwój powieści w Polsce. Od roku 1831 do naszych czasów. Dzieje literatury pięknej w Polsce, cz. II. Encyklopedia polska, wydawn. Akademii Umiejętności, Kraków 1918 (T. XXII).

Przedruk *Kollokacji* w niniejszym tomiku Biblioteki Narodowej dokonany został na podstawie wydania z roku 1847 z zachowaniem wszystkich jego właściwości językowych.

KOLLOKACJA

Omnis faber et architectus, qui
noctem tanquam diem transigit, qui
sculpsit signacula sculptilia et assiduitas
ejus variat picturam, cor suum dabit
in similitudinem picturae.

SYRACH cap. XXXVIII v. 28.

Motto powyższe, wyjęte z Starego Testamentu z księgi Jezusa, syna Syracha,
t. zw. *Ekklesiastikus*, brzmi w przekładzie Wujka:

Tak każdy rzemieślnik i cieśla, który noc jako dzień trawi, i który
sygnety ryte rzeże, a ustawiczność jego czyni rozmaite malowanie, serce
swoje na podobieństwo malowania, wyda.

I.

Było to w roku 1838 — albo: podczas jednego pięknego poranku w maju — albo: w jednej z najrozkoszniejszych okolic Podola lub Polesia — albo: właśnie słońce miało się ku zachodowi, gdy... i t. d.

Tym sposobem zaczynają się zwykle powieści tkliwe, zabawne lub nauczające. Pozwolą mi jednak czytelnicy odstąpić od tych przyjętych form, i zacząć od rzeczy najbardziej krajowej, najbardziej charakteryzującej naszą żyzną prowincją w pewnych porach roku, to jest: od błota.

Otóż błoto było ogromne, jak zwykle bywa na Wołyniu w połowie października. Koleje pełne gęstej i brudnej wody nie pozwalały wymierzyć swej głębokości; po czarnej i rozmięklej ziemi błyszczwały tu i ówdzie jeziorka na trakcie i nawet na polach, przygotowanych do wiosennej siewby; we wsiach wszystkie płoty były obryzgane, wszystkie karczmy wyglądały pstrokato; wszędzie ludzie, dochodzący do wrót lub do drzwi domów, podkasani jak najwyżej, z zabloconemi nogami, ślizgali się i grzęzli; jeżeli kto jechał, to jechał stępo, i leniwemu postępowi jego towarzyszyła muzyka kopyt końskich, klapiących o rzadkie błoto, lub topiących się w rozmięklej ziemi, wcale różna od tego odgłosu, jaki wydawał koń Farysa, gdy lotną swą nóżkę w głębokim piasku zanurzał.

W takim była stanie piękna w innej porze okolica Staro-Konstantynowskiego¹ powiatu; żyzna, wzgórkowata, ozdobiona prześlicznemi laskami, które teraz nie zieleniły się, nie rzu-

¹ Stary Konstantynów — miasto na Wołyniu, nad Słuczą.

cały rozkosznych cieni, ale, obnażone z liści, stały spokojnie na wzgórzach, jak szkielety gajów i kłębów. Niebo jednakże było czyste, i jak się to czasem zdarza w połowie października, słońce zaświeciło jasno, tym blaskiem melancholijnym, tak podobnym do ostatniego uśmiechu, którym oddalający się przyjaciel żegna przyjaciela, lub odjeżdżający w daleką podróż syn żegna rodziców i krewnych, stojących na ganku i przesyłających mu ostatnie pocałowanie.

O cztery mile od Starego Konstantynowa na lewo, ugrzązł na drodze w kałuży wielkiej i głębokiej kocz otwarty, w którym były dwie kobiety. Jedna, już niemłoda, brzydka, ale ubrana z przesadą i kokieterją, zżywała się i lajała furmana łamanym polskim językiem, druga, mająca nie więcej jak lat osiemnaście lub dziewiętnaście, w eleganckim kapeluszu, w materjalnej sałopie, strzelala wokół czarnemi oczyma, śmiała się do rozpuku i z swojej przygody, i z gniewu towarzyszki, i poprawiała białą i wąską rączką pukle czarnych włosów, które się wydobylały z pod kapelusza, i ocieniały twarz jej, trochę śniadą, ale pełną czerstwości i ognia.

Furman i lokaj, grzęznąc po kolana w błocie, starali się pomóc koniom i podnieść cokolwiek kocz, ale w żaden sposób z miejsca ruszyć go nie mogli. Ich ładna liberja, ich ręce i twarze, wszystko było obryzgane i zawalane. Zmęczeni nareszcie i zdesperowani, sami nie wiedzieli, co począć.

— Żeby jaki chłop nadjechał z drączkiem¹ — rzekł Maciej furman, obcierając rękawem twarz i rozmazując jeszcze gorzej błoto, z wielką pociechą panny Kamilli.

— Kto teraz jeździ, co ma rozum? — odpowiedział lokaj Ignacy z gniewem i ofuknieniem.

— Słyszysz, Belciu! co on mówi? — rzekła panna Kamilla do panny Beldeau, swojej guwernantki, którą przez skrótowanie i w poufalości panny na wydaniu, a może i przez kontrast jej szpetności, Belcią nazywała.

— Bo ma racją — odpowiedziała Francuzica z okropnym grymasem. — Zachciało ci się tej wizyty nie wiedzieć poco:

¹ z drączkiem — drączek, drązek, drszki — wóz.

teraz wrócim do domu piechoto po kolana w błocie. *Fi! quel vilain pays!*¹

— Widzisz, Belciu! jakaś niewdzięczna! nie byłabyś widziała pana Kazimierza, który nie mógł się napatrzeć na twoje kolczyki i tak admirował twój łańcuch.

Uśmiechnęła się guwernantka i pokazała dwa rzędy zębów, z których połowy nie było, a druga połowa była czarna i wykruszona.

— Ignacy! — zawołała panna Kamilla — wszak to Szyszkowce² widać.

— A rozumie się, że Szyszkowce — odpowiedział, ruszając ramionami.

— O! to niema czego desperować, moja Beluniu! Wszak tu nie więcej, jak ćwierć mili do domu. Przez ten wzgórek musi być sucho; słońce świeci tak jasno, możemy pójść i piechoto.

— Co panna mówi? — rzekł Ignacy. — Za tym pagórkiem zaraz staw i bagno po szyję.

— O! ja nieszczęśliwa — krzyknęła panna Beldeau. — Widzicie jak wy głupca zajechała, *quels gens, mon Dieu! oh! le maudit pays!*³

— Ale doprawdy, Ignacy! cóż my robić będziemy? — zapytała panna Kamilla.

— A cóż? będziemy czekać; może się te bestje namyślą i wezmą razem, jak odpoczną.

— A jak się nie namyślą? — rzekła, uśmiechając się figlarnie.

— To będziemy czekać, póki kto nie nadjedzie.

— A jak nie nadjedzie? — mówiła znowu panienska; — i ja myślę, że tak będzie, boś ty sam powiedział, że teraz nikt rozumny nie jeździ.

— A cóż, to wtenczas wsiądę na konia i pojedę do domu po insze konie.

¹ Pfe! co za szkaradny kraj.

² Szyszkowce — na Wołyniu niema takiej wsi, są natomiast Szyszkowce w powiecie brodzkim, Korzenjowskiemu - znanym.

³ co za ludzie, mój Boże! o! przeklęty kraj.

— Czy nie lepiejby od tego zacząć, panie Ignacy! jak myślisz? — rzekła, opierając na dłoni piękną swą twarzyczkę.

— Jeśli panna każe, to pojedę zaraz. Macieju, odpręż ślepego.

— Aha! żeby cię zrzucił, mazgaju! lepiej siadaj na białonóżkę; a i na tym trzymaj się dobrze, bo to wy, kredensowa piechota, nie umiecie się obchodzić z koniem.

Tak mruzczał wąsaty furman i zabierał się odpręgać dyszlowego konia, odgartując biczyskiem błoto z pasów i sztelwagi¹. Panna Kamilla uśmiechnęła się, patrząc na tę pogardę furmana dla lokaja. Gdyby była więcej znała świat, wiedziałaby o tem, że na różnych szczeblach społeczności bywa to samo; różnica tylko w dowcipie drwinek i formie liberji. Gdy tak Maciej krzątał się i kłął wizyty w październiku, obie kobiety oparłszy się w otwartym koczku, patrzyły jedna na prawo, druga na lewo.

Na lewo były Szyszkowce, wielka wieś prezesa Zagartowskiego, ojca panny Kamilli; na prawo, w roztwierającej się coraz dolinie, rozciągały się Czaplince, wieś ogromna i wielu licząca dziedziców. Należała ona niegdyś do możnej familji hrabiego S**, a później, przez eksdywizją² rozdzielona na wiele części, stała się rzeczpospolitą kollokacyjną, pełną intryg, namiętności, gniewów, przyjaźni, partyj i t. d., słowem, pełna tego wszystkiego w małych wymiarach, co bywa w każdej rzeczpospolitej na wielką skalę.

O kroków dwieście od tego miejsca, gdzie stał w błocie kocz panny Kamilli, zawracała się na prawo szeroka droga do Czapliniec, i widać było, jak, rzędem wierzb wysadzona, ciągnęła się przez wieś całą. Tu i ówdzie, na prawo i na lewo drogi, sterczały kominy dworów i dworków, okrążonych, ten ogrodem, ten zabudowaniami gospodarskimi. Wiedziała o tem panna Kamilla, że ojciec jej, który był wielbicielem pruskiej metody zaokrąglania, miał wielki pociąg do Czapliniec i używał wszelkich sposobów i intryg, aby tą wsią zawładnąć, bo

¹ sztelwaga — część przednia wozu lub powozu, w którą wchodzi dyszel, — helek przybity wpoprzek dyszla.

² eksdywizja — podział majątku ziemskiego na części między wierzycieli.

grunta jej wchodziły długim pasem w jego łany i przerzynały najkrótszą komunikacją między Szyszkowcami a innymi wsiami prezesa, które poza tą wsią leżały i już po obu stronach obejmowały ją dławiącymi ramionami. Wszakże panna Kamilla żadnego z tych dziedziców nie знаła, ledwie parę ich nazwisk obilo się o jej uszy, a przez wieś samą przejeżdżała tylko kilka razy. Teraz, gdy siedziała i patrzyła, zastanawiała ją, nie wiedzieć dłaczego, wierzby nagie, długim szeregiem rozciągnięte dworki i domki, w które myślą wchodziła i wyobrażała sobie ich mieszkańców; ale nadewszystko zastanowił ją dym, wychodzący jasnym słupem z komina jednego z najpokaźniejszych dworków, który w środku wsi z prawej strony drogi leżał, czysto wyglądał, miał przy bramie wysokie topole, z tyłu jakby ogród czy las, a z boku obszerne zabudowania gospodarskie. Im wyżej podnosił się ów biały słup w powietrze, tem przeźroczystszym się stawał, tem rozmaitsze przybierał formy; a przyjmując w siebie żywe promienie jesiennego słońca, rozlicznymi ozdabiał się kolorami. Panna Kamilla, z próżnowania zapewne i z nudów, wpatrzyła się w tę żywą i ruchawą kolumnę, zamyśliła się i zaczęła marzyć. Tymczasem koń już był odprężony, Ignacy z niezgrabnością, z której ironicznie uśmiechał się Maciej, miał już wsiadać, gdy nagle z tyłu dał się słyszeć loskot z bicia.

— Ot, zaczekaj — rzekł Maciej — ktoś jedzie, to może prędzej da nam radę, niż ty. Ty tam gdzie zleczysz w błoto i będziemy czekać do wieczora. — To powiedziawszy, wziął konia za cugle i znowu go przykładał do dyszla. Tymczasem uderzenia z bicia powtarzały się i powóz się przybliżał. Gdy już był niezbyt daleko, rzekł Maciej, kiwając głową:

— Djabłaby zjadł, klusem jedzie; musi mieć tegie konie.

— Albo lekką bryczkę — dodał Ignacy. — To my tylko po błocie takimi ciężkimi powozami jeździmy.

W rzeczy samej była to nietyczanka¹, zgrabna i leciutka, i cztery konie dzielne, choć niewielkie. Poganiał je chłopak młody i żwawy; a im bardziej przybliżał się do stojącego po-

¹ nietyczanka — częściej: najdyczanka albo najtyczanka, rodzaj bryczki (od nazwy miasta: Neu-Tilscheim).

wozu, tem głośniej wołał hou! i tem silniej walił z biczem. W nietyczance siedział młody człowiek pięknej i męskiej twarzy z ładnymi włosami blond, w ciepłym tużurku zapiętym pod szyję, z pod którego widać było jego wzrost wysoki, silną budowę i zgrabną figurę. Czapka aksamitna nakrywała gęste i jasne włosy, brwi ciemniejsze zaginały się pod białem i szerokim czołem, a rzęsy jeszcze ciemniejsze ocieniały oczy duże, błękitne, śmiałe i spokojne. Obok niego sterczała strzelba, a piękny legawiec z ogromnemi kasztanowatemi uszami, wsparty przednią łapą na wasążku, bystro i ciekawie patrzył ku powozowi.

Droga była szeroka, tak, że dwa powozy wygodnie wyminąć się mogły. Wjechała i nietyczanka śmiało w kaluzę, ale gdy się zrównała z koczem, gdy pan Józef Starzycki (bo czemuż nie mamy go nazwać odrazu) postrzegł dwie panie w tak krytycznem położeniu, krzyknął na swego chłopaka: — Stój! — Zatrzymał Michaś konie, które się otrzęsły, zadzwoniwszy kółkami krakowskich chomąt, i wyciągając głowy naprzód i szczerząc zęby, folgowały sobie zbyt ściągnięte cugle. Wtenczas pan Józef, obracając się do panny Kamilli, zdjął czapkę, błysnął szerokim i białem czołem, które ślicznie odbijało od ogorzałej cokolwiek twarzy, i zapytał:

— Czy panie potrzebują pomocy?

— Stoimy tu od godziny i nie możemy ruszyć — odpowiedziała panna Kamilla z uśmiechem, pełnym słodyczy, i obrzuciła wzrokiem pięknego młodzieńca.

— Niech wielmożny pan pozwoli swemu chłopakowi, aby pomógł podjąć cokolwiek kocz, a może ruszę z miejsca. Djabliby wzięli tę szlachtę z Czaplinc! nie ponaprawiają drogi. — Uśmiechnął się na te słowa pan Józef, i wzięwszy lice z rąk Michasia, kazał mu pomagać.

Tymczasem panna Kamilla, odgarnując pod kapelusz loki, które twarz jej zasłaniały, rzekła:

— Mamy dom obok, a nie możemy się do niego dostać.

— Panie stąd niedaleko mieszkają?

— Oto jest mieszkanie mego ojca — odpowiedziała, ukazując na Szyszkowce.

Na te słowa, nie wiedzieć dlaczego, żywy rumieniec wystąpił na twarz pana Józefa. Panna Kamilla postrzegła to, i także nie wiedzieć dlaczego, spuściła oczy, a panna Beldeau, patrząc na przystojnego młodzieńca, także nie wiedzieć dlaczego zaśmiała się i pokazała dwa rzędy zębów, z których połowy nie było, a druga połowa była czarna i wykruszona.

Wszakże wszelkie usiłowania ludzi nie pomogły; konie licowe szarpnęły i zaczęły skakać, czując ciężar nad siły, dyszłowe spierały się nazad i jakiś upór je opanował. Nie brały więc wszystkie, nie brały razem i dlatego powóz został na miejscu.

— Sluchajno, kochanku! — rzekł pan Józef do Macieja — wypręż ty swoje konie, zostaw tylko licowe, na które wsiądzie mój chłopak, do dyszła założcie moje, to wyjedziecie. A panie dobrzeby zrobiły, żeby przeszły do mojej nietyczanki. Nie dlatego — dodał z uśmiechem — aby ciężar był wielki, ale że szarpnięcie może być za silne i furman z próżnym koczem będzie śmielszy.

— O co to, to wielmożny pan doskonale powiedział, dabilebóg że prawda. Żeby tam panienki nie było, jakieśmy wleźli w tę jamę, byłbym i swojemi wyjechał, choćby na złamanie szyi. A dalżebym im bestjom hartu! — rzekł Maciej, złażąc z kozła i biorąc się do odprzęgania dyszłowych koni.

— Ale jakże my się dostaniemy do pańskiego powozu? — rzekła, śmiejąc się, panna Kamilla. — Belciu! idź ty naprzód; obaczę jak tam głęboko.

— Ach! *mon Dieu! mon Dieu!* — zawołała z grymasem Francuzica. — Czyż ty chcesz, żebym utonęła w błocie? — Zaśmiała się na te słowa panna Kamilla głośno, pleszcząc rękami, a pan Józef, słysząc ten głos czysty i wdzięczny, patrząc na te ruchy pełne gracji i żywości, zamyślił się, i po chwili, odsuwając swego legawca i ukazując mu miejsce na koźle, co Amor natychmiast wykonał, oddał lice kozakowi, a sam wyskoczył z bryczki, i w kilku susach był obok kocza.

— Niema innego śrzodka, jak panie przenieść — rzekł, chciał drzwiczki otworzyć. — Czy pani się zrezygnuje? —

Zaczerwieniła się jak róża panna Kamilla; spójrzała bystro na młodzieńca, który z niej nie spuszczał oczu i zapytała:

— Czy innego śródka niema?

— Zdaje mi się — odpowiedział młodzieniec, którego oczy zaiskrzyły się od radości.

— Ignacy! przenieśże mnie na bryczkę tego pana — rzekła panna Kamilla.

— Przystąpił Ignacy i podniósł ku niej ręce czarne i błyszczące lawą błota, która ciekła po rękawach i za rękawy i w szerokich kałużach stała na jego płaszczu. Na ten widok parsknęła od śmiechu panna Kamilla, cofnęła się w głąb koczka ze wstrętem i zawołała:

— Belciu! niech on ciebie przeniesie.

— Fi! fi! — krzyknęła Francuzica — nieznośna Kamiliu! czyż ty masz sumienie?

— W rzeczy samej to niepodobna — rzekł pan Józef. — Ten biedny człowiek okropnie wygląda. Raczcie panie przyjąć moją usługę. Jestem silny i cokolwiek czystszy od niego.

— Cóż mam robić? pan zamoczy nogi... nie czas certaować się. Bierz pan — dodała z niewypowiedzianym wdziękiem i wyciągnęła ku niemu rękę.

— Michaś! trzymaj konie — krzyknął pan Józef, otworzył drzwiczki i wziął na ręce wyniosłą, zgrabną i lekką panienkę. Ona objęła jego szyję drżącą ręką i już nie śmiała się, bo czuła, jak ją tulił silnem ramieniem, jak stąpał ostrożnie, aby żadna kropla na nią nie bryznęła, jak szedł zwolna, może dlatego, aby dłużej nieść tak miły ciężar, jak ją wsadzał delikatnie, aby jej nóżka nie dotknęła nawet zabryzganego wasążka. Gdy już usiadła, spójrzała nań z wdzięcznością i w tem wejrzeniu jej czarnych, ślicznych oczu wypisało się może nawet więcej, niż chciała.

Wrócił pan Józef znowu do koczka i przeniósł także pannę Beldeau, która z dziwnymi umizgami i minoderją¹ sadowiła się w jego objęcia. Tak więc obie znalazły się niespodzianie w bryczce młodego podróżnego, który stanął na stopniu i usiadł

¹ *minoderja* — strojenie miniek, mizdrzenie się, wdzięczenie się (z franc. *minauderie*).

z boku na wasażku. Nim przeprężono konie i wydobyto powóz, co potrwało blisko pół godziny, panna Kamilla, chcąc zacząć rozmowę, a może dowiedzieć się czegoś, skąd, dokąd jedzie, rzekła:

— Jakiego pan masz pięknego psa. — Amor, leżąc na koźle i spuściwszy głowę do środka bryczki, jakby zrozumiał, że o nim mowa, spójrział ciekawie i łagodnie w oczy panienki i zaczął podnosić ogromne swe uszy. — Jak on patrzy — dodała panna Kamilla — jakby mnie zrozumiał.

— Bo w rzeczy samej rozumie — odpowiedział pan Józef. — Pies jeszcze bystrzej patrzył w oczy, to swemu panu, to panie Kamilli.

— Jak się nazywa? — zapytała.

— Ma nazwisko trochę romansowe, a razem pedanckie. Nazywa się Amor — odpowiedział, czerwieniąc się pan Józef.

— On pewnie nie kąsa? — rzekła panna Kamilla, wyciągając rękę i głaszcząc nieśmiało piękne zwierzę. W mgnieniu oka Amor podniósł się, spuścił się delikatnie do środka bryczki, przysiadł na zadnich łapach tak, że jej nóg nie ugniotł, i położył głowę na jej kolanach. Z początku trochę przestraszona, potem uradowana, panienka zaczęła go głaskać i pieścić, a pies patrzył jej w oczy i wejrzeniem pełnym wyrazu zdawał się dziękować za jej dobroć. A gdy po chwili odjęła rękę od jego głowy i przestała go karesować, zwinął się w kłębek i u nóg jej się położył.

— On pani nogi ugniecie — rzekł prędko pan Józef, rad w duszy, że pies przeniknął jego myśli.

— Bynajmniej. Pozwól mu pan tak zostać! Co to za pocziwe stworzenie! Onby mnie teraz obronił, gdyby mi kto chciał krzywdę zrobić — dodała panna Kamilla, patrząc dziwnie na zajmującego się widocznie młodzieńca.

— Tego możesz pani być pewna, i dziękuję pani, żeś tak laskawie przyjęła wiernego towarzysza mojej podróży.

— Pan z daleka jedzie? — zapytała.

— Jadę z Podola, gdzie mam małeńki mająteczek, dla odwiedzenia moich rodziców, dziada i babkę, którzy tu miesz-

kają. Mam także siostrę, dobrą i kochaną, której Bóg daje męża i na której szlub śpieszę.

— O, mój Boże! Cóż to musi być za szczęście mieć brata! — rzekła panna Kamilla.

— Jest to błogosławieństwo Boga, kiedy familja liczna i zgodna — odpowiedział pan Józef.

— Pan mówileś, że rodzice pana mieszkają tu; gdzie to? czy daleko? — zapytała, spuszczać oczy.

— W tej wsi, którą pani widzisz.

— W Czaplincach?

— Tak jest — odpowiedział, czerwieniąc się.

Żywy rumieniec okrył także twarz panny Kamilli. Ale wkrótce, jakby uczuła to, że jej lice płonie, potrząsnęła główką i z uśmiechem rzekła:

— Więc będziemy przez niejaki czas sąsiadami! Mam nadzieję, że pan zechcesz odwiedzić mego ojca. To tak blisko!

— Będę bardzo szczęśliwym, jeżeli pan prezes pozwoli mi złożyć sobie uszanowanie.

— Czy nie jest już panu obowiązany, żeś wyratował z biedy jego jedynaczkę? — Potem obracając się na prawo, może dla ukrycia swego pomieszenia i wzruszenia radości, rzekła: — Stąd widno wiele dworów w Czaplincach; czy też ja zgadnę, w którym pana rodzice mieszkają?

— Niech pani spróbuje — odpowiedział, czując jakies dziwne szczęście, które piersi jego zalewało.

— Patrz pan — rzekła wyciągając rączkę — w tym domu, gdzie topole koło wrót i z którego ten wysoki słup dymu wychodzi. Czy zgadłam? — dodała, zwracając twarz ku niemu, i patrząc z wyrazem pełnym znaczenia.

— O, zgadłaś pani, tam urodziłem się — odpowiedział drżącym głosem, ale daleko wymowniej odpowiedział wzrokiem na jej przenikliwe wejrzenie. W czasie tej chwilowej i niemej rozmowy ich oczu i dusze tych dwójga ludzi, które przypadek sprowadził, zabierały z sobą ściślejszą znajomość.

Tymczasem powóz był już wyciągnięty z kałuży i konie napowrót przeprzeżone. Furmani siedzieli na kozłach, szło tylko o to, jak znowu damy przeprawić do ich powozu, aby

nie zamoczyły nóżek. Panna Kamilla, z taktem właściwym kobiecie, a raczej nie chcąc pokazać rodzącej się słabości, rzekła z wdziękiem:

— Już teraz pana fatygować nie będziemy. Niech pan każe tak podjechać pod nasz powóz, żebyśmy mogły przeskoczyć niewielki przedział.

Gdy się stało, jak chciała, i drzwiczki od koczka były otwarte, naprzód panna Beldeau, stanawszy na wasążku i opierając się jedną ręką na ramieniu pana Józefa, a drugą na ramieniu Ignacego, szczęśliwie, choć nie bez grymasów i śmiechów, dostała się do koczka.

— Teraz na mnie kolej — rzekła panna Kamilla — ale chciałabym się jeszcze pożegnać z pańskim towarzyszem podróżny, który mnie tak gościnnie przyjął.

— Amor! — zawołał pan Józef. — Powstał pies i spójrzal w oczy panu, jakby chciał dowiedzieć się, co każe.

— Poczciwy Amor! — zawołała panienska, głaszcząc go. On położył znowu głowę na jej kolanach, a wdzięczna panna Kamilla, objąwszy ją obiema rączkami, przyłożyła do niej zarumienioną twarz i rzekła: — Bądź zdrow, poczciwy piesku! ładnie się nazywasz. — Potem porwała się, lekka i zgrabna, a zaledwie dotknawszy ręką ramienia pana Józefa, jak sarneczka przeskoczyła z bryczki do koczka.

Gdy drzwiczki były już zamknięte, a młodzieniec stał jeszcze przy powozie, jakby czekał ostatniego słowa, wyciągnęła ku niemu rękę i dodała:

— Dziękuję panu! nie zapomnę nigdy tej przysługi. — Wziął jej rękę pan Józef, przycisnął do ust i uczuł delikatne i parę razy powtórzone ściśnienie.

Ruszył kocz, ruszyła nietyczanka i rozdzielili się. Jedno pojechało na lewo, drugie na prawo, ale myśli ich były podobno razem.

II.

Dom prezesa Zagartowskiego był obszerny, zamożny; ale, jak zwykle bywa u zdobywców fortuny, wszędzie jeszcze czegoś nie dostawało: był niedobudowany, w gospodarskich bu-

dowlach niekompletny, nawet w wewnętrznym umeblowaniu nie miał tego wykończenia, tej zupełności, która zdaje się mówić: już dosyć. Bo w rzeczy samej, dla prezesa, jak niegdyś dla Jezuitów, nigdy nie było dosyć. Bo też w duchu, chęciach i sposobach był prezes zupełnym Jezuitą. Dla niego cel był wszystkim. Dążył do niego stale i upornie, oceniał środki nie uczuciem, nie sumieniem, ale rozumem, i przyznawał każdy z nich za dobry, jeżeli doprowadzał do celu prędko i skutecznie. W zewnętrznym ułożeniu miał także wiele podobieństwa: był łagodny, ujmujący, kochał dzieci, pochlebiał matkom, chętnie pożyczał na maleńki procent, ale gdy przyszedł termin, był nieublaganym. Nie był to wszakże skąpiec. Owszem, lubił wygody i dla siebie niczego nie żałował. Szczególniej jadł ogromnie i stół jego można było uważać za najlepszy w okolicy. Ale był lakomy, zdobywczy, pragnął coraz więcej nabywać, rozszerzać się, zaokrąglać. Szyszkowce dostał po ojcu, który był kiedyś komisarzem w jednym z najmożniejszych domów na Podolu. Do tej pięknej wsi przydał już pięć innych, ale jeszcze nie powiedział sobie: basta. Teraz właśnie wszystkie swe siły, wszystkie sprzężyny wyteżył na Czaplińce, aby kollokowaną w nich przed kilkunastu laty szlachtę skupić. Ten był cel życia, to marzenie prezesa; z tą myślą kładł się i wstawał.

Prezes nie był wielkiego wzrostu. Gdy szedł, przechylał się na kucych nogach, bo był dość otyły. Podniesione miał plecy, krótkie ramiona i tłuste rączki, które zwykle splatał na brzuchu i kręcił młynka dwoma wielkimi palcami, przechyliwszy głowę. Była to jego zwykła poza, i że tak powiem, jego szyk bojowy, zwłaszcza gdy się imał defensywy; gdy kogo słuchał, a nie chciał odpowiedzieć; gdy co innego myślał, a co innego mówił; gdy krętą ścieżką sprowadzał swą ofiarę do swego celu; gdy go o co proszono, a on nie chciał zadosyć uczynić; gdy mu kto ostre przymówki robił, a on je znosił i ofiarował Panu Bogu. Bo prezes nigdy się prawie nie gniewał, nie zapalał; ale cicho, jednostajnie, to idąc, to pelznąć, to drapiąc, to depcąc, ale zawsze pobożnie z przechyloną głową, z rękami splecionemi z młynkiem dwóch wielkich palców, do-

chodził do swego. Czasem tylko, gdy już był zupełnie panem swego przeciwnika, porzucał tę pobożną i pokorną minę, zmienił zupełnie głos i wówczas mówił wprost do rzeczy, zwięźle i mocno. Twarz miał nieszpętną, ale szeroką, takiż nos i usta. Dwóch zębów nie miał z przodu, przez co syczał, zwłaszcza wówczas, gdy wymawiał: Jezus Marja! od czego zwykle zaczynał frazes, gdy udawał zadziwienie, gdy się na co nie zgadzał, gdy pod powłoką łagodnych słów i sumienia ukrywał jad zawziętości, szachrajstwo lub łakomstwo. Wtenczas także przymrużał siwe oczy, bystre i przenikliwe, marszczył wąskie czoło, na którym sterczały prosto nisko przycięte włosy, jasnego, ale nieczystego koloru.

Od lat dwunastu prezes owdowiał. Żona jego, po której wziął znaczny posąg, pochodziła z dawnych ormiańskich familij, osiedlonych koło Kamieńca i w Galicji na Pokuciu. Była to kobieta żywa, ładna, wysoka i mocno śniada, z nosem cokolwiek za dużym i z oczami zanadto wielkimi. Zostawiła mu jedną tylko córkę, która wzięła od matki kibić wyniosłą i giętką, pleć cokolwiek śniadą, czarne oczy, krucze włosy, a może i żywość wschodnią. Ale co w matce było nadto wydatnem i ostrem, to już zlagodziło się i zaokrągliło w rysach córki, tak, że była kompletnie piękną brunetką. Prezes nie żałował wydatków na jej wychowanie, ale nie umiał niemi kierować, a przytem nie miał czasu i chęci. Mówiła ona ładnie po francusku, ale mało umiała; grała biegle, ale bez wyrazu i taktu; rysowała, ale niepoprawnie, ostro, bez pojęcia cieniów i światła, bez uczucia piękności. Ten niedostatek miał źródło w jej charakterze żywym, samowolnym, nieujętym, któremu zatrudniony swemi zdobyczami ojciec pozwolił rozwinąć się zupełnie, a którego guwernantki niedbale i nieumiejętne z dzieciństwa uhamować nie umiały. Wszakże te wady nie ujęły panie Kamilli powabów, bo szcudra natura dała jej dowcip, rozum naturalny i bystry, serce ogniste, prawe, pełne nieograniczonej dobroci i najszlachetniejszych popędów. Pysznił się prezes wdziękami i rozumem córki, ale nie można powiedzieć, żeby ją kochał tą wysoką rodzicielską miłością, która jest najczystszy promieniem, jaki się z nieba przedarł do ziemi. On

ją kochał, jako coś najdroższego, co do niego należało. Ona zaś widząc wszystkie działania ojca, chociaż go kochała, choć milczała, ale w duszy przechodziła nieraz do tego bolesnego stanu, do którego czasem niebaczni i nieuczciwi rodzice doprowadzą rozumne i szlachetne dzieci; panna Kamilla nieraz w bezsennych nocach sądziła postęпки ojca i potępiała je ze łzami.

Panna Beldeau była to brzydka Francuzica, bez nauki, ale nie ze złem sercem, pełna pretensji, z której sobie drwiła rozumna i dorosła panienska. Panna Beldeau nie była w stanie poprawić wad, jakie się w tem cudnem stworzeniu zagnieździły. Całą jej zaletą była śliczna francuska pronuncjacja, za co też od lat piętnastu brała na Wołyniu i na Podolu po różnych domach po 200 i po 250 dukatów. Z początku panna Beldeau zwróciła baterje swych wejrzeń i uśmiechów na prezesa, od czego zwykle zaczynają guwernantki Francuzki, gdy się dostaną do wdowców. Ale przekonawszy się, że nie będzie mogła zostać macochą swej uczennicy, i widząc, że miejsce dobre, stół wytworny, roboty żadnej, ekwipaż na zawołanie, postanowiła być dogodną i uslužną towarzyszką panny Kamilli, pozwolić jej robić, coby jej się tylko podobało, i znosić ze śmiechem wszystkie jej drwiny i żarty, przeklinając tylko czasem przeklęty kraj, w którym za nie zgromadziła do 20 tysięcy i napakowała pełne kufry kulców¹, łańcuchów, grzebieni, koralii i sukien.

Taki to był dom, tacy jego główni mieszkańcy, do którego czytelnicy pozwolą się wprowadzić.

Na dziedzińcu, który był w części obmurowany niskim murem i ozdobiony topolami, a w części plotem, przed gankiem z kolumnami, który nie zajmował śródkowej części domu, ale wznosił się na rogu, bo druga połowa miała dopiero podmurowanie, stała bryczka niekryta, pleciona, zabryzgana i stara. Siedzenie, wysłane słomą, zakryte było dziurawym kilimkiem, zamiast kozła była deszczulka, na której siedział w brudnej siermiędze niewielki chłopak zgarbiony, z rękami pochowa-

¹ kulców — kulczyków.

nemi w rękawy, z czapką nasuniętą na uszy, i patrzył niedbale na dziedziniec, gdzie przeprowadzano zgrzane konie, którymi wróciła panna Kamilla. Koło nóg jego, w rogu bryczki, zatknięty sterczał batożek, i przytrzymał trzy sznurki, służące za lice trzech niewielkich koników, zaprzężonych w szlejach parcianych. Konie były różnej maści i różnego wzrostu; ale wszystkie trzy doskonale chude i jednakowo widać głodne. Opuściły bowiem uszy i powieszaly głowy, marząc zapewne, jeśli nie o obroku, którego już dawno nie widziały, to o dobrej wiązce siana, która im się także najsprawiedliwiej należała. Był to typ ekwipażu podupadłego szlachcica.

Wtem stajenny przeprowadzający konie zbliżył się do zamyślonego chłopca, i patrząc na jego ekwipaż i uprząż z pogardą, do czego miał zupełne prawo, bo trzymał w ręku parę dzielnych koni w ładnych szorach, zapytał:

— Czego to tak twoje szkapy zadumały się?

— Oho! — odpowiedział chłopak, nie zmieniając bynajmniej pozycji — i tybyś się zadumał, jakbyś jadł tydzień tylko słomę.

— Albo to u was w Czaplińcach już i siana niema?

— W Czaplińcach jest, ale u nas niema. Co było trochę zboża i siana, to wszystko żyd zabrał.

— Jaki żyd?

— A jużci wasz Szłoma, co wszystko daje na kredyt, a potem zagrabi, co się urodzi.

— A nacóż bierzecie?

— Aha! nacóż bierzecie? a djabeł ich wie, naco oni biorą. Siedzą na trzech chatach, a chcą być panami i brać wszystko na kredyt. A jak przyjdzie płacić, to niema z czego. — Uśmiechnął się owym chytrym, chłopskim uśmiechem, który się zawsze objawia na licu poddanego, ile razy pan w kłopotcie.

— I czyjże ty?

— Pana Pożyczkowskiego.

— Czy on tu?

— A tu.

— A pocóż on tu przyjechał?

— A djabli go wiedzą.

Stajenny odprowadził konie dalej. Chłopiec, wyrzekłszy obojętnie te ostatnie słowa, któremi zwykle kończy się rozmowa ludzi o projektach ich panów, siedział dalej zgarbiony, z gębą w pół otwartą, z okiem w pół przymrużonem, a jego konie stały, jak pierwej, ze zwieszonymi głowami, nieruchome, jak owa czwórka na kościele Ś. Marka w Wenecji.

Tymczasem w gabinecie prezesa, w którym pod jedną ścianą stało jego biuro ogromne i kosztowne, pod drugą piękna kanapa z drogiem obiciem, pod trzecią także krzesła i szafki, a pod czwartą proste dębowe stolki i stolik taki, jakiby ledwie ekonom w swoim pokoju postawił, było trzy osoby. Na bogatym i wygodnym fotelu siedział prezes wyprostowany; pulchne rączki jego leżały na wypukłym brzuchu, dwa wielkie palce kręciły powolnego młynka, głowa z najeżoną czuprynką przechylona była na bok pobożnie, a oczy z wyrazem pokory i miłosierdzia zwrócone ku siedzącemu z boku panu Pożyczkowskiemu. Na jednym z owych prostych stołków i prawie na jego rogu przylepił się skromnie ów nieszczęśliwy pacjent. Był to człowiek już niemiłody, blady, chudy, z siwą głową niedbale uczesaną; surdut miał wytarty, podobno kiedyś ciemno sieraczkowaty, kamizelkę białą i brudną, a spodnie nankinowe, które, podnosząc się zbyt wysoko, zdradzały cholewy niepoczernione i rude. Pod pachą miał czapkę barankową, niezmiernie starą i zwiniętą w rurkę, a łokcie i ręce przycisnąwszy do swego ciała, robił się jeszcze węższym, niż był w istocie. Widać, że to był człowiek zbiedzony, przywykły do subordynacji domowej, narzędzie obcej woli, popychadło, które zwracało się tam, gdzie je popchnięto. Bliżej ku drzwiom stał Szłoma Krzemieniecki. Szłoma był to żyd edukowany i Szejne-Morejne¹. Mógł mieć ledwie lat czterdzieści. Wysoki i kształtny, twarz miał cokolwiek ospą oznaczoną, ale rysy jego, chociaż okrągławe, nos trochę zadarty, usta trochę za szerokie, były pełne wdzięku i męskiej piękności. Oczy jego czarne, osłonięte długimi rzęsami, jaśniały uprzejmością, uśmiech prawie ciągle roztwierał jego usta i odkrywał zęby

<http://rcin.org.pl>

¹ Szejne-Morejne — Żyd spanoszony, Żyd arystokrata.

czyste i nadzwyczajnie piękne. Aksamitna jarmulka przykrywała jego głowę, a pejsy niezbyt długie, broda niezbyt wielka, uczesane starannie, lśniły się jak krucze skrzydła. Czarny materjalny kaftan, prawie nowy, nie miał ani jednej plamki. Za jedwabny pas zasunawszy wielkie palce, trzymał w jednej ręce sobolową czapkę, a drugą wystawił jakby na pokaz, tak była biała i czysta. Nawet buty Szlomy, z wysokimi cholewami, z węgierska wykrojone, były wyczyszczone, wyglansowane i nie okazywały ni śladu błota. Szloma, syn bardzo wziętego w swoim czasie cyrulika, naznaczony pierwiastkowo na doktora, do szesnastu lat był w szkołach w Krzemieńcu. Obdarzony z natury najpiękniejszymi zdolnościami, uczył się doskonale, przeszedł jako uczeń celujący pierwsze cztery klasy i był dwa lata na pierwszym kursie nauk wyższych. Ale w tym czasie ożeniono go i natura żydowska przemogła, pociągnawszy od książki do łokcia, od rachunku algebraicznego do prostej krydki, którą się zapisują złotówki i grosze. Wziął się więc do handlu i zapomniał o doktorstwie. Znajomość z paniczami, dawniejszymi kolegami, zrobiła go także ich bankierem. Pożyczał im, przez przyjaźń i koleżeństwo na mniejsze, niż inni żydzi, procenta, i tym sposobem liczną miał klientelę i nie stracił szacunku, a czasem i towarzystwa młodzieży, wśród której praktycznie się kształcił. Stąd więc, chociaż nie przestał być żydem, przybrał formy wyższe w sposobie wyrażania się czystą polszczyzną, w grzeczności i stroju. Wiedział przytem, że jest pięknym mężczyzną, dołączył więc kokieterją i wdzięczną układność do tych przymiotów naturalnych, i wszystko to obrócił na korzyść swojej kieszeni. Po zmianach w Krzemieńcu poznał się przypadkiem z prezesem. Odgadli się prędko oba, bo cel ich był jednaki, chociaż sposób zapatrywania się na środki, które do niego prowadziły, niezupełnie tenże sam. Został więc Szloma agentem i mistrzem prezesa, zastrzegłszy sobie we wszystkich działaniach znaczne beneficja. Porzucił miasteczko, przeniósł się do Szyszkowiec, wzięwszy w arendę wielką karczmę na trakcie, gdzie kontynuował swój handel. Szloma miał wszystko: sukno, materje, płótna, cukier, kawę, wino, mięso, słowem, czego tylko potrzebować mogła szlachta okoliczna

i przejezdni panowie. Wszystko było napozór w niewielkich masach, potroszku, kupowane niby dla siebie i ustępowane przez grzeczność. Tym sposobem unikał podejrzeń i przesładowań ziemskiej policji, z którą przytem umiał się zachować w najprzyjaźniejszych stosunkach, szczególnie przez żony urzędników, które do niego często zwracały drogę na popas, lub na nocleg. Nietylko towary dawał Szloma chętnie na kredyt, ale nawet i pieniędzy pożyczał, i to na umiarkowany procent, zwłaszcza tym z osobnych posiadaczy, których mu ukazał prezes. Tym sposobem zrobił sobie wielką reputacją i zjazdy u niego bywały liczne. Zyskiwała na tem arenda, a jeżeli co utracił przez nieakuratność lub bankructwo którego z dłużników, to mu bonifikował prezes. Teraz skłoniwszy państwa Pożyczkowskich do wyprzedania części swojej w Czaplińcach prezesowi, wraz z nim przybył skończyć ten ważny interes, umówić się o cenę i dług swój zabezpieczyć.

— Jaśnie wielmożny pan sam widzi — mówił Szloma z uśmiechem — że wszystko w moim rejestrze porachowano sumiennie i taniej, niż się płaci w miasteczkach. Niech jaśnie wielmożny pan raczy zwrócić uwagę na wino, na cukier, na inne produkta, których dostarczałem pani Pożyczkowskiej. W Krzemieńcu daleko drożej, nie licząc tego, że trzy lata czekam.

— Jużto ja nie widzę żadnej różnicy. I owszem, zdaje mi się, żeś na każdej rzeczy naliczył dobry procent — odpowiedział prezes.

— Tak i moja żona mówiła — rzekł, podnosząc się z lekka na stolku pan Pożyczkowski i siadając znowu jeszcze prościej.

— Jaśnie wielmożny pan się myli — odpowiedział Szloma. — Jest to zwykle panów uprzedzenie o ludziach naszego wyznania, że żadnej przysługi bez wielkich zysków nie czynią. Bez wątpienia, w wielkiej części zarobiliśmy na tę opinią, ale są wyjątek, chcę mówić wyjątki, i między żydami.

Te wyrazy *opinią*, *honor*, *moralność* i t. p. wymawiał zawsze z pretensją, jako niezwykle w ustach żyda, a ile razy mu się zdarzyło pomylić w języku, tyle razy zawsze się poprawił, przypomniawszy sobie lekcję wymowy, które brał na

pierwszym kursie w Krzemieńcu. Prezes puścił swemi palcami prędszego młynka, przechylił głowę i rzekł:

— Słuchaj-no, Szloma! my wiemy, że umiesz ładnie mówić i wszystko potrafisz okrasić.

— Co to, to prawda, jaśnie wielmożny panie! — dodał prędko pan Pożyczkowski, podnosząc się na stolku i znowu opadając. — Tak i żona moja mówi.

— I prawdę mówi pani Pożyczkowska dobrodzika — rzekł prezes. — To filut niebezpieczny, który niedarmo był w szkołach. — Szloma uśmiechnął się na te słowa i znowu, założywszy palce za pas, zaczął prawą ręką wybijać capstrzyk na brzuchu. — Otóż słuchaj żydzie! — dodał prezes, wzięwszy ze stołu rachunek — należy ci się wszystkiego trzy tysiące złotych. Czy tak, panie Pożyczkowski?

— Tak, jaśnie wielmożny panie!

— Wzięłeś — mówił dalej rozjemca — zboża na pięćset złotych. Tak?

— Tak, jaśnie wielmożny panie — odpowiedział żyd.

— Otóż widzisz, sumienie przedewszystkiem. Grosz, ustąpiony sierocie i wdowie, daje zasługi na dukat; grosz, wzięty nadto od biednego człowieka, przyczynia grzechu na cetnar. Wszystko nam jest porachowane... tam. — To powiedziawszy, prezes przechylił jeszcze mocniej głowę; pan Pożyczkowski skruszony westchnął głęboko, a usta żyda przeciągnęły się ironicznym uśmiechem. — Otóż, zważając — mówił dalej prezes — małe przydatki na cenie tych rzeczy, któreś porobił; zważając znowu na niskie ceny, jakieś położył na żyto, na jęczmień, na siano, wzięte od państwa Pożyczkowskich... bo gdzie to teraz korzec żyta po cztery złote, ha? Oj! Szloma! Szloma!

— Ale niech jaśnie wielmożny pan raczy uważać...

— Jezus Marja! — zawołał prezes, sycząc — czy to ja nie wiem? czy nie sprzedaję? czy nie kupuję? Powinieneś ustąpić, Szloma!

— Jeżeli jaśnie wielmożny pan znajdziesz, że rzecz słuszną — rzekł Szloma, niby rezygnując się.

— Jakże niesłuszna? bardzo słuszna! Odstąpisz im, i odstąpisz pięćset złotych.

— Jaśnie wielmożny pan jesteś prawdziwym naszym dobrodziejem — rzekł, wstawszy prosto jak świeca pan Pożyczkowski. — Niedarmo moja żona mówiła...

— Jezus Marja! czyżto warto dziękować za to, co człowiek robi przez obowiązek sumienia? Czemżebym ja był, żeby nie użył ladajakiego wpływu, jaki tu mam nad tym szachrajem, na ulżenie moim sąsiadóm? Więc ustępujesz?

— Cóż mam robić? — odpowiedział żyd — dla dobrego uczynku. Znam położenie tych państwa, i Pan Bóg mnie tego, chcę mówić to, z innej strony nagrodzi — dodał z konfidencjonalnem wejrzeniem na prezesa, który nieznacznie westchnął i zaczął prędszego młynka palcami, bo wiedział dobrze, że on te pięćset złotych zapłaci.

— Tak więc z ceny mająteczku państwa spada dwa tysiące złotych — mówił prezes cichszym głosem. — Ale usiądź-że, Pożyczkowski. Czy są jeszcze inne długi?

— Są, jaśnie wielmożny panie — odpowiedział wyprostowany szlachcic i przypadł na róg stolka.

— A jakie?

— Panu Starzyckiemu winniśmy pięćset złotych.

— No, to bagatela.

— Tak i żona moja mówi, jaśnie wielmożny panie!

— A więcej?

— Panu komisarzowi Jampolszczyzny winniśmy dwa tysiące sześćset sześćdziesiąt sześć złotych groszy dwadzieścia. Moja żona mówi, że to człowiek zły i nieludzki; gotów nas tradować.

— Jeżeli wierzyciel upomina się o swoje, to już to u nas taka moda nazywać go nieludzkim — rzekł żyd z powagą.

— Pani Pożyczkowska dobrodzika ma racją — przerwał prezes — bo są przypadki, w których nawet upomnienie się o swoje jest nieludzkością. Sumienie, przedewszystkiem sumienie, panie Szlomo! Ja wiedziałem o tem, że ten pan komisarz człek twardy, i przez względy sąsiedztwa i szacunku, jaki mam

dla pana i dla pani Pożyczkowskiej dobrodziki, nabyłem ten dług.

Żyd uśmiechnął się, uderzywszy się parę razy palcami po brzuchu, a pan Pożyczkowski powstał, nie wiedząc, czy ma być wdzięcznym i dziękować, czy się tem zmartwić i przestraszyć.

— Usiądź, panie Pożyczkowski! o ten dług możecie być spokojni. Jeszcze ja tu mam — rzekł prezes, kiwając głową — rewersik pani Pożyczkowskiej dobrodziki, który mi się dostał od Rejci. Pocziwa ta żydowica użaliła się nad wami. Dała się skłonić do ustąpienia z tysiąca złotych stu, i te ja i wam ustępuję.

— Dziękuję, jaśnie wielmożny panie. Moja żona mówiła...

— Pani Pożyczkowska dobrodzika zna mię dobrze, i niech będzie pewna, że w każdym zdarzeniu gotów będę jej służyć. Tak więc ważniejszych długów państwa jest: 2000 Szlomie, 500 zł. panu Starzyckiemu, mnie 3500, bo tych 66 zł. gr. 20 nie rachuję. Sumienie bowiem przedewszystkiem. Wszystkiego zatem 6000 zł. polskich. Czy tak?

— Tak, jaśnie wielmożny panie — rzekł biedny szlachcic, podnosząc się i przysiadając.

— Suma wyszła okrągła — dodał żyd, z uśmiechem.

— Drobnych dłużków po kilkadziesiąt i kilkanaście złotych nabierze się zapewne na tysiąc złotych. Nieprawdaż? Pan zapewne ich i nie pamiętasz wszystkich.

— Moja żona pamięta wszystkie, jaśnie wielmożny panie!

— O! pani Pożyczkowska to gospodyni całą gębą. *Hic mulier*, — rzekł żyd, uśmiechając się.

— Jeszcześ nie zapomniał łaciny — przerwał prezes. — Oj ty, żydzie! lepiej mniej łaciny, a więcej sumienia! sumienia! Otóż te 6000 zł. i 1000 na drobne dłużki państwu zatrzymam; a reszta przy zawarciu transakcji natychmiast gotowizną zapłacone zostaną.

— Ale jaśnie wielmożny panie! — rzekł szlachcic, powstawszy, — moja żona mi mówiła, że nie mogę inaczej ustąpić tej części jak po 55 dukatów za męską duszę.

— A za kogóż mnie pan masz, panie Pożyczkowski? Czyż-

bym ja chciał korzystać z położenia takich zacnych ludzi? Wasza częśćka ma tę niedogodność, że leży w samym śródku Czaplince, i ma ze wszystkich stron złych sąsiadów — rzekł prezes, westchnąwszy i patrząc z ukosa na Szłomę, który się na to uśmiechnął; ale zato ma wodę, która mi się przyda. Żebyś więc pan miał dowód, jak ja państwo szanuję, jak cenię panią Pożyczkowskę dobrodzikę, to daję wam nie po 55, ale po 56 za duszę i koszta wszystkie biorę na siebie. — Żyd pokiwał głową, a prezes mówił dalej: — Czegóż się ty dziwisz, Szłoma? Sumienie, mój kochany, sumienie przedewszystkiem! Wiele to wypadnie za jedenaście dusz ostatniej rewizji?¹

Żyd podniósł głowę w górę, błysnął ładnemi oczyma, zaębnił palcami po brzuchu i rzekł:

— Za odtrąceniem 7.000 zł. na długi, zostaje na rzecz państwa 5.320.

— Kontrakty w Dubnie niedaleko. Za tę sumkę będziecie państwo mieli ładną posesyjkę i będziecie spokojni. Bo to małe dziedzictwo, panie Pożyczkowski, to wielkie kalectwo, nieprawdaż?

— Prawda, jaśnie wielmożny panie! tak mi i żona moja mówi.

— Jedźże pan teraz do domu, powiedz to wszystko pani Pożyczkowskiej dobrodzice, i przyjeżdżajcie tu razem jutro, lub pojutrze, dla podpisania transakcji; a już ja sam poszlę ją do akt. To nie będzie was kosztować ani grosza.

Powstał szlachcic, jeszcze bledszy niż był dotąd, uklonił się, nie odejmując rąk od ciała, i wysunął się, cofając się tyłem do drzwi. Gdy siedział już na swoim wózku, odziany dziurawym i wytartym płaszczykiem, powtarzał sobie w myśli całą rozmowę, aby mógł zdać dobrze sprawę żonie, sam nie wiedząc nieborak, czy nie zrobił jakiego głupstwa, i czy mu się za to nie dostanie od najdroższej połowicy. Tymczasem chłopiec woźnica ćwiczył batożkiem głodne i chude szkapy i szarpał co moment sznurkami, aby im dodać energii. Gdy się dowłókl do domu i wjechał we wrota, postrzegł na ganku swego

¹ rewizji — tu w znaczeniu: spisu ludności; duszo — w znaczeniu: poddany.

dworku panią Pożyczkowską dobrodzikę. Była to kobieta wysoka, pleczysta, dosyć ciała mająca, z ogromnemi czerwonymi rękami. Cała jej twarz dość regularna obsypana była pryszczami. Siwe oczy bez rzęsów iskrzyły się zdaleka. Na głowie miała czepek perkalowy biały z wielką szlarką, którą wiatr na tył odrzucał. Szlafrok materjalny, ale stary, dziurawy, założony na piersiach i zamączony na lokciach, ją odziewał. Przed sobą miała fartuch, a w rękę walek, którym właśnie walcowała ciasto na kluseczki, które miały stanowić kolację. Za matką wybiegła dziewczynka obszarpana, bosa, brudna i rozczochrana, którą ona nazad do sieni wtrąciła. A gdy mąż podjechał pod ganek i, widokiem tym zmieszany, sam nie wiedział, którą nogę wprzód wysadzić z bryczki, krzyknęła na niego grubym głosem pani Pożyczkowska: — Chodźże prędzej, serce, i gadaj, coś zrobił. — Złazł biedak, straciwszy cały ciąg rozmowy z prezesem. Żona wzięła serce za płaszcz i popchnęła do sieni, których drzwi wkrótce za tem dobranem stadłem z trzaskiem się zamknęły.

Gdy pan Pożyczkowski wyszedł, prezes i jego minister zostali na miejscu. Żyd stał, jak pierwej, trzymając się za pas i z uśmiechem na ustach; prezes siedział, jak pierwej, z rękami splecionemi na brzuchu. Ale wielkie jego palce zwolna już obracały się, jak koła wiatraku, kiedy wiatr ustaje. Było to znakiem ukończonej roboty, uspokojonej myśli i dobrego humoru. Jak niegdyś Ludwik XIV, posadziwszy na tronie hiszpańskim Burbona, wykrzyknął: »Już niema Pireneów«, tak prezes, osadowiwszy się w samym śródku wsi, na którą oddawna czatował, pomyślał w duchu: już Czaplince moje! W tej chwili spójrzal na żyda, a żyd na niego tym wzrokiem, jakim niegdyś poglądali na siebie bez świadków dwaj augurowie rzymscy, gdy się przepowiednie skończyły i oszukaństwo udało.

— Czegóż tak na mnie patrzysz? — zapytał wreszcie prezes. — Czy może źle?

— Jaśnie wielmożny pan wspaniale postąpił — odpowiedział Szłoma.

— Ha! sumienie przedewszystkiem, panie Szłomo!



— Czaplince przedewszystkiem, jaśnie wielmożny panie! — odpowiedział żyd.

Zaśmiał się prezes głośnie i syknął przez szczerbę dwóch zębów:

— Jezus Marja! jakiś ty żydzie szelma! — i powstawszy, przybliżył się, wyciągnął ku niemu pulchną rączkę, na której żyd z uśmiechem położył białą swą i piękną rękę. Ścisnęli się obaj i prezes dodał: — Wypijesz kieliszek Małagi?

— Należy mi się — odpowiedział Szloma — a także 870 złotych.

— Pięśset, durniu! — rzekł prezes, splotłszy prędko ręce i puszczając palcami prędkiego młynka.

— A trzeci procent od 12.320 zł.? — rzekł Szloma.

— A prawda; no, pódź, niech cię djabli wezmą, obdzierasz mnie ze skóry.

I wyszli, prezes naprzód, przechylając się na krótkich nogach, a żyd za nim z powagą, wspaniale, z wyrazem jakiejś wyższości i pogardy.

III.

Trzy są u nas typy w mieszkaniach wiejskich, odróżnione od siebie wielkością, architekturą i rozporządzeniem wewnętrznym, to jest: pałac magnata, dom zamożnego obywatela i dworek szlachcica. Do tych ostatnich należało mieszkanie państwa Starzykich. W samym śródku wsi położone, odznaczało się od innych dworków porządkiem, czystością, obszernością i miłym widokiem dostatku, którego każdy prawie obywatel ma dosyć, byle się chciał we właściwych sobie granicach utrzymać. Pan Starzycki nie więcej miał od kilku innych posiadaczy Czaplinc; ale wiedział dokładnie, co ma, czego może żądać, co sobie pozwolić, a w czym odmówić. To ostateczne i ciągle rozmiernie sił własnych i nieprzedsiębranie niczego, coby je przewyższało, było najglówniejszym gospodarskim przymiotem tego właściciela i najistotniejszym źródłem jego zamożności. Z tego przymiotu wyrodziły się i inne. Bo, żeby ciągle wiedzieć, co się ma, znać własne siły, trzeba to, co je stanowi, mieć ciągle przed oczyma, a zatem mieć je w po-

rzędu, w całości, w dobrym stanie i w dobrym schowaniu. Żeby do tego przyjść, trzeba polubić porządek, trzeba go ciągle utrzymywać, przyuczać do niego dzieci i sługi. Żeby ten ważny rezultat otrzymać, trzeba być ciągle zajęтым, czynnym, czujnym, oko gospodarza mieć wszędzie i zawsze. Stąd pracowitość, stąd rozumne użycie czasu, stąd brak marnotrawstwa w chwilach życia i w tem wszystkiem, co je utrzymuje, co je uprzyjemnia; stąd owa spokojność o jutro, która daje zdrowie ciała, wesołość twarzy, uprzejmość i dobroć dla dzieci i domowników; stąd nareszcie owa istotna niezależność, polegająca na wybiciu się z pod tyranji potrzeb nad stan i chęci nad siły.

To usposobienie gospodarza odbiło się wszędzie: w jego pomieszkaniu, w jego rodzinie, w jego domownikach i poddanych. Powiedzieliśmy wyżej, że dworek pana Starzyckiego leżał w samym śródku wsi, na prawej stronie drogi, która ją wzdłuż przerzynała. Był on wsunięty cokolwiek w głąb wioski, a przed nim znajdował się plac niewielki i pusty. Podwórze, obniesione częstokołem, ozdabiała wielkie topole. Było ono obszerne i czyste. Z lewej strony jego był ogród niewielki, złożony z młodych drzew fruktowych najlepszych gatunków; z prawej strony był drugi dziedziniec gospodarski, na którym w podkowę wszystkie zabudowania gospodarskie. Równolegle do ulicy, w głębi podwórza, stał dom właściciela, niewysoki, niezbyt wielki, pod dachem słomianym, ale ściany jego były białe, okna o sześciu szybach czyste i całe, a na samym śródku był ganek obszerny, nakryty, wyheblowany, z ławeczkami do siedzenia, i mający z obu stron po dwa wielkie klony, których szerokie liście dawały latem chłód, cień i zielonemi kitami zaglądały do ganku i na białych rysowały się ścianach. Z ganku wchodziło się do wielkiej sieni, w której śródku były drzwi do spiżarni pani Starzyckiej, na lewo do trzech pokoiów, stanowiących ich pomieszkanie, na prawo do pokoju próżnego, gdzie mieszkał syn, Józef, kiedy odwiedzał rodziców, i z którego wchodziło się do dwóch pokojów, gdzie mieszkał ojciec gospodarza i matka. Za domem ciągnął się ogród warzywny, a dalej stary ogród fruktowy, zabudowany niewielkim brzo-

zowym laskiem i sadzawką. Wszędzie widać było ślad porządku i czujności gospodarza i gospodyni; na dziedzińcu było prawie sucho, ganek był wymyty, podłogi wszędzie wyheblowane i jak nowe, meble z jesionu, obite płóciennym szarem, wyszyte czerwonymi i czarnymi sznureczkami; nigdzie nic modnego, ale ani starego i obszarpanego, wszystko na równi ze stanem odpowiadało możności, wygodzie i istotnej potrzebie.

Do takiego-to domu, gdzie panowała cichość, zgoda, miłość i wesołość, wjeżdżał z bijącym sercem nasz młodzieniec całym klusem dzielnych swych koni. Obejrzał się wkoło, czy gdzie kogo nie obaczy, i nie dojechawszy jeszcze do ganku, zatrzymał nagle Michasia w połowie dziedzińca, wyskoczył z bryczki i pobiegł ku furteczce ogródka na lewo. Wyszedł z niej starzec wysoki, pełny, z twarzą jeszcze świeżą, oznaczającą czerstwość i zdrowie. Miał na sobie kurtkę manszestrową czarną, sukienną kamizelkę, na głowie jasno-popielatą zajęczą czapkę, miękką i ciepłą, która, z fantazją i cokolwiek na bok nałożona, odkrywała włosy srebrne, spadające na skronie. Niewielkie wąsy białe zakrywały wierzchnią wargę, a w oczach jego siwych i na ustach jeszcze rumianych zajaśniał uśmiech radości i szczęścia. Na lewem ręku miał toporek, który był nieoddzielnym towarzyszem jego wędrowek po ogrodzie, a w prawem trzymał ręczną pileczkę, którą widać suche gałęzie odpilowywał. Był to dziadek naszego młodzieńca, dziadzio familijny. Tak go nazywały wnuki, tak synowa, tak słudzy i poddani.

— Jak się masz, mój drogi chłopcze! — zawołał czystym głosem i uściskał wnuka, który ręce jego całował. — Oho? i ty tu, mosanie Amor! — rzekł do legawca, który wyskoczył za panem i stał z boku, patrząc na nich bystro i kiwając ogonem. Pies zapiszczał od radości, gdy do niego starzec przemówił, spiął się na jego piersi i twarz jego lizal. Gdy się to działo na dziedzińcu, turkot bryczki i brzęk kółek chomątów wywołał z domu i resztę familji. Stał na ganku ojciec pana Józefa, stała matka, stała siostra, a wkrótce za nimi wyszła niewielka, cokolwiek przygarbiona staruszka, z laseczką w ręku, i rozpychając synowę i wnuczkę, wysunęła się naprzód do faworyta swego

wyciągała drżące ręce. Upadł jej do nóg młodzieniec, a gdy powstał przeżegnany, powitał z uszanowaniem ojca i matkę i chwycił w objęcia siostrę, która śmiała się i płakała razem.

Gdy wszyscy poszli do pokoju, oddani wspólnej radości powitania, gdy babunia usiadła w swoim krześle i posadziła obok siebie swego Józia, gdy matka poszła już z kluczami do spiżarni, aby jeszcze jaki przysmaczek przydać do zadysponowanej już kolacji, gdy Anusia pobiegła do swojej szafki i wybierała garnuszek śmietanki z najlepszym kożuszkiem do kawy; gdy dziadzio karesował Amora i wypytywał go, wiele bekasów spłoszył, wiele kaczek nie zniósł, gdy ojciec milczący i poważny przechadzał się zwolna i spoglądał z rozrzewnieniem to na rodziców, to na syna: my tymczasem poznajmy się cokolwiek bliżej z tą zacną rodziną, która, jak się domyślam, zainteresowała już każdego, kto ceni poczciwość staropolską i wysłużone rozumem i cnotą błogosławieństwo Boże.

Pan Wincenty Starzycki, dziadek familji, wychowany w Polsce, w domu pani Kurdwanowskiej, starościny Baranowskiej, której imieniem i tytułem zaprawione było każde jego opowiadanie, przeniósł się na Wolyń w r. 1785 i tam rządził długo majątkiem hrabiego S**, który w nagrodę jego usług i uczciwości, dał mu na dziedzictwo w Czaplincach piętnaście chat z dworkiem i zabudowaniami. To był początek jego fortuny, która powiększyła się niewiele, ale powiększyła się istotnie przez oszczędność, porządek, dobre zagospodarowanie; i taki był stan tych kilkudziesięciu chłopków, że każdy miał najmniej parę wołów, parę koni, kilka krów, czystą i porządną chałupę, ogród, całą stodołę i szopę. Gdy się syn jego, Hipolit, w r. 1811 ożenił, ojciec zdał mu gospodarstwo, przyuczał do porządku i oszczędności, patrząc z ukontentowaniem, że nauki jego nie idą w las, że syn z całą energją młodego wieku brał się do dzieła i prowadził wszystko z rozsądkiem i zimną krwią, którą stary szlachcic pochwalić się nie mógł. Tym sposobem szły rzeczy zgodnie w miłości, porządku i zaufaniu. Powiększono dworek, założono nowy ogródek, poprzerabiano gospodarskie zabudowania, i tak zwolna, stopniami, <http://rcin.org.pl> ciąglem staraniem ciąglem rozmierzaniem

sil i przedsięwziąć, przyszedł ten folwarczek do tego kwitującego stanu, w którym się znajdował w r. 1838, to jest w epoce tych wypadków, któreśmy opisać przedsięwzięli.

Znają już czytelnicy mniej więcej naszego dziadzia, dodam tylko, że to był człowiek kardynalnie uczciwy, ale gorączka. Każda podłość, każda krzywda bliźniego oburzała go niezmiernie. Przywykły z młodości do korda, w późniejszym wieku zachował tylko łaskę grubą czereszniową, znajomą w całym domu pod nazwiskiem generycznym¹ czereszni, którą się odgrażał często krzywdzicielom, czy możnym, czy ubogim, czy bliskim, czy dalekim. Wszakże czeresznia nigdy nie była w użyciu, stała ona spokojnie w tym kącie pokoju dziadziowego, gdzie wisiała jego dubeltówka, jego borsucza torba, rogowa trąbka i pas skórzany z ładunkami. Oddawna już dziadzio nie wtrącał się bynajmniej do gospodarstwa, widząc, że syn lepiej nawet rzeczy prowadzi od niego; ale pod wyłączną i bezpośrednią jego dyрекcją znajdował się ogród. Całe lato o czwarłej zrana, w manszestrowej kurtce, z popielatą czapeczką na bakier, z toporkiem na rękę i z króbką pasieczniczą, w której nosił swoje narzędzia ogrodnicze, wychodził do ogrodu. Tam nie cierpiał żadnej kontradycji i od nikogo też jej nie doznawał. Wszyscy szanowali nawet jego wymysły ogrodnicze, w których wszakże nie upierał się długo. Miło było patrzeć na fantazją starca, gdy niósł z triumfem pierwszą wiązkę szparagów, pierwszych kilka truskawek, lub parę wiszenek tylko co dośpiałych, i oddawał synowej, którą nadzwyczajnie kochał, i której się zwykle te pryminie industrii dziadziowej dostawały. Oprócz ogrodu miał jeszcze swoją komórkę, gdzie był warsztat stolarski, narzędzia ciesielskie i ogrodnicze. Tam prześadywał całe dni słotne, wyrabiał różne drobiazgi, reparał brony, plugi, wózki, i t. d. Zawsze czynny, zawsze wesół, umiał mnóstwo piosneczek do każdej okoliczności, mnóstwo dykteryjek i powieści, które się zwykle kończyły jakimś szczegółem o domu pani Kurdwanowskiej, starościny Baranowskiej. Wieczorem grywał w marjasza z żoną, staruszką cokolwiek

¹ generyczny — rodzajowy (franc. *générique*).

schorowaną, już przygarbioną i bladą, ale miłych rysów, jeszcze zupełnie przytomną, czystą, okrątną w stroju i przywykłą ulegać mężowi i szanować nawet jego kaprysy, za które ją później serdecznie przeproszał. Jedną wszakże miała słabość i uprzedzenie ta zacna kobieta, i w tem nikt nie śmiał być innego z nią zdania. Podnosiła się ona zawsze i prostowała, jak mogła, gdy rzecz szła o jej faworyta, jej wnuka, pana Józefa. Właśnie niedawno, w skutek jej predylekcji babki, przyszedł nasz bohater do owej nietyczanki, która jak port przydadkowy dała przytułek pięknej podróżnej, bliskiej zatonięcia w kaluży. Ofuknęła się staruszka na męża i na syna, którzy znajdowali, że wydatek ten niepotrzebny i zbytkowy, i postawiła na swoim. Widziała ona w panu Józefie wszystkie doskonałości, i broń Boże było zaprzeczyć. Miał on wprowadzić wiele przymiotów, ale dalekim był od tych perfekcyj, o których marzyła babunia. Mniej była pobłażliwą dla wnuczki, chociaż serdecznie kochała Anusię, ładną blondynkę z ślicznymi niebieskimi oczyma, posłuszną, potulną, ale rozumną i gotową zawsze na każde zawołanie babuni.

Różnym był w wielu względach od ojca syn jego, Hipolit Starzycki, terażniejszy gospodarz tego domu. Bardziej oświecony, lubiący czytanie i zajęty często książką w chwilach swobodnych, nie miał on żywości i wesołego humoru starca. Często zamyślony, głęboko zastanawiający się nad wszystkim, co się koło niego działo, zawsze serjo, patrzył na życie ze strony jego poważnej; każdy swój obowiązek roztrząsał, widział wszystkie jego wymagania i konsekwencje, i z każdego kroku zdawał przed sobą samym ścisły rachunek. Pelen uszanowania dla rodziców, długo, a nawet i teraz niekiedy radził się starego ojca. W zatargach nieuchronnych z tyłu sąsiadami, zawsze ustępował pierwszy, jeśli wina była jego ludzi; lecz krzywdy sobie zrobić nie dał i zadzierać się z sobą kłótniwej szlachcie nie pozwalał. Nie był on mściwy, ale energiczna jego dusza, zapominając krzywdę, gardziła krzywdzicielem. Żonę kochał nad życie, chociaż jej tego nie okazywał. Przywykła już ta delikatna, dobra i ładna kobieta do takiego obchodzenia się męża. Od szesnastego roku życia znajdując się pod jego

kierunkiem, poznała go doskonale i wiedziała dobrze, że pod tym obojętnym pozorem jest uczucie pełne głębokości i siły. Ale zato jakąż cenę miało uściśnienie, gdy czasem w chwilach smutku lub radości położyła jasną swą i małą główkę na jego szerokiej piersi, i poczuła się w tem męskim i opiekuńczem objęciu! Pan Hipolit Starzycki był wysoki, silnie zbudowany, cokolwiek łysy, skromny w jedzeniu i napoju. Od dawnego czasu zarzucił frak i chodził zawsze w jasnym sieraczkowym surducie, a latem przy gospodarstwie w płóciennej szarej czamarce z czarnemi potrzebami.

Takie było personale tej zacnej rodziny. Niech się nikt nie dziwi, że nie było w niej żadnego wyrodka, żadnej karykatury; bo, jak powiedzieliśmy, dom ten kwitnął pod błogosławieństwem Bożem, wysłużonem poczcziwemi myślami, pobożnem poddaniem się, czystością obyczajów, umiarkowaniem i pracą.

Punktualnie o dziewiątej wszyscy w domu pana Starzyckiego rozchodzili się do siebie. Wtenczas matka przyrządzała dla wszystkich czystą bieliznę, jeśli to była środa lub sobota, i roznosiła ją najczęściej sama mężowi, dziadziowi i babce, Anusia odświeżała czepeczek i kołnierzyk dla matki i dla babki; ojciec przepatrywał w swojej kancelarji rachunki, lub czytał; dziadzio pochodził po pierwszym pokoju naprzeciwko i odmawiał pacierze, a babunia, siedząc w swoim krzeselku przy zasłanem już łóżku, z paciorkami w rękę, odmawiała jeden pacierz za męża, jeden za dzieci, jeden za wnuków w ogólności, jeden za siebie, jeden za dusze zmarłych, a potem dwa cichaczem i osobno za pana Józefa. Tymczasem w domu i obejściu było już cicho i spokojnie. Wszystkie wnijscia były pozamykane, wszyscy słudzy byli na swoich miejscach, konie, bydło i drób, wszystko to było zamknięte i opatrzone; bo zaraz po wieczery, która się kończyła o ósmej, gospodarz domu latem i zimą, w pogodę i słotę, obchodził cały dom, zaglądał wszędzie, widział wszystko własnem okiem, i potrzebne wydawał dyspozycje. Tak było codzień i do tego porządku, którego nigdy nikt nie psuł, przyzwyczajeni byli i członkowie familji, i domownicy. Dziś, z okazji przybycia pana Józefa, był

on cokolwiek naruszony. Gdy bowiem o godzinie dziewiątej wszyscy oddali sobie dobranoc, ojciec, odchodząc do swojej kancelarji, zawołał jeszcze za sobą syna. Tam pan Józef musiał mu zdać sprawę ze wszystkiego, co się tyczyło mająteczku matki, składającego się ze czterdziestu dusz i leżącego w Laticzowskim powiecie na Podolu, a którego rząd zupełny był mu od lat czterech oddany. Konferencja ta trwała blisko z godzinę. Nakoniec ojciec, kontent z syna, i widząc, że rzeczy bierze serjo, że zna wszystkie najdrobniejsze szczegóły, pochwalił go, podał mu rękę i kazał pójść odpocząć po drodze. W całym domu była cichość głęboka. Matka już była w łóżku, ojciec kładł się, dziadek i babka już spali. Gdy pan Józef przechodził przez pierwszy pokój, postrzegł koło drzwi matczynych postać białą, która się do niego cicho zbliżyła. Była to Anusia.

— Józiu! — rzekła — chciałabym z tobą pomówić.

— Chodź do mnie — odpowiedział brat, i wzięwszy się za rękę, poszli na drugą stronę, otworzyli drzwi cichutko, przeszli przez pokój na palcach, żeby staruszków nie zbudzić, i usiedli na łóżku obok siebie. Amor położył się w nogach Anusi, a ona, wzięwszy rękę brata w swoje dłonie, rzekła tkliwie:

— Józiu! ty mnie o nic nie pytasz? ty coś dla mnie obojętny i jakiś zamyślony.

Zaczerwienił się młodzieniec na te słowa, stanęła mu w myśli jego dzisiejsza przygoda, wyobrazily się czarne loki, ciemne oczy błysnęły przed jego duszą, uczuł w swoim objęciu tę kibić wyniosłą i wietką, i mimowolnie westchnął.

— Ty wdychasz, mój drogi Józiu! — dodała siostra, ściskając jego rękę. Przewyciężył się młodzieniec, potrząsł głową i rzekł:

— Nie, moja Anulku! tak ci się zdało. Jestem cokolwiek zmęczony... drogę miałem niegodziwą.

— A przecież ładna twoja nietyczanka musi nieść lekko. Ale żebyś ty wiedział, jaka tu była scena o tę nietyczankę, jak się babunia rozgniewała, gdy dziadzio i ojciec mówili, że to będzie dużo kosztować, i że to tobie niepotrzebne.

— Kochana babunia! — rzekł pan Józef, znowu wdycha-

jąc. — Tem droższym teraz będzie dla mnie ten powóz. Wierz mi, Anusiu! — dodał z przyciskiem, — nie oddałbym go dziś za nic w świecie. Ale nie mówmy o tem. No, moja droga Anulku! tak tedy idziesz za mąż?

— Podobno — odpowiedziała Anusia, spuszczać oczy i czerwieniąc się.

— Jakże to było? powiedz mi.

— Najprościej w świecie — odpowiedziała panienska. — Pan Ignacy przyjechał tu w czasie samych żniw z jakimś interesem do ojca. Bawił pół dnia i wkrótce spostrzegłam, że na mnie poglądał i czerwienił się, co mnie cokolwiek mieszało. Jakem mu po obiedzie podawała kawę, sama zaczerwieniłam się nie wiedzieć czego, i zmiarkowawszy to, byłam zła sama na siebie i jeszcze gorzej zmieszana. W tydzień potem przyjechał posłaniec z listem. Ojciec, przeczytawszy ten list, zawołał mamę, i potem poszli razem do babuni i posłali za dziadziem do ogrodu. Dziadzio z początku nie chciał iść, bo tam miał jakąś pilną robotę, ale mama sama za nim poszła, i dziadzio, śmiejąc się i śpiewając piosneczkę o Jasiu i Kasi, poszedł także do babuni, i tam wszyscy długo z sobą rozmawiali.

— A ty nie posłałaś dowiedzieć się, od kogo to posłaniec? — przerwał, uśmiechając się, pan Józef.

— Fe, Józiu! nie zawstydzaj mnie! — odpowiedziała panienska, kładąc rękę na jego ustach. — Ach, zgadłeś, zgadłeś! posyłałam, bo nie wiem dlaczego serce mi biło i nie mogłam się uspokoić. Prawda, żem nie powinna była być tak ciekawą?

— To pan Ignacy temu winien, że się rumienił, gdy na ciebie patrzył. Więc to list był od niego?

— Naturalnie, że od niego — odpowiedziała żywiej — ale mnie nic o tem nie mówiono.

— A ty udałaś także, że niby nic nie wiesz? — rzekł pan Józef, obejmując siostrę.

— Oczywiście — mówiła, tuląc się do brata i włączając z nogami na łóżko. — Ale słuchajże dalej. Przez cały tydzień potem ojciec, jak zwykle, był poważny i nic po sobie nie pokazał. Mama częściej mnie karesowała, i uważałam, że przeglądała bieliznę i płótna w spiżarni: babunia ciągnęła *pasjans*

i kabalę i zawsze mnie kazała karty zdejmować, a dziadzio coraz nowe śpiewał piosneczki. Aż tu raptem w następującą niedzielę, patrz, ni z tego ni z owego, znowu pan Ignacy przyjechał. Rodzice miło go przyjęli, dziadzio go uściskał i babunia także.

— A ty? zaczerwieniłaś się?

— Okropnie! jak piwonja, aż mi wstyd było. Ale potem jakoś przyszłam do siebie, i jakim mu podawałam kawę po obiedzie, już nic a nic nie zmieszałam się — tylko...

— Tylko co?

— Powiedzieć ci prawdę?

— Wszak potoś tu przyszła, żebyś mi się wyświadczyła ze wszystkiego.

— Otóż powiem ci, że mi bardzo miło było jemu usłużyć. I jak zmiarkowałam, że on u nas będzie nocować, to byłam bardzo kontentną, naprzód dlatego, że go jeszcze jutro obaczę, a potem że nie będzie po nocy jechać, i u nas, na twojem łóżku, lepiej mu będzie, niż gdzie w karczmie u żyda. Krótko mówiąc...

— Krótko mówiąc — przerwał pan Józef — pan Ignacy podobał się panience.

— Bardzo — odpowiedziała prędko i pocałowała brata. Ale pocałowanie było tak szczere, tak głośne, że się biedna przelękla, i kładąc palec na ustach, spójrzała ku drzwiom babki. Potem dodała: — Ach, ciszej mówmy, bo mnie babunia jutro wylajać gotowa, że ci po drodze spać nie dają. Ona cię więcej kocha, niż nas wszystkich razem. Ale może ty doprawdy chcesz już spać?

— Bynajmniej, moja droga! Szczęśliwaś, że kochasz i że jesteś kochaną — dodał z westchnieniem.

— A czegoż ty wzdychasz, Józiu? ja ci powiadam, że to niedarmo. O! ja się znam na tem; ty musisz także kochać.

— Roi ci się... Nie, nie, moje życie — odpowiedział drżącym i cichszym głosem.

— Mów co chcesz, a to nieprawda. Ale nie dziś, to jutro, a przecież dowiem się. Bo nie wytrzymasz, powiesz mi, bo tak miło pomówić o tem, co serce czuje. Ja czekałam twego przyjazdu, jak zbawienia.

— Dawnoż ci się pan Ignacy oświadczył?

— Oświadczył? On mi się wcale nie oświadczał. Już na drugą niedzielę jak przyjechał, tośmy tak z sobą rozmawiali, jak gdybyśmy się znali od niepamiętnych czasów. A jak wyjeżdżał już we wtorek, ścisnął mnie za rękę i powiedział: — Czy panna Anna pozwoli mi przyjechać w niedzielę? — A ja podobno także ścisnęłam go za rękę i odpowiedziałam: — A jak pozwolę, to pan pewnie przyjedziesz? — Chybabym umarł! — rzekł, i popatrzył mi w oczy tak miło, że aż mi się płakać chciało. Widzisz, Józiu! ty znowu wzdychasz?

— Nie, nie. Cóż dalej?

— A cóż? na drugą niedzielę pan Ignacy jak wyrósł w Czaplincach. Po śniadaniu wszyscy poszli do babuni i on tam poszedł, a ja niby to nie wiedziałam poco. Potem i mnie zawołali. Dziadzio zaczął mnie ścisnąć, śmiać się i płakać, i zapytał mnie, co też ja myślę o tym panu, który tu stoi, spuściwszy nos na kwintę?

— Cożś odpowiedziała?

— Zawstydziałam się bardzo, schowałam twarz na piersi dziadzia, a ręka moja, sama nie wiem jak, znalazła się w rękę pana Ignacego. Ach! mój drogi Józiu! co to była za szczęśliwa chwila! nawet w oczach ojca widziałam łzy. A o mamie, to już niema co mówić. Kiedyśmy jej do nóg upadli oboje, ścisnęła nas i płakała biedna, że aż ją babunia połajała. Potem, wyobraź sobie, przy obiedzie siedzieliśmy już przy sobie, i cały dzień gęba się nam nie zamykała. Ale ty już drzymiesz, Józiu?

Pan Józef nie drzymał wcale. Przechylił on głowę na tył, oparł ją o chłodną ścianę, a z pod przymkniętych jego powiek łzy się wytoczyły i popłynęły po twarzy. Anusia postrzegła to, pokiwała główką, ale tą razą już mu się nie uprzykrzała pytaniami. Potem, pomyślawszy, rzekła nieśmiało:

— Słuchaj, Józiu! ja ci chciałam jedno zrobić zapytanie i nie śmiem.

— Dlaczego nie śmiesz?

— Bo widzisz, mój drogi, w niem zamykać się będzie jakaś wątpliwość, która może ubliżyć temu, którego kocham, i którego mi dają rodzice. Ale ja tobie tak ufam! tyś taki dobry,

taki rozsądny! ty mnie tak kochasz! — powiedz mi, Józiu, szczerze, czy ja będę szczęśliwą?

— Będziesz, będziesz, moja Anulko — rzekł, ściskając ją z wylaniem. — Pan Ignacy człowiek uczciwy, rozsądny, kocha cię pewnie, bo jakżeby ciebie nie kochać? Największa moja obawa była, czy ty go kochasz. Ale i w tej mierze zaspokoiliś mnie zupełnie. A nadewszystko cieszy mnie to, że pan Ignacy równy tobie urodzeniem i majątkiem; a to ważna rzecz, moje życie — dodał, ściskając mocno jej rękę.

— A tyś pewnie pokochał jakąś osobę bogatą? nieprawdaż? biedny bracie!

Powstał pan Józef, zrobił parę kroków, ale, spójrzawszy na drzwi babki, zatrzymał się, wrócił nazad na palcach, i uściśkawszy serdecznie siostrę, rzekł cicho:

— Idź już spać, Anulko.

Anulka poszła cichutko, oglądając się smutno na brata. On rozebrał się, położył... i chciał zasnąć. Ale sen daleko odbiegł od jego oczu. Stał przed nim cały obraz walk, na jakie się narazi, jeżeli da się pokonać słodkiemu uczuciu, które się zagnieździło w jego sercu. Czuł zaś, że zwycięstwo będzie trudnem, ledwie niepodobnem. Obraz szczęścia siostry rozmarzył go do reszty. Opisanie zaś proste tej chwili, kiedy jej związkowi błogosławili rodzice, kiedy dziad i babka żegnali ją sędziwą swą ręką, napelnilo serce jego śmiertelną obawą, że i starcy zganiają jego zapędy, że ojciec nie zaaprobuje ubiegania się o rękę panny, która, jeśliby weszła pod dach szlachećca, to wejdzie z dumą i pretensjami pańskimi. Z drugiej strony byłże pewnym jej uczuć? może już zapomniała o młodzieńcu, do którego uśmiechała się słodko, którego ścisnęła za rękę. Ale kóż wie? nie byłaż to z jej strony kokieterja, lub prosta wdzięczność za uczynioną przysługę? Panna tak ładna, tak bogata, mogłaż do tej pory nie mieć nikogo, coby się ubiegał o jej miłość? Prosiła go wprawdzie, aby odwiedził jej ojca. Ale to mogło tylko dowodzić jej grzeczności; a jeżeliby nawet było oznaką tkliwszego uczucia, pod jakimże pretekstem przestąpić ten próg, dla niego zakazany? Jak powiedzieć ojcu, że chce zawrzeć znajomość z bogaczem, którego on nie szacował, kiedy znalazł su-

rowość jego zasad i niezachwiane postanowienie niebratania się nigdy z wyższym od siebie? Wszystkie te myśli tłumnie krążyły po jego głowie, i ledwie przede dniem ciało wzięło górę i sen zamknął jego powieki.

IV.

Pan Plachta był jednym z najzamożniejszych obywateli w Czaplincach. Miał on tam blisko siedemdziesiąt dusz, najlepszą część sianozęci, najdogodniej położone grunta, stawek rybny i głęboki, i młyn, który dość znaczny przynosił dochód. Ale na nieszczęście pan Plachta był w młodości swojej *totum-factum* w jednym z możnych domów na Wołyniu, i przywykł do tego, co nazywał *komilfo*¹, i o co starał się we wszystkim. Zaczął od wzięcia żony *komilfo*. Była to kobieta niebrzydka, ale, wychowana w sąsiedztwie bogatego i modnego domu, przewróciła sobie głowę pańskością. Krzywiła się, jeśli jej nie adresowano listów: *À Madame la Comtesse Plachcina*; do męża nie mówiła inaczej, jak *Monsieur Plachta*, imitując jedną z dam, która świeżo wróciła z zagranicy; od biedy mogła się trochę rozmówić po francusku, ale dawała wszystkim frazesom polski obrót, przemieniała co chwila rodzaj rzeczowników, przeciągała wiecznie wszystkie wyrazy na przedostatniej zgłosce i używała najniewłaściwiej i najdziwaczniej partykułów *en* i *y*, które pasjami lubiła. *En voulez vous du café? Monsieur Jakób!*² mówiła zawsze do pana Jakóba, starego kawalera, który ją często odwiedzał, i jak kronika Czaplinciecka głosiła, oddawna cholewki do niej smalił. Mąż, jak mówią, patrzył na to przez szpary, bo pan Jakób był *komilfo*, bywał u pani Włodzimierzowej Podziemskiej, urodzonej księżniczki W., grał ślicznie na gitarze hiszpańskiej i śpiewał doskonale: *Te brzóz kilka*, i inne piosenki. Oprócz pana Plachty i pani Plachciny były jeszcze dwie panny Plachcianki, Zenobja i Kryspinja, które matka zawsze z francuska nazywała Zenobi i Kryspin; ojciec, żeby się nie rozminąć z ulubionem swoim *komilfo*,

¹ *komilfo* — (franc. *comme il faut*), jak należy (wytwornie).

² Czy chce pan kawy, panie Jakóbie? (*En* niepotrzebne).

dodawał: *Medmozel Zenobi i Kryspin*; a pan Jakób, który miał widać pewne prawa do pieszczenia progenitury¹ pani Plachciny, nazywał Biniu i Piniu. Były to panienki lat dziewiętnastu i osiemnastu, tłuste, białe i nieszpetyne, ale ich edukacja i manery, równie jak dom i całe jego urządzenie, odpowiadały głównemu usposobieniu państwa Plachtów.

Dom był obszerny, zabudowania gospodarskie rozległe, bo panu Plachcie dostał się przy kollokacji dawniejszy folwark całej wsi, ze wszystkimi jego attynencjami². Ale dach był na domu dziurawy, ściany obszarpane, okna po większej części zaklejone papierem, stodoła i obora w ruinach. Wprawdzie trudno było na tak małej części utrzymać w porządku i całości tak wielkie budowy; wszakże przy staraniu i oszczędności choć część ich najpotrzebniejsza mogła być zachowana. Resztę należało rozebrać i sprzedać. Ale pan Plachta osądził, że jest komilfo mieć kilkanaście pokoi i obszerną zagrodę, chociaż mu ciekło za kolnierz, chociaż często panny Plachcianki musiały z łóżeckami swojemi emigrować z jednego kąta w drugi, a biedne cieleta w chlewie przezroczystym, jak małeńkie foki, siedziały nieraz po szyję w wodzie. W toalecie państwa Plachtów i panienek Plachcianek był ten sam charakter zdartej i zszarżanej komilfowości. Pani Plachcina nie pokazywała się inaczej w kompanji, jak w birecie³ z piórami, ale czas pokrył szacowną niepewnością kolor materji, z której był zrobiony, oskubał znacznie pióra, które chwiały się na jej głowie, i porobił szecerby i szpary pod pachami jej aksamitnej sukni, krótkiej w stanie, wąskiej i wytartej, ale zdaniem pana Jakóba dającej jej postać królowej. Panny Plachcianki występowały także w materjalnych sukienkach, robionych na kogo innego i branych na kredyt w tandetnym składzie Szlomy, w trzewiczkach materjalnych, ale ukazujących zdradziecko pończoszki przedziurawione na pięcie, w perłach ogromnych z fermoarem⁴ ciężko brązowym, w kwiatkach, na których

¹ *progenitury* — potomstwa.

² *attynencja* — przyległość, przynależność.

³ *biret* lub *beret* — czapka okrągła hiszpańska bez daszku.

⁴ *fermoar* — zapinanka u naszywników, lancuszków itp. (wyraz francuski).

kurzawa legła grubą warstwą i dawała różom i makom kolor cegły, a powojowi błękit paznogi w febrze.

Państwo Plachtowie mieli także lokaja, i niestety! z brudno-żółtym paskiem na kołnierzu, który miał reprezentować galon, bo jakże może być dom komilfo bez galonowej liberji? Ale tego dziurawego i prawie bosego Hryčka we fraku, którego pani Plachcina, niewiadomo dlaczego, przezwiała Żorżem, nie można było nigdy oduczyć, aby nie ucierał nosa palcem wtenczas, gdy komu na wyszczerbionym talerzu wodę podawał. Umeblowanie domu odpowiadało reszcie: zszarzana elegancja, popaczone mahoniowe forniry, dziurawe i wystrzępione obicia, starte i nawet niepolatane dywaniki i t. d. Otóż w takimto domu, 17 października, w dzień świętej Lucyny, była wielka feta. Były to imieniny samej pani, które mąż zawsze solennie obchodził. W domu był ruch wielki. Spodziewano się dużo gości, i nietylko wszystkich Czaplienieckich kollokatorów, ale nawet z sąsiedztwa. Po rannym zaraz obiedzie zaczęła się toaleta, i wkrótce wyszedł pan Plachta w cynamonowym fraku, z długimi, ale wąziutkiemi polami, w granatowych ciasnych szarawarkach, podczesał siwe swe włosy i nastawił spory fontaż białego halsztuka. Niewielkiego wzrostu, wyprostowany, chudy i zwinny, zaczął obchodzić pokój bawialny i przygotowywać go ostatecznie do przyjęcia licznej kompanji. Przestawiał więc meble, wysuwając mniej dziurawe na pierwszy plan, a bardziej obszarpane lub zupełnie pozbawione obicia zastawiając po kątach. Niemaló także miał roboty, nim wazonikami i firankami pozasłaniał papier, którym trzy szyby w bawialnym pokoju były zaklejone. Frenzelki z papieru, w które oprawione były świece, produkt gustu i industriji panny Zenobji, już były zrobione przed obiadem. Obejrzał je tylko pan Plachta, nastrzepił bardziej komilfo i symetryczniej poustawiał. Sporą trzaskę podłożył pod jedną nogę stołu przed kanapą, aby się nie kiwał; obejrzawszy jeszcze raz wszystko, kazał zakadzić zasuszonemi skórkami z jablek. Zadyszany i spotniały Żorż związał się, jak mucha w ukropie, i ciągle dawał szturchańce stajennemu chłopakowi, który, przybrany w stare spodnie, jakiś odwieczny frak pana Plachty, z zachowaniem jednak własnych

chłopskich butów, miał reprezentować lokaja i pomagać Żorżowi. W sieniach także stały już dwie kobiety ze wsi, które tuliły w siermięgach płaczące dzieci i oczekiwały smutno, poco je wezwano i co każą robić. Miały one pójść do kuchni i pomagać pomywać naczynia.

Wyszła nareszcie solenizantka w berecie na włosach poczernionych, o które brukały się jeszcze bardziej brudne już białe pióra. Do obszernego jej ciała przyklejała się aksamitna suknia, z krótkimi, buchastymi rękawami. Czerwone ręce nie miały rękawiczek, ale zato na rozległym jej gorsie zwiżał się w przezroczystą mgłę stary, pożółkły szalik gazowy, okręcony dwa razy, i zdawał się reprezentować obłok, na którym malowały się żywe kolory tej korpulentnej Irydy.

Pani Plachcina rzuciła przymrużonemi oczyma wokół, podjęła palcem koniec nosa cokolwiek przyplaszczonego, aby się wydawał zadartym, i, podchodząc ku rozbitemu zwierciadłu i poprawiając jeszcze beret na głowie, zapytała:

— *Eh bien, monsieur!*¹ czy już wszystko gotowe?

— Już, już, moja nieoceniona! Co? komilfo? nieprawdaż?

— Tak, tak — odpowiedziała — wszystko to twoje starania, *Monsieur Plachta*, i twój gust.

— Najlepszy dowód gustu dałem lat temu...

— *Monsieur!* — przerwała obrażona pani Plachcina i starając się wyrazowi temu dać intonacją, jaką jej dawała ta pani, co niedawno wróciła z zagranicy — wiesz dobrze, że tych dat nie lubię. — Zaśmiał się pan Plachta, podłożył obie ręce pod polę fraka, podniósł zgrabnie lewą nogę w górę i, nachylając się, pocałował żonę w ramię pulchne i jeszcze białe.

— Ale gdzież to nasze nimfy? — zapytał potem.

— Zaraz się ukażą — odpowiedziała pani Plachcina, idąc z pewnem arystokratycznym chwianiem się ku drzwiom córek, a uchyliwszy je cokolwiek, zawołała:

— *Zenobi, Kryspin! en venez-vous? ou non?*²

— *Nous y venons, maman, tout-de suite*³ — odpowie-

¹ No, panie!

² Czy idziecie, czy nie?

³ Idziemy, mamo, w tej chwili.

działy po francusku. Bo zacna pani Plachcina, dawszy córkom swoją tuszę i wdzięki, przekazała im także i swoją znajomość francuskiego języka. Katowały go one, jak mogły, w rozmowie między sobą, ale mówiły nim prędko i biegle, i rozumiały się doskonale. Słyszac tę ich rozmowę, pan Jakób, który nie wszystko rozumiał, poklaskiwał, a pan Plachta, który nic nie rozumiał, pysznił się, że ma tak komilfo żonę, córki i przyjaciela domu.

Wyszły nareszcie panny Plachcianki w odpowiednim uroczystości stroju, którego opisywać nie myślę; zaczęły się oraz schodzić i zjeżdżać goście. Tu już pozwolą mi czytelnicy niektórych szczegółów, ponieważ one potrzebne będą do dalszego ciągu tej historii.

Wszedł naprzód pan Birucki z żoną i córkami. Był to szlachcic już niemłody, z ogromną facją, obsypaną pryszczami, z nosem zaczerwienionym, w szaraczkowej kapocie i z białym kapeluszem w ręku. Wąsy wielkie i gęste przykrywały wierzchnią wargę, a czupryna, dość nisko przycięta, posypana już była szronem. Wszakże pan Birucki miał tylko pozór straszny, zresztą był to człowiek dobry, niekłótlivy, i bał się dwóch rzeczy: próżnej butelki i żony. Posunął się staroświeckim sussem do ręki pani Plachciny, palnął odpowiedni komplement, a potem z kolei cmoknął w rączkę pannę Zenobją i pannę Kryspinją. Obok niego była pani Birucka, chuda, mała, ale najeżonym czepcem i wielkimi kokardami i szlarkami podnosząca swoją figurę. Na sukni, zielonego podobno koloru, miała wielki szal pomarańczowy, który, chociaż był trzy razy okręcony na jej rękę, jeszcze jednak włókł się po ziemi. Pani Birucka dygnęła dość obojętnie solenizantce, bo cierpieć jej nie mogła, jako swojej najbliższej sąsiadki, co jej ta ostatnia z całego serca odplacała. Panny Plachcianki przywitały się także zimno z pannami Biruckimi i widać było, że nieporozumienia matek przelaty się i na dzieci. Dawniej, gdy były mniejsze, siedząc wszystkie cztery na płocie, odgraniczającym ich ogrody, paplały nieraz, jak srocзки, i lubiły się wzajemnie; ale od tego czasu, jak pani Plachcina dała fałszywy model na czeppek pani

Biruckiej, tak, że zmarnował się tyfoń¹, z którego miał być zrobiony, i gdy nawzajem pani Birucka, odpłacając za zdradę zdradą, dała swojej sąsiadce fałszywy przepis na baby, tak, że mąka, jaja i drożdże poszły wniwecz i państwo Plachtowie z tej okazji nie mieli ciast komilfo, oziębily się zupełnie sąsiedzkie stosunki, i tylko mężowie jeszcze utrzymywali pozorą zgodę. Wszakże mówiono już o tem głośno w Czaplincach, że burza co moment była bliska wybuchnienia.

Zaledwie te pierwsze powitania skończyły się, gdy zajęła bryczka, w której był mężczyzna, kobieta i sześcioro małych dzieci, to na kolanach u rodziców, to stojących w kupce. Bryczka z tym pakunkiem wyglądała jak gniazdo pełne wróbli. A gdy z niego wylazła ta płodna para i z całym swym pokoleniem weszła do pokoju, zrobił się ruch i wrzawa powstała. Jegomość zaczął ciąć niezmiernie głośno komplement solenizantce, dzieci mniejsze chimerowały, nie dawały sobie ucierać nosków, nie chciały się rozbierać i wołały: do domu, a starsze rozbiegły się zaraz po pokoju, ruszając to to, to owo. Matka zażenowana, piskliwym głosem zwolywała je; panna Zenobja, bojąc się o swoje frenzelki przy świecach, które już jeden malec szarpnął, krzyczała zdaleka, a pan Birucki grubym głosem śmiał się z zamieszania, które się tak niespodzianie zrobiło. Nowoprzybyły był to pan Bartłomiej Skrętski, z żoną Placydą, kobietą niebrzydką, tłustą, ale flondrowatą, którą zawsze nazywał przez pieśczoty: Placusi! Posiadał on także część w Czaplincach, a jako dalszy cokolwiek sąsiad pana Plachty, żadnych z nim nie miał zatargów. To tylko zarzucał mu nasz gospodarz, że mieć taką zgraję dzieci nie jest wcale komilfo. Wszakże nie tak się miały rzeczy z bezpośredniemi jego sąsiadami. Dziedziniec pana Skrętskiego był Scyllą i Charybdą, w którą ani gęś, ani prosię sąsiada nie mogło wpaść bezkarnie — przepadało bez wieści. Ale że pan Skrętski był krzykliwy, wymówny, umiał wyprzysiąc się i wyperswadować, nie można go było złapać na uczynku. Z tych powodów, chociaż gniewy wrzały ciągle, do otwartej kłótni nie dochodziło. Wła-

¹ tyfoń — cienka tkanina przezroczysta (tyfoń).

śnie gdy pan Skreński coś opowiadał, bo był także i nowiniarz, i zaklinał się na honor, na żonę i dzieci, że na własne oczy widział, co nie egzystowało wcale, weszli ci dwaj jego sąsiedzi: pan Zarzycki z synem i pan Cepowski z synem. Powinnowali solenizantce, pocałowali rzędem wszystkie damy w rękę, oprócz pani Placydy, i powitawszy gospodarza i pana Biruckiego, na sąsiada swego nie zwrócili żadnej uwagi. On też nawzajem nic sobie z nich nie robił i dalej ciągnął opowiadanie. Tym sposobem dopełniała się kompanja; schodzili się ubożsi i drobniejsi posiadacze, mający po dwóch i po trzech chłopów; ten w surducie, ten w kapocie, ten w starym i obwisłym fraku; zjawiały się i panie w perkalowych czepkach, i panny w perkalowych sukienkach, w niebieskich i różowych trzewiczkach i z białemi chusteczkami na szyi.

Ale pani Plachcina zawsze jeszcze kogoś wyglądała; panny Plachcianki co moment przecierały okno chusteczką i patrzyły na dziedziniec, a pan Plachta także co chwila zazierał do sieni. Pani Plachcina naturalnie wyglądała pana Jakóba, a pan Plachta i córki jego panów Remigjusza i Pawła Smyczkowskich, dwóch braci rodzonych, którzy, chociaż obok siebie w dwóch osobnych częściach mieszkali, wspólną mieli karczmę i za halaburdów słynęli, rzadkim u nas przykładem żyli w braterskiej zgodzie. Interesowali oni naszego gospodarza przez ten wzgląd najbardziej, że pan Remigjusz grał na skrzypcach i obiecał je z sobą przywieźć, a pan Paweł akompanjował mu na klarynecie. A chociaż klarynet nie wszystkie wydawał tony, ale że pan Remigjusz nigdy bratu nie ustępował prymu, jako starszy, mniej były rażące te luki i przerwy, i wydawały się umyślnemi przestankami wtóru, dającego czas popisać się głównemu instrumentowi. Nareszcie spełniły się życzenia pana Plachty i jego córek, które, oprócz nadziei tańca, miały jeszcze inne nadzieje. Zajechała żółta bryczka na dwóch resorach i panowie Smyczkowscy, jeden ze skrzypcami w rękę, obwiązany czerwoną chustką od nosa, drugi z klarnetem, okreconym także chustką i także czerwoną, razem z niej wyskoczyli i, wszedłszy prawie razem do pokoju, razem winszowali solenizantce, razem witali damy i razem mężczyzn, jak dwaj

bracia zgodni, nierozdzielni. Dodać tu jeszcze należy, że panowie Smyczkowscy byli jednakowo ubrani w granatowych czamarkach z potrzebami, już wprowadzie nie nowych, ale jeszcze całych; jednakowo nosili wąsy i jednakowo straszne mieli bakenbardy. Chociaż utrzymują, że muzyka łagodzi charakter i obyczaje, wszakże tego jej skutku nie widać było na panach Smyczkowskich. Byli obaj zuchwali, gwałtowni, gburowaci, a tem straszniejsi dla sąsiadów, że gdy jeden się skłócił, posyłał w ten moment po drugiego, i wówczas krzyczeli ogromnie obaj, tak, że biedny sąsiad, zatknawszy uszy, uciekał do izby. Dla państwa Plachtów zaś byli ze szczególną grzecznością, bo podobno pan Remigjusz miał widoki na pannę Zenobją, a pan Paweł na pannę Kryspinję. Panowie Zarzycki i Cepowski młodzi patrzyli na to z zazdrością, ale nie śmieli jej okazać, raz dlatego, że widzieli wyraźnie, że panny słodko poglądały na wąsatych muzykantów, a powtórę, że bali się któregośkolwiek z nich zaczepić, bo gdy jeden postawił marsa i pokręcił węża, drugi także brwi marszczył i z tejże samej strony węża pokręcał.

Chociaż kompanja jeszcze nie była kompletna, bo pan Jakób się opóźniał, ale że gospodyni postrzegła, że ten i ów się ogląda ku drzwiom i chrząka, kazała podawać kawę. Panna Zenobja powtórzyła rozkaz matki Żorżowi, a przyzwawszy na pomoc siostrę, stanęły obie przy stoliku nakrytym około pieca, na którym już stało na tacy kilkanaście filiżanek i świeże bułki, które panny nazywały *les bules*¹. Wkrótce przynieśli wielki imbryk z kawą i sporą rynkę ze śmietanką. Panny zajęte były nalewaniem, a obok nich stojący panowie Smyczkowscy to chwalili zręczność, to sprzeciwiali się z umizgami, wykradali cukier z filiżanek, tręcali stolik, żeby się kawa wylewała na miseczki, i inne, równie mile i dowcipne robili figle i zaczepki. Za to wszystko odbierali to wejrzenie długie i znaczące, to lyczeczką po rękę, to kilku kroplami śmietanki, ciśnionemi zręcznie, po twarzy. Patrząc na te manewra, panowie Zarzycki

¹ *les bules* — francuszczyzna panien Plachcianek, bo wyraz taki w języku franc. nie istnieje.

i Cepowski młodzi przechadzali się, wzdychając, ale przystąpić nie śmieli, bo się bali.

Wśród podawania kawy, które miało trwać długo, bo filiżanek nie było i połowy tyle, ile gości, pani Plachcina, siedząca na kanapie, lekko krzyknęła. Wszyscy goście zwrócili się ku drzwiom otwartym i obaczyli pana Jakóba, a za nim chłopaka z pudelkiem od gitary.

Pan Jakób miał lat około czterdziestu; był średniego wzrostu i chudy. Cienkie nóżki jego okrywały wąskie kortowe szarawarki jasno-migdałowego koloru; czarny frak dawnego kroju z buchastemi rękawami, zapięty był na jeden tylko guzik; wyglądała z pod niego paljowa¹ kamizelka, a biała chustka na szyi, na ogromnej rogówce, grubo i dosyć wolno okręcona, szła pod same uszy i pozwalała brodzie swobodnie zanurzać się i pokazywać, co zawsze czynił w miarę wysokich i niskich tonów, jakie brał na gitarze. Oczy jego siwe umizgały się do wszystkich, nos długi sterczał naprzód; a że miał tylko sześć ogromnych zębów z przodu, gdy się śmiał, podobnym był do konia, kiedy poziewa. Czoło miał mocno na tył pochylone, a na głowie jego wznosił się czub z tylnych włosów naczesany, który zakrywał łysinę. Wszakże czasem zapal muzyczny psuł i to rusztowanie kokieterji, bo gdy pan Jakób, zmieniając raptem ton instrumentu, odrzucał mocno głowę na tył, i czub jego rozlatywał się na wszystkie strony.

Wszyscy prawie krzyknęli: — A! pan Jakób! Pan Jakób! — Widząc się tak pożądanym, Orfeusz czapliniecki przy drzwiach jeszcze zatrzymał się, prawą nogę wyciągnął naprzód, tak, że palcami ledwie dotykał ziemi, a trzymając w lewej ręce miękki kastorowy² kapelusz, zmięty i stary, chustką białą, którą miał w prawej, machał na tę i na ową stronę, i tak witał kompanją. Uśmiechały się oczy pani Plachciny, a pani Birucka ruszała ramionami.

— Biniu! Piniu! ruci wasze całuję — rzekł pan Jakób, przechodząc koło pańienek; a chociaż go nie zatrzymywały, dodał:

¹ paljowa — barwy słomy (franc. paille).

² kastorowy — od łac. *castor*; bobr; (kastor — file z sierści bobrowej).

Lecz puśćcie mnie do mamuni,
 Ażebym w dzień jej imienia
 Złożył u nóg jej życzenia,
 A potem dacie kawuni.

— A co? — dodał, i nie czekając, jaki efekt zrobi czworowiersz, bo pewnym go był naprzód, przystąpił do solenizantki i zaczął powinszowanie, w którym pelno było zdrobniałych i pieszczotliwych wyrazów, które mocno lubił. Zakończył zaś rzecz całą taką improwizacją:

Dajże nam, Panie Boże,
 Byśmy za rok, o tej porze,
 Zeszli się na imieniny
 Do Lucyny, do Lucyny!

— A co? — dodał, śmiejąc się i oglądając. Tą razą wszyscy huknęli brawo; pani Plachcina rozrzewniła się i wyciągnęła rękę do pana Jakóba, a pani Birucka ruszała ramionami.

Pan Jakób wniósł radość do całej kompanji, dawszy jej, że tak powiem, przedsmak tej estetycznej rozkoszy, jaką ją miał nakarmić. Radość ta powiększyła się jeszcze bardziej, gdy na tacy przyniesiono różnego kalibru kieliszki i gospodarz ukazał się z butelką. A chociaż kobiety nie miały z czego się napić i musiały zaczekać, bo kieliszków dla całej kompanji nie stało, nie zważając na to, pan Jakób wystąpił naprzód i znowu zaimprowizował:

Dalej, panie i panowie!
 Drogie to są imieniny!
 Niechże, kto ma olej w głowie,
 Duszkiem to wychyli zdrowie:
 Zdrowie Lucyny!

krzyknął i potem dodał: — A co?

— Zdrowie Lucyny! — krzyknęli także wszyscy mężczyźni, wychylając kieliszki duszkiem. Kobiety siedziały cokolwiek niekontentne, że nie mogły pokazać, że mają także olej w głowie, i obraziły się na pana Jakóba. Wszakże niesprawiedliwie, bo

pan Jakób, przez drogę układając swoją improwizacją, nie mógł przewidzieć, że kieliszków nie stanie. Ale przyszła kolej i na damy, i one dostały po kieliszku, które potem poszły w niezaprzeczone władanie mężczyzn, i póty się znajdowały w ich ręku, póki jednej, drugiej i trzeciej butelki nie wypróżniono. Wówczas pan Plachta, szepnąwszy żonie, że tyle tylko wina zostało, ile potrzeba będzie na wychodnem, prosił, aby zabawiła czem innem kompanją, a on pójdzie i zajmie się, aby pirogi z serem i pieczone prosięta, z których miał się składać podwieczórek, podane było komilfo. Wówczas pani Plachcina, przyzwawszy do siebie pana Jakóba, z wejrzeniem pełnem przyszłości, rzekła:

— *En voulez-vous chanter quelque chose, monsieur Jakób?*¹

— Cóż mam robić? — rzekł artysta, ulegając gwałtowni i poszedł do swojej skrzyneczki. Panny Plachcianki, uradowane, zaczęły klaskać rękami i postawiły krzeselko na środku pokoju; panowie Smyczkowscy pokręcali węża obaj z prawej strony, bo nie bardzo admiirowali talent pana Jakóba, który także nie miał ich za bardzo wielkich wirtuozów, a pani Placyda przywozila do porządku swoich chłopczyków, którzy wydzierając sobie kawałek buleczi, poczubili się i wrzeszczeli. Ale nareszcie uspokoiło się wszystko; pan Jakób usiadł na swoim miejscu, i założywszy nogę na nogę, puścił biegłą rękę po strunach gitary. Gdy po kilku akordach zaczął tremolando i z czuciem, nie zważając na ruiny swego czuba, zapalał się posuwał lewą ręką z góry na dół i z dołu do góry, wydobywając z instrumentu dziwne jęki; publiczność dawała znak ukontentowania ruszaniem głów i milczeniem. Zachęcony tem pan Jakób przestał nagle, spójrział po wszystkich i zapytał: — A co? — A nie czekając aplauzu, co zwykle czynił, bo go na przód był pewny, po krótkiem preludjum zaśpiewał:

Te brzoż kilka, ten bieg wody
Jak mi wiele przypomina!

¹ Czy chce pan co zaśpiewać, panie Jakóbie?

Tu przeskakałem wiek młody,
Tu żyła niegdyś Lucyna¹.

Ostatnie dwa wiersze powtórzył raz drugi, a ostatnie słowo wymawiając, przesłał ku solenizantce wejrzenie długie i mordercze. Tak było po każdej strofie, i po każdej z nich szerokie łono pani Plachciny z gazowym szalikiem podnosiło się, a głowa jej z beretem i piórem schylała się na dół. Gdy skończył i zapytał: a co? wszyscy milczeli. Zachęcony tem, pan Jakób rzekł: — Może państwu co nowego? a co? — i nie czekając prośby, bo jej był naprzód pewny, zaśpiewał:

Nie postrzegłszy w krzaku róży
Kupidyń, że pszczołka siadła i t. d.

A chociaż w ciągu piosenki pan Skrętski szepnął panu Biruckiemu, że coś niema wielkiego sensu, a panowie Smyczkowsy pokręcali węża; gdy jednak przyszło do tych słów ostatniej strofy:

Matka rzecze: jeśli, synku,
Tak dolega żądło pszczole,
Cóż dopiero, Kupidyńku,
Kogo strzałka twa zakole?

i gdy pan Jakób zawołał: a co? a co? cała kompanja umilkła; pan Remigjusz, zwyciężony, spójrział na pannę Zenobją, pan Paweł na pannę Kryspinją, a panowie Zarzycki i Cepowski młodzi, czując prawdę ostatnich słów piosenki, westchnęli, ale bali się okazać, co czują. Czem znowu zachęcony pan Jakób, już miał zacząć weselszą piosenkę i, zadzwoniwszy kilka razy po wszystkich strunach, zaśpiewał z silną przygrywką po każdym wierszu:

Nie wiem, z jakiego powodu,
Drum, drum, drum, drum, drum,
Poszła Filis do ogrodu,
Drum, drum, drum...

¹ Pieśń Ludwika Kropińskiego. Muzykę do niej dorobił niejaki Bystry z Czerwiszcz.

Ale pirogi i prosięta przerwały jego muzyczny zapal, i gdy się na stole ukazały, nie pytano już, poco Filis poszła do ogrodu, i każdy ruszył się do półmiska, a dzieci pani Placydy, pleszcząc w ręce i krzycząc różnemi głosami, które stłumiły przygrywki pana Jakóba, wołały: pirożki! pirożki!

Gdy stół sprzątnięto, panny Plachcianki, przystąpiwszy do panów Smyczkowskich, dygnęły, jak mogły najwdzięczniej, i spójrzały, jak mogły najwymowniej. Zrozumieli bracia Smyczkowscy tę niemą prośbę; grali, młodzież tańczyła, pan Skręski wywijał także z solenizantką, a gdy który z panów Smyczkowskich szedł do tańca, wtenczas pan Jakób zastępował jego miejsce z gitarą. Dzieci pani Placydy spały po różnych kątach; pan Zarzycki z panem Biruckim rozmawiali o gospodarstwie; pani Birucka ruszała ramionami, patrząc, jak pani Plachcina wywija; Żorż zmęczony stał przy drzwiach, oparłszy się o ścianę, wyciągnąwszy naprzód nogi, i nos palcem ucierał, a pan Plachta, patrząc na ten ruch i symetrię, cieszył się w duchu, że wszystko odbywa się komilfo. — —

A państwo Starzyccy? U państwa Starzyckich było cicho, spokojnie. Dziadzio chodził po pokoju i odmawiał pacierze; babunia siedziała już w swoim krześle przy łóżku i modliła się za męża, dzieci i wnuków; ojciec obchodził cały dom i patrzył, czy wszystko w porządku; matka z córką jeszcze doszywały wyprawę, a pan Józef, trzymając rękę na głowie Amora, dumal o lśniących lokach, które ocieniały cudną twarzyczkę, o ustach rumianych, które się do niego tak słodko uśmiechnęły, o czarnych ślicznych oczach, które tak głęboko zajrzały do jego duszy.

V.

— Co tobie, Kamilciu? — rzekła panna Beldeau do panny Kamilli, która, siedząc w kącie obszernej kanapy, przerzucała jedne po drugiej książeczki, które obok niej leżały, a potem, zniecierpliwiona, zgarnąwszy je wszystkie, cisnęła od siebie daleko na pokój. Zaśmiała się Francuzica i mówiła dalej: — Od niejakiego czasu zmienilaś się zupełnie.

— Tak ci się zdaje — odpowiedziała panienka, podpie-
 rając się na rękę z <http://ncim.org.pl>

— Wcale nie... nic cię nie bawi.

— Czyż może teraz co bawić, w takiej porze, kiedy deszcz i śnieg, i zimno, i wietrzno, kiedy tylko okiennice stukają, smutno szumią topole i brudne krople biją w okna?

— Czyż niepogoda mogłaby mieć taki wpływ? — rzekła panna Beldeau ze znaczącym uśmiechem.

— Zapewne, na tobie nie. Ty, Belciu, nim się zasznurowiesz, nim uczesziesz, nim poprzypinasz wszystkie kulce, łańcuszki, grzebyki, szpilki i sprzączki, to i nie masz czasu widzieć, co się dzieje; a ja potrzebuję świeżego powietrza i nie mam go, ja nietylko niezem zabawić się nie mogę, ale gotowam dostać zapalenia płuc i czarnej melancholji. — Znowu zaśmiała się panna Beldeau, a panna Kamilla spójrzała na nią, ruszyła ramionami i zamyśliła się.

— Żart na stronę, Kamilciu, czy nie choraś ty doprawdy, boś pobladła?

— Nie wiedzieć, co gadasz. Czyż taka cyganka, jak ja, może poblednąć? kiedyż ja miałam rumieńce?

— Nie miałaś nigdy rumieńców wypiętnowanych na papierowej twarzy, jak panna Hortensja, ale miałaś twarz świeżą, czerstwą i cerę śliczną, a teraz tego niema, nawet usta twoje pobladły, co były zawsze jak korale. — Panna Kamilla westchnęła i nic nie odpowiedziała. — A widzisz — mówiła dalej guwernantka — wdychasz. I powiem ci, że nawet przez sen wdychasz.

— O! co to, to kłamiesz, Belciu! — odpowiedziała prawie z gniewem panienka, i powstawszy, wyszła ze swego pokoju do sali, siadła przy fortepianie i zaczęła bić po klawiszach, mieszając różne sztuczki razem, przerywając w polowie frazesu, aby wpaść w inny z innego tonu, a wszystko szybko, bez taktu, forte, fortissimo, aż póki struna zerwana smutno nie zabrzęczała i zawziętej muzykantki nie przyprowadziła do opamiętania. Wtenczas panna Kamilla zaczęła chodzić po sali i marzyć. Marzyła o kaluży na drodze, o ładnym młodzieńcu, który jej przyszedł na pomoc; widziała żywo jego postać męską, wzrost przystojny, twarz miłą i myślącą; podobalo się jej to, że choć błotnym, był ogorzałym od słońca,

że tylko czoło jego wysokie było białe i jasne; przypominała głos wdzięczny i brzmiały i te oczy ciemno-błękitne, co tak rzewnie, tak rozumnie, a zarazem tak niebojaźliwie patrzyły. Wyobrazivszy go sobie z całą żywością młodej imaginacji, zapragnąwszy go jeszcze raz obaczyć z całym wyteżeniem duszy ognistej i energicznej, panna Kamilla zatrzymała się na śródku pokoju, przycisnęła serce obiema rękami, i głęboko westchnąwszy, zawołała: — Oh! doprawdy nie rozumiem. — Czegóż to nie rozumiała panna Kamilla? Oto wówczas, gdy ją na rękę trzymał, gdy, obok niej siedząc na wasażku nietyczanki, patrzył jej w oczy, gdy potem, żegnając się z nią, rękę jej tulił i całował, wówczas mówię, zdało się jej, że ją ogarniał wzrokiem, myślą, duszą; że po takim spotkaniu, po takim poznaniu się, krótkim, ale stanowczem, już ten mężczyzna należał do niej, a ona do niego, tem bardziej, że i ona czuła to dobrze, jak zdradzała swoje zajęcie się wzrokiem, głosem i uśmiechem; że ściskając jego drżącą rękę, tem samem powiedziała mu: — Zrozumiałam cię, znaleźliśmy się. A przecież już dwa tygodnie przeszło od tej chwili, a o nim ani słyhu, ani wieści. Prosiła go, aby odwiedził jej ojca, a on nie przyjeżdżał? — Tego to nie mogła pojąć panna Kamilla, i nad tem rozmyślając, rozbierając różne powody, to upokorzona tą myślą, że może tylko ona sama pokochała, to przestraszona może chorobą, może jakim innem nieszczęściem jego rodziny, chodziła coraz prędzej po pokoju; potem, nagle zatrzymawszy się, zadzwoniła. Wszedł Ignacy.

— Kto u papy?

— Szloma.

— Szloma? — odpowiedziała, i jakby uderzona jakimś światłym pomysłem, po chwili rzekła: — Jak wyjdzie, powiedz mu, żeby tu zaszedł do mnie; mam do niego interes. — Lokaj wyszedł i w kwadrans potem zjawił się Szloma, zbliżając się z całą elegancją i powagą dobrze wychowanego żyda Szejne-Morejne. Ten sam kaftan materjalny był na nim, buty równie wyglansowane, pejsy i broda równie lśniące, a w lewym ręku, której wielki palec był za pasem, też sama sobolowa czapka. Panna Kamilla, siedząc na małej kanapie, oparta z gracją na

ręku, patrzyła na niego z wdzięcznym uśmiechem; co postrzegłszy, żyd uśmiechnął się także, zaświecił czarnymi oczyma, pełnemi rozumu, i pokazał zęby białe jak perły.

— *Monsieur Szłoma!* — rzekła panna Kamilla.

— *Qu'ordonnez-vous, Mademoiselle?*¹ — odpowiedział żyd z wdzięcznem charkotaniem. Było to charkotanie czysto żydowskie, ale niejeden z naszych elegantów i niejedna z dam, które świeżo wróciły z zagranicy, zazdrościłyby go Szłomie, bo czyniło jego akcent zupełnie paryskim.

— *Je m'ennuie à la mort, Monsieur Szłoma*² — rzekła panienska.

— *Ce n'est pas étonnant*³ — odpowiedział żyd — *la saison est très mauvaise*⁴.

— Pomówmy o czem, Szłoma; zabaw mnie trochę — rzekła panna Kamilla pół żartem, pół serjo.

— Bardzo pani dziękuję za ten honor — odpowiedział, pociągając ładną swą ręką pejsy — ale jeżeli pani pozwoli położyć jeden warunek.

— Jakiż to, mości Szłoma?

— Żebyśmy mówili po polsku; bo ja nie jestem tak biegły we francuski język, chcę mówić, we francuskim języku, abym mógł utrzymać ciągłą konwersacją.

— O! z ochotą, panie Szłoma. Język francuski sprzykrzył mi się i tak. Panna Beldeau ciągle mi nim nad uszami terkocze.

— Panna Beldeau — odpowiedział żyd ze znaczącym uśmiechem — ma racją, że mówi zawsze swoim rodowitym językiem.

— Takbyśmy i my powinni robić; nieprawdaż, panie Szłoma?

— Zdaje mi się — odpowiedział. — Ale to się do pani nie stosuje — dodał pochlebnie — pani, choć majątna i wyniańczona francuskimi rękoma, jednak mówisz bardzo dobrze po polsku, co u nas na Wołyniu rzadko się zdarza.

¹ Co pani rozkaże?

² Nudzę się śmiertelnie, panie Szłoma.

³ Nic w tem dziwnego.

⁴ pora roku jest szkaradna

— Że ja mówię jakkolwiek, to nie dziwnego, ale że ty, panie Szloma, tak czysto mówisz naszym językiem, to dziwniejsze.

— Uczyłem się i starałem się — odpowiedział, gładząc brodę. — Czytałem dosyć, póki miałem czas, i dawniej mówiłem daleko lepiej. Potem wzięłem się do handlu i naszych spekulacyj pieniężnych i wiele zapomniałem. — To powiedziawszy, uśmiechnął się, jak autor, który przez skromność sam siebie gani, pewny, że mu słuchający zaprzeczą.

— Teraz tem bardziej musisz nie mieć czusu, panie Szloma, kiedy, oprócz handlu, zajmujesz się jeszcze interesami mojego ojca i pracujesz tak gorliwie nad wzbogacaniem mnie coraz więcej. Nieprawdaż, mości Szlomo? — dodała z ironicznym uśmiechem. Zacerwienił się cokolwiek żyd, a potem, patrząc jej bystro w oczy, jakby chciał przeniknąć, do czego te słowa zmierzają, dodał: — Pozwoli mi pani powiedzieć, żem ją nie dobrze zrozumiał?

— Jakto? — odpowiedziała żywiej — czyż we wszystkich kupnach, które mój ojciec od lat kilku zrobił, nie miałeś czynnego udziału, panie Szloma? czyż i teraz nie pracujesz gorliwie, abym wkrótce i po Czaplincach mogła się przejechać, jak po swojej własności? A *propos*, powiedz mi co o tych Czaplincach, jak stoją interesa? Podobno już jednego szlachcica mój ojciec splacił i częśćkę jego posiadł. A wam dosyć mieć jeden punkt do ustawienia baterji.

— Nam? — odpowiedział żyd ze szczególnym akcentem.

— Tak jest, wam, działającym — odpowiedziała z przy-ciskiem — bo ja przyjdę do gotowego. Powiedz mi, panie Szloma, czy wszystkich tych panów masz w rękę? bo slysza-lam, że to szlachta nieuważna, ekspensowna, chętnie zaciąga długi i bierze na kredyt, a pan Szloma zawsze gotów usłużyć.

— Skądże to pani wiesz? — odpowiedział cokolwiek za-żenowany — nie sądziłem, że te rzeczy panią interesują.

— Czyż ja nie mam już dziewiętnaście lat? czy mi nie pora za mąż? czyż mnie to nie interesuje, aby mój posag był jeszcze okrągłym, niż jest? Wszak wiesz, panie Szloma, że nasi panowie pierwszej rachuja dusze swojej narzeczonej, a po-

tem dopiero starają się poznać, czy ona sama ma duszę, czy nie? Takie teraz czasy, i rozum spekulacyjny zagnieździł się nietylko pod takimi ładnymi lokami, jak twoje, ale i pod takimi, jak moje, choć mniej ładne i nie tak się błyszczą.

— Pani będziesz bardzo wielką panią — odpowiedział żyd z uśmiechem, i chciał pogłodzić swoje pejsy, ale się zmiarkował i spuścił rękę nazad.

— Panią, panią!.. czy to źle być wielką panią? — odpowiedziała, kładąc się niedbale na kanapie; — ja tego szczerze pragnę; dlatego powiedz mi, w jakim stanie są nasze operacje względem Czaplinców? Czy wszyscy ci mocno dłużni?

— Prawie wszyscy — odpowiedział — i żałuję teraz, że się unosił ludzkością.. Pani się uśmiechasz na to słowo; prawda, ono dziwnie brzmi w ustach żyda, ale i żyd jest człowiek i wie, co to ludzkość.

— Jeżeli który wie tak, jak ty panie Szloma, i umie tak w miejscu używać tego wyrazu; ale cóż dalej? więc wszyscy? — dodała smutniej, pochylając głowę.

— Powiedziałem: prawie wszyscy, bo tam jest jedna familja oszczędna, gospodarna i rozumna, która ani mnie, ani nikomu nic nie winna i żyje sobie uczciwie i oddzielnie. A, co to za ludzie!

— Któż to taki, panie Szlomo? — zapytała żywiej i silny rumieniec okrył jej lice. — Powiedz mi o nich więcej, bo to fenomen w Czaplincach.

— To są niejacy państwo Starzyccy. Powiem pani, prawdziwie patryarchalna rodzina. Jest tam stary dziadek poczciwy, choć trochę gorączka; jest babka, którą oni wszyscy niezmiernie szanują; jest ojciec, człowiek bardzo rozumny, choć trochę ponury i milczący; jest matka, kobieta gospodarna i cicha; jest panienka ładna i usłużna, i jest syn, młody człowiek rzadki, i powiem pani, że nawet między bogatymi paniczami naszymi niema takiego, żeby miał taką głowę i takie serce.

— I to wszystko w Czaplincach? Skądże ich znasz tak dobrze, panie Szloma? — zapytała panienka, która go z wielkim zajęciem słuchała.

— Jakto, skąd? proszę pani! ja w Czaplincach bywam

często dla różnych interesów z tamtejsze panowie, chcę mówić: z tamtejszymi panami, i wiem doskonale, co się u każdego z nich robi, jaki on, i jak żyje. Co się tyczy państwa Starzyckich, to, choć ja z nimi nie mam nic do czynienia, czasem jednak do nich zachodzę pod pretekstem, czy czego nie potrzebują.

— I pocóż, panie Szloma, kiedy wiesz, że oni niczego nie potrzebują?

— Pani będziesz się znowu śmiać, jak powiem. Ja u nich się uczę, co to jest ludzkość — odpowiedział z pewną dumą. — I jak się u innych napatrzę na brudy, na zawziętość jednego na drugiego, na ambicję pańską z dziadowską intratą, jak to mówią, to mnie miło u państwa Starzyckich obaczyć rozum, porządek, cichość i pokój domowy.

— Ty jesteś szczególny żyd, panie Szloma! — Jeszczem cię nie znała z tej strony — rzekła panna Kamilla ze szczerem zajęciem.

— Jeśli mi pani pozwolisz częściej z sobą pomówić, to mnie pani lepiej poznasz.

— Nie uwierzysz, jak mi to będzie miło — odpowiedziała. — Ale czy wiesz, panie Szloma — rzekła potem, jakby od niechcienia — że, przejeżdżając przez Czaplińce, ledwie nie była pewna, że ludzie porządni i gospodarni mieszkają w tym dworku na prawo, gdzie topole przy bramie, klony przy ganku, a z tyłu ogród, czy lasek; to to jest dom tych państwa Starzyckich?

— Ten sam — odpowiedział. — Znać pana po cholewach, mówi przysłowie, a można dodać: znać gospodarza po jego zagrodzie.

— O, bezwątpienia — odpowiedziała, patrząc nań z pochlebnym uśmiechem — powierzchowność wiele znaczy. Dość spojrzeć na ciebie, panie Szloma, dość cię posłyszeć, aby się domyślić, żeś człowiek porządny i edukowany.

— Pani nadto grzeczna — odpowiedział — ale nam, żydom, nie trudno się w tej mierze dystyngwować¹. — Ten wyraz znowu wymówił z pretensją.

¹ dystyngwować się — wyróżniać się (od łac. *distinguo*).

— A toż dlaczego?

— Gdzie wszyscy brudni — odpowiedział, gładząc sobole swej czapki — tam dosyć się cokolwiek oczyścić, aby zwrócić uwagę.

— Skromność podwaja zasługę, panie Szloma — rzekła, i kiwając mu główką, z gracją dodała: — Ale nie zabieram ci czasu i dziękuję ci, żeś mnie cokolwiek rozerwał. Pokłoń się żonie odemnie, panie Szloma, i Racheli. — Żyd sklonił się grzecznie i gdy był już przy drzwiach, panna Kamilla, niby przypomniawszy sobie, rzekła: — Ale, panie Szloma! wracając do naszych projektów skupienia Czaplinców, zdaje mi się, że państwo Starzyccy mogą nam w tem pomóc, gdybyśmy się umieli z nimi obejść?

— Jakto, proszę pani? — odpowiedział, wracając.

— Ja myślę — rzekła, czerwieniąc się i spuszczać oczy — że memu ojcowi wypadaloby z nimi poznać się bliżej. Człowiek taki gospodarny i wyższy rozumem nie może nie mieć wpływu na swoich sąsiadów.

— Pani myślisz, że on skłaniałby ich do pozbycia się własności na rzecz pana prezesa? Nie, pani dobrodżiko — rzekł stanowczo — pan Starzycki tego nie robi.

— To przynajmniej odradzać im tego nie będzie, jeśli mój ojciec z nim się zbliży i zaprzyjaźni. Wszakże dla tak ważnego interesu warto zrobić pierwszy krok. Mój ojciec ufa ci, panie Szloma. Mnie się zdaje, że od ciebie lepiej taką radę przyjmie, niż odemnie, niedoświadczonej dziewczyny. A zrobiłbyś mi wielką łaskę, bo nie uwierzysz, jaką mam chęć do tych Czaplinców! — dodała, śmiejąc się.

— Myśl pani bardzo dobra — odpowiedział Szloma — już ona i mnie przychodziła. Ale nie wiedziałem, że panią Czaplinców tak mocno interesują.

— A wiesz dlaczego? — odpowiedziała. — Wszak Szysz-kowce graniczą z Czaplincami, a Czaplinców z naszą Żurawką, a za Żurawką co?

— Majątek pani Włodzimierzowej Podziemskiej.

— A więc?

— A więc — odpowiedział żyd, uśmiechając się konfidencjonalnie — czy pani pozwoli powiedzieć?

— Mów, panie Szłoma.

— Majątku tego dziedzicem jest pan Henryk Podziemski. Masz pani racją, wszystko to razem stanowiłoby dobra bardzo piękne.

— Dosyc tego, panie Szłoma; wiesz więcej, niżelim chciała. Daj ten pierścionek swojej ślicznej Racheli. Obiecałam jej dawno prezencik i zapomniałam. *Adieu, monsieur* Szłoma. — I znowu kiwnęła mu głową. Żyd popatrzał na nią przenikliwie, sklonił się i wyszedł.

Zaledwie drzwi się zamknęły, panna Kamilla zakryła twarz obiema rękoma i tak siedziała przez chwilę, oddychając po tej ciężkiej komedji, którą odegrała. Potem, powstawszy, otarła lezki, które puściły się z jej oczu, i zadzwoniła.

— Czy Szłoma poszedł już? — zapytała Ignacego.

— Nie, pani, wrócił znowu do pana i jeszcze tam siedzi. — Uśmiechnęła się panienka, pełna nadziei, że się jej uda wybieg, i lżejsza i weselsza pobiegła do swojego pokoju.

Nazajutrz dzień był jasny i pogodny. Lekki przymrozek ścigał wilgotną ziemię. Panna Kamilla, ożywiona nadzieją i orzeźwiona ostrem i świeżem powietrzem, z wesołą i czerstwą twarzą wracała około godziny jedenastej z ogrodu, gdzie można było pochodzić po zmrożonych cokolwiek ulicach. Przed gankiem postrzegła koczyk ojcowski i prezesa na ganku, już gotowego do wsiadania. Szybko więc ku niemu podbiegła i, pocałowawszy go w twarz z poufalością samowolnej jedynaczki, zapytała:

— Czy papa na spacer jedzie? proszę mnie wziąć z sobą.

— A, nie, nie mogę — odpowiedział. — Ja jadę z wizytą do Czapliniec.

— Do Czapliniec? — zapytała z udanem podziwieniem i, śmiejąc się głośno, dodała: — Czy nie do pani Plachciny? — Państwo Plachtów znała panna Kamilla z nazwiska, bo ci sturali się wszelkimi sposobami zaprzyjaźnić z prezesem, uważając to za rzecz komilfo.

— Nie, nie! — odpowiedział — ja jadę do państwa Starzyckich.

— Cóżto za państwo Starzyccy? — zapytała, niby niechcąc i poprawiając ojcu kolnierzyk przy chustce, który mu się pozaginał.

— Jezus Marja! — rzekł prezes — nacóż ci to wiedzieć? Tak sobie, szlachta, ale mam w tem interes, żeby się z nimi poznać.

— Starzycki! Starzycki! — rzekła, niby przypominając — niechno papa poczeka. A, czy też papa pamięta o tym przypadku, który nam się zdarzył, gdyśmy wracały od marszałkowej dwa tygodnie temu?

— O jakim przypadku?

— Ach, Boże mój! opowiadałam przecież papie, żeśmy zagrzęzły z Belcią w kaluży.

— Aha, i jakiś jegomość was wyratował.

— Otóż, jeśli się nie mylę, jakiś pan Starzycki... Tak, tak, dobrze mówię, pan Starzycki z Czapliniec. Proszę papy, jeżeli to ten sam, do którego papa jedzie, niech mu papa pięknie podziękuje, bo doprawdy zasłużył na to. Tak heroicznie wlaźł w kaluzę po same kolana, tak chętnie kazał odprząc konie i nas wyciągnąć, że doprawdy zobowiązał mnie bardzo. A jeżeli mnie, to i ciebie, papo, nieprawdaż?

— Bez wątpienia.

— Gdyby nie on, to nie wiem, coby było. Mnie, to jeszcze pół biedy, jabym chętnie wlaźła była w błoto, ale p. Beldeau.

— Co mi tam twoja p. Beldeau! — odpowiedział, krzywiąc się.

— A ja, czy także co mi tam?

— Ty co innego.

— Otóż widzi papa, jeżeli nie przez wzgąd na p. Beldeau, to przez wzgąd na mnie, powinien papa być wdzięcznym. Któż wie, coby się było stało, gdybym była wlaźła w błoto, a wlaźlabym była niezawodnie. I wtenczas jedynaczka i sukcesorka papy mogła była zamoczyć nogi, z zamoczenia nóg dostać kataru, katar spadłby był na piersi, potem przyszlaby

pleura¹, a potem suchoty... i marsz na tamten świat, a Szyszkowce, Żurawka, Kopnówka, Krzaczkki, Mirskie², a może i Czaplince dostałyby się nie wiedzieć komu.

— Jezus Marja! — rzekł prezes — co ty pleciesz, dziewczyno, aż mróz po mnie poszedł.

— Niechże z tego papa osądzi, ile winien temu jakiemuś panu Starzyckiemu. Proszę mu ładnie podziękować i zaprosić go jeszcze do siebie, żebym mu i sama powtórzyła podziękowanie.

— Dobrze, dobrze, podziękuję i zaproszę — rzekł przenikliwy prezes, myśląc sobie w duchu: — właśnie mi to na rękę, będę miał pretekst do tych odwiedzin. — Panna Kamilla poszła do siebie, pleszcząc w dłonie, a gdy weszła do sali i obaczyła tam pannę Beldeau przed zwierciadłem, porwała ją do walca i zaczęła wirem kręcić tak, że biedna Francuzica, zadyszana i zmęczona, padła, jak bez duszy, na kanapę.

Tymczasem pan Józef nie był tak wesolym. Nie mógł spać, stracił apetyt i humor, a wszystko to musiał ukrywać przed rodziną, która go kochała, szczególnie przed ojcem, któryby mu był odrazu szalonych myśli zabronił. Czuł i sam młody człowiek całą nedorzeczną namiętności, która w żaden sposób zwyczajnym trybem zaspokojoną być nie mogła; widział, że mu walka potrzebna, ale oraz widział i czuł, że wszelka walka nic nie pomoże, że uczucie silne, gwałtowne, rzuciło głębokie korzenie w jego sercu i wyrwać się nie da. Stan jego pogarszała jeszcze niepewność, czy uczucie jego podzielone, czy już nie zapomniany zupełnie? I być może, że go to najwięcej dręczyło, że nie miał sposobności przekonać się, czy tak jest, lub nie? Gdyby pojechał, obaczył, gdyby go przyjęto zimno, a może i nie przyjęto wcale, mimo grzecznego zaproszenia, możeby to było najlepszym lekarstwem. Dziesięć razy zbierał się powiedzieć ojcu, że ma zaproszenie do Szyszkowiec i że mu wypada odwiedzić prezesa. Ale ile razy stanął przed

¹ pleura — zapalenie opłucnej.

² O wsi Szyszkowcach porówn. obj. na str. 5; Żurawek jest więcej; wsi Kopnówka niema; wieś Krzaczkki w pow. Starokonstantynowskim; wieś o nazwie Mirskie nie istnieje.

nim i spójrzal na tę twarz poważną i surową, zdawało mu się, że widzi na jego czole naganę i zakaz, i nie śmiał ust otworzyć. Kilka razy znowu chciał bez wiedzy ojca dogodzić najgorętszemu życzeniu, które mu dzień i noc spokoju nie dawało: wyjeżdżał konno niby na spacer, ale wyjechawszy na wzgórek, z którego widać było Szyszkowce, gdy spójrzal na wieś ogromną, na dwór obszerny, na kilkanaście kominów, z których wszystkich wznosiły się kolumny dymu, oznaczające, że tam dostatek, zamożność nieszlachecka, a zatem duma i zamiary odpowiednie, tracił odwagę, bojąc się nie tak pychy ojca, jak zimnego przyjęcia panny, któreby odwróciło od ust jego to opjum, co go trulo, ale rozkoszne dawało marzenia.

Takim sposobem przeszło dwa tygodnie i pan Józef zesmutniał, zmizerniał i pobladł. Tego dnia, gdy koczyk prezesa zbliżał się do Czapliniec, siedział przy oknie wychodzącem na podwórze i mówił do siostry, która przed nim stała ze łzami w oczach:

— Anulku! ja szczęściem twojem jestem szczęśliwy.

— Alem ja smutkiem twoim smutna — odpowiedziała.

— To przejdzie, moje życie, jestem niezdrów, nic więcej. Ale mnie o nic nie pytaj i, jeżeli mnie kochasz, nie mów mamie i babuni, że mnie widzisz smutnym i niezdrwym.

Wtem dał się słyszeć hurkot i kocz stanął przed gankiem. Z początku rumieniec okrył twarz panny Anny, bo myślała, że to jej narzeczoney; a gdy zajrzała w okno i postrzegła bylego mężczyznę, któremu lokaj pomagał, zawołała: — Ach! to podobno prezes z Szyszkowiec! skądże się to wzięło? — pobięła do kancelarji dać znać ojcu. Na te słowa siostry zerwał się pan Józef. Dziwne myśli tłumem opadły jego głowę, nadzieja jakaś ożywiła jego piersi. Kontent był, że siostra, odchodząc, nie spójrzała na niego, boby się była wszystkiego domyśliła, tak nagle, tak widocznie wszystko, co czuł i myślał, wybiło się na jego twarzy. Już był cokolwiek ochłonął, gdy ojciec wyszedł ze swego pokoju i rzekł: — Józiu! wyjdź, poproś u tego szczególnego gościa.

Zbliżył się pan Józef do drzwi, otworzył je i skłonił się rzecznie wchodzącemu prezesowi. Prezes, cokolwiek zażeno-

wany, oddał mu ukłon i szedł, przechylając się, ku gospodarzowi domu, który stał na środku pokoju i patrzył poważnie na zbliżającego się gościa. Prezes podał mu rękę i rzekł

— Panie sąsiedzie, winienem ci podziękowanie i korzystam z tej zrzeczności, chcąc bliższą z panem moim zabrać znajomość.

Panu Józefowi w oczach się zaćmiło, a gospodarz, uśmiechnąwszy się, odpowiedział:

— Nie wiem, czem mogłem pana prezesa dobrodzieja zobowiązać, i prawdziwie nie poczuwam się do żadnej przysługi. Ale niech pan prezes raczy usiąść.

Usiadł prezes, splótł tłuste swe rączki na brzuchu, zaczął zwolna obracać palcami i rzekł znowu:

— Jezus Marja! jak to w życiu naszym wszystko mądrze urządzone. Nawet przypadek, napozór nieprzyjemny, może się na coś dobrego przydać. Gdyby moja córka nie była ugrzęzła z powozem i nie doznała od pana dobrodzieja ratunku i pomocy, byłbym zapewne pozbawiony tej przyjemności, jaką sobie obiecuję z bliższego zapoznania się.

Wpatrzył się w niego pan Hipolit Starzycki, a pan Józef, widząc, że mu należało wyprowadzić ojca z ambarasu, przystąpił bliżej i rzekł:

— Kochany ojcze! aktorem w tej małej scenie, którą, widzę, pan prezes wyżej ceni, niż warta, byłem ja.

— Ty? — odpowiedział ojciec, spójrzawszy bystro na syna, który się zaczerwienił — i niceś mi o tem nie wspomniał?

— Dowód, że to uważałem za rzecz drobną i niewartą wspomnienia. Obowiązkiem było mężczyzny dać pomoc damóm, znajdującym się w niemiłym położeniu.

— Ale też i obowiązkiem jest ojca podziękować za pomoc daną córce — odpowiedział prezes, patrząc z przechyloną głową na młodego człowieka i puściwszy swemi palcami prędszego młynka. Skłonił się młodzieniec, a prezes, zwracając się do ojca, rzekł:

— Ale jak syn pana dobrodzieja zmężniał. Prawdziwie, byłbym go nie poznał.

— Nie wiem, czyś go pan dobrodziej gdziekolwiek wi-

dział — odpowiedział ojciec. — My żyjemy samotnie, nie bywamy nigdzie i mało kogo widzujemy u siebie.

— Wiem, wiem — rzekł prezes — a właśnie i za to przydarzonej dziś okazji chciałem się z panem dobrodziejem trochę wyklócić. Jezus Marja! czyż to między sąsiadami nie można zrobić wyboru?

— Szczupły majątek — odpowiedział pan Starzycki — wymaga czasu i pracy, a drobne gospodarstwo daje tyle kłopotu, że do odwiedzin nie zostawia ani swobodnej myśli, ani swobodnej chwili.

— Im więcej w las, tem więcej drzew, panie kochany — mówił prezes. — Im większe gospodarstwo, tem więcej kłopotu. Ci tylko marnują czas, którzy marnują bez rozwagi to, co im ojciec zostawił. Kto się dorabia tak, jak ja i pan dobrodziej, to równie zajęty, choć ma trochę więcej, lub trochę mniej. A przecież, widzisz pan dobrodziej, znalazłem chwilę i pragnę szczerze, abys ją i pan dobrodziej znalazł.

Uchylił głowę ojciec, a synowi serce rozrywało piersi. Prezes, spójrzawszy na Anusię, która siedziała przy oknie z robotą, dodał: — To zapewne córka pana dobrodzieja. — Anusia powstała zaczerwieniona i dygnęła. — Panienska z takim wychowaniem — dodał prezes ciszej — jakie odebrała w tak patryarchalnej rodzinie i od takich rodziców, nie musi tu mieć kompanji w Czaplincach.

— Moja córka — odpowiedział pan Hipolit, któremu to wszystko niezmiernie dziwnem się wydawało — kompanji nie potrzebuje. Dla ubogiej dziewczyny najlepszymi towarzyszkami są matka i praca.

— Jezus Marja! — odpowiedział prezes — pan dobrodziej jesteś człowiek surowy; ale młodość ma swoje prawa i swoje potrzeby, które nam starszym wydają się cokolwiek dziwnymi, bo prędko zapominamy, żeśmy i sami byli młodzi.

— Sądzę — odpowiedział pan Hipolit — że mąż, którego jej Bóg daje, będzie mi wdzięczny, że m ją przyuczyl cenić dom nad wszystko i towarzystwo familijne przenosić nad wszystkie kompanje.

— Więc panienska wychodzi za mąż? a! winszuję, win-

szuję — rzekł prezes, a potem, przechyliwszy głowę, dodał: — Jako ojciec, zazdroszczę panu dobrodziejowi, żeś już wybrał dla swego dziecka dozgonnego towarzysza, i zapewne z tą przezornością i uwagą, która cechuje wszystkie czynności pana dobrodzieja. Ja jeszcze nic nie postanowiłem, nic z pewnością nie wiem, co czeka moją jedynaczkę. Niemalby to ciężar na głowie ojca.

— Przy piękności i takim posagu, to kłopot niewielki — odpowiedział nasz gospodarz.

— Jezus Marja! — zawołał prezes — tak się zdaje. A tymczasem ja wiem, jak to trudno się zdecydować, bardzo trudno. Mamy my wprowadzić projekta, ale jak to pójdzie, to Pan Bóg lepiej wie.

Łatwo sobie wyobrazić, co cierpiał nasz bohater. Oddech tamował się w jego piersiach, twarz mieniła się co moment, i nakoniec przy ostatnich słowach prezesa okryła się śmiertelną bladeścią. Widziała to siostra, która od niejakiego czasu nie spuszczała z niego oczu, i z domyślnością kobiecego serca odgadła wszystko.

Zabawił jeszcze czas niejaki prezes, mówił o gospodarstwie, admirował porządek pana Starzyckiego i dziwił się, jak u niego wszystko w porę zasiano, skoszono i zebrano. Potem, podziękowawszy raz jeszcze panu Józefowi i oświadczywszy powtórnie chęć bliższego poznania się, wyszedł, wyprowadzony przez naszego gospodarza. Na ganku spotkali dziadzia, który wracał z ogrodu z krzywym nożem w rękę. Uchylił czapeczkę swoją staruszek i odpowiedział ze staroświecką grzecznością, w której widać było owe nalogowe uszanowanie szlachcica dla wielkiego pana.

— Zazdrościć można wielmożnemu panu dobrodziejowi takiego zdrowia w tak późnym wieku — rzekł prezes.

— Świeże powietrze i praca, jaśnie wielmożny prezesie — odpowiedział starzec.

— A może i polowanie — dodał prezes.

— Już nogi nie służą, jaśnie wielmożny prezesie. Kaczki bym jeszcze strzelał, gdyby było gdzie, ale tu u nas niema stawu.

— Mój, w Szyszkowcach, na usługi — odpowiedział prezes, — bardzo proszę. A jeszcze z takim psem — dodał, patrząc na Amora, i chciał go pogłaskać. Pies warknął, spójrzal w oczy swemu panu i na dany znak, mruczając, cofnął się i ułożył przy jego nogach.

— Zły i karny, to bardzo dobrze — rzekł prezes, cokolwiek niekontent, że mu się z psem nie udało. A powtórzywszy zaproszenie na staw i ukazując, z której strony najwięcej kaczek, wsiadł i pojechał.

Wrócili wszyscy do pokoju. Dziadzio chwalił grzecznego pana i zaraz jutro wybierał się na kaczki. Pan Hipolit był zamysłony, i choć go cokolwiek ujęło obchodzenie się prezesa, ale nie mógł dójść, skąd się wzięło, i nie chciał wierzyć, aby w tem nie było jakichś ukrytych zamiarów. Anusia tylko odgadła wszystko. Gdy pan Józef został sam w pokoju i, oparłszy się o piec, stał pogrążony w myślach, przystąpiła do niego nagle i rzekła:

— Józiu! ty kochasz pannę Kamille.

— Cicho! — zawołał i położył rękę na jej ustach.

— A widzisz, niedobry bracie, napróżno się ukrywał. Ale ja ci coś powiem...

— Co możesz powiedzieć?

— To, że i ona ciebie kocha...

— Anusiu! — zawołał pan Józef, chwytając siostrę za rękę — skądże ty to wiesz?

— Czyżby inaczej prezes nas odwiedził? Czyż to nie robotka córki jedynaczki, która wszystko robi z ojcem, co chce, i która pewnie tego chciała?

— Anulko! Anulko! O! gdybyś ty mówiła prawdę!

— Czyżbym i ja tak nie zrobiła, gdybym miała władzę nad ojcem i gdybym kochała?

Uściskał pan Józef domyslną dziewczynę i wybiegł na ogród szukać świeżego powietrza, tak gwałtownie biło jego serce, tak je cisnęło to postanowienie: — Bądź co bądź, muszę ją widzieć.

VI.

Prezes wrócił do domu, sapiąc po tej łaźni, którą odbył, i czując się w duszy upokorzonym przez zimne i poważne przyjęcie ubogiego szlachcica. Mimo całej zręczności, panna Kamilla nic nie mogła z niego wydobyć i widziała wyraźnie, że był zły i niekontent. Nazajutrz po obiedzie, gdy leżała na szezlongu, przewracając jakąś książkę, a ojciec, siedząc w swoim krześle i trawiając suty obiad, wspominał coś z ogródka o panu Henryku Podziemskim, dał się słyszeć hurkot, zajechała sześciokonna kareta i dano znać, że pani Włodzimierzowa Podziemska z synem przyjechała. Zbladła panna Kamilla, jak ściana; przypomniała sobie onegdajszą rozmowę z pełnomocnikiem ojca; przełękała się, czy nie naprowadziła ich na zgubną dla siebie drogę i czy nie stanie się ofiarą swojej własnej chytrności. Ta zmiana jej twarzy była tak widoczną, że ją postrzegł prezes i tłumacząc, jak zwykle tłumaczymy zrazu wszystkie wypadki, to jest stosownie do życzeń, rzekł, śmiejąc się:

— Jezus Marja! czegożeś się tak zmieszala? O wilku mowa, a wilk tu. Nie spodziewałaś się takiej siurpryzy. Idź, popraw trochę toaletę i przychodź.

Kontentna była panna Kamilla z tego rozkazu i wyszła z sercem ściśnionem, aby odetchnąć cokolwiek i ułożyć twarz do przyjęcia nowych gości.

Oto jest powód tak niespodziewanego zjawienia się pani Włodzimierzowej: Rok temu, dama ta, przycisnięta przez jakiegoś niecierpliwego kredytora, udała się do prezesa z prośbą o pożyczanie pięćdziesięciu tysięcy. Nic nie mogło bardziej ucieszyć naszego zdobywcy, jak ta propozycja, tem bardziej, że dług ten był oparty na wiosce, przylegającej do jego Żurawki, i mógł ją tym sposobem wprowadzić w granice jego posiadłości. Ułożył się więc z nowym wierzycielem, zyskał ustępnego kilka tysięcy i dostał oblig zakładowy¹ na owej wiosce z terminem rocznym. Wtenczas to zrodziła się w głowie prezesa myśl posunięcia jeszcze dalej swoich zaborów i zapieczętowania wszyst-

¹ oblig zakładowy — zastaw, który dłużnik traci, jeśli w terminie nie wywiąże się ze swych zobowiązań.

kiego przez związek panny Kamilli z panem Henrykiem Podziemskim, dziedzicem obszernego, chociaż odłużonego majątku. Za pośrednictwem Szlomy ponabycwał prezes niektóre jeszcze skrypta pani Włodzimierzowej, na każdym z nich zrobili obaj, i tym sposobem cały dług prezesa na tej pani wynosił już przeszło dwakroć. Przy porządku i gospodarstwie byłby to ciężar niezbyt wielki; ale pani Włodzimierzowa, kobieta w gruncie niezła; lecz ze skrzywionem wychowaniem, w nic wcale wchodzić nie chciała; raz, że jako księżniczka z domu, wyszła za szlachcica w tej wierze, że skarby jego niewyczerpane, i poczytywała za rzecz ubliżającą swemu urodzeniu zajmować się takimi drobiazgami; powtóre, że z komisarzem i ekonomami trzeba było mówić po polsku. Woląła więc pozwolić im robić, coby się im podobało, niż zadawać sobie przykrość w mówieniu językiem, którego nie umiała i nie lubiła, i częstą konwersacją z ludźmi tak ordynaryjnymi zepsuć sobie piękną francuską pronuncjacją. Synek, wychowany w tychże samych zasadach, prawdziwy jedynak, wypieszczony, wychuchany, a przez winę matki i jej przesadzoną miłość welinowy panicz, czytał tylko francuskie romanse, złe i dobre, *intra parentheses*¹ praktykował pierwsze na fraucymerze mamy, i także w nic nie wglądał. Tym sposobem doszły rzeczy do takiego stanu, że z dochodów wielkiego majątku wpływało tylko tyle, ile potrzeba było na wystawne utrzymanie domu; ale na opłacenie procentów, na potrzeby gospodarstwa, na podatki i t. d., nigdy pan komisarz nie miał pieniędzy. Widział się więc zawsze w konieczności zaciągania nowych długów, w oczekiwaniu wyższych cen na zboże i wódkę, których teraz za bezcen zbywać nie radził. Pani Włodzimierz wa, mając wszystkiego poddostatkiem, mając kredyt u Szafnagla i u żydków krzemienieckich, żyła sobie wspaniale i bez troski, dogadzając i miękcząc coraz bardziej synka, wierząc w swoje państwo, pozwalając komisarzowi zaciągać nowe długi, i spodziewając się ryczałtem zapłacić wszystkie, gdy produkta pójdą w górę. Nie wiedziała ona o tem bynajmniej, iż na jej tokach

¹ nawiasem.

stało więcej słomy, niż zboża, a w kufach więcej było wody, niż wódki.

Ale prezes znalazł doskonale stan interesów tej pani. Wiedział on, że, zastraszywszy ją terminem obligu zakładowego i innymi skryptami, które już dawno ekspirowały¹, zmusi do chętniejszego przyjęcia propozycji, jaką już jej przed półrokiem przez trzecią osobę robił, a na co się wówczas pani Podziemska skrzywiła. Urodziwszy się bowiem księżniczką, uważała prezesa za gorszego jeszcze szlachcica, niż był jej mąż, któremu tego nigdy darować nie mogła, że ją obłókl w szlachecką skórę, i to tylko miała na widoku, aby i w następnym jej pokoleniu znajdowała się koniecznie mitra, choćby tylko sterczała na kądzieli. Na nieszczęście, w okolicy księżniczek dojrzałych nie było i pani Włodzimierzowa w pretensjach swoich cokolwiek zmiękla. W takim usposobieniu zastał ją wczoraj list prezesa, posłany wskutek rozmowy Szłomy z panną Kamillą. Prezes, kontent, że córka wchodzi w jego widoki i jak on przejęta ambicją rozszerzenia i zaokrąglenia swoich posiadłości, wziął za dobrą monetę to, co chytra panienska udawała przed Szłomą. Chociaż wątpił, aby taka cacana laleczka, jak pan Henryk, mógł się jej podobać, że jednak sama napomknęła o tem żydowi, wniósł, że jako nieodrodne dziecko, zajęta nie romansami, ale realniejszą korzyścią połączenia dwóch takich majątków. Z tego względu i sam wrócił żarliwie do pierwszej swojej myśli. Ale że prezes nie robił nigdy rzeczy wprost i otwarcie, nie czyniąc więc żadnej wzmianki o tem, co go najmocniej interesowało, w liście swym wyraził tylko, że termin obligu zakładowego wyszedł, że inne skrypta także już dawno przeszły zakres w nich naznaczony, że procenta za lat kilka wielkie narosły, że on gwałtownie potrzebuje pieniędzy, że w żaden sposób czekać nie może i nie będzie. Przeprosiwszy więc, że, dla swoich niecierpiących zwłoki obrótów, naznacza tylko tydzień czasu, prosi najniżej w świecie, aby mu w przeciągu tego tygodnia przysłała dwakroć czterdzieści siedm tysięcy.

¹ Których termin już dawno minął.

Przełękła się pani Włodzimierzowa, przesyłabizowawszy list i spostrzegłszy tak ogromną sumę, przy końcu pięknie wykaligrafowaną. Chociaż niedbała, wierząca, że na swojej mitrze wypłynie, jak na arce, z powodzi długów, chociaż zagłębiona w Balzaku i w innych koryfejach ówczesnej literatury, czuła to jednak, że to suma za wielka, że jej pewnie nie ma w gotowiźnie, i że kłopot i wstyd publicznej sprzedaży tuż za nią. Kazała zatem zawołać komisarza, a gdy wszedł, pani Włodzimierzowa, w jednym ręku trzymając *Fizjologję małżeństwa*¹, a w drugim list pana prezesa, zapytała:

— Czy ma pieniądze?

— Nie mam, jaśnie wielmożna pani — odpowiedział komisarz, zająkując się, co zawsze czynił, gdy łgał przed panią. — Niceśmy nie sprzedali; drogi tak niegodziwe, że żadnej dostawy zrobić nie można, a nawet żaden kupiec nie przyjeżdża; wszystko dla dró-ó-óg, jaśnie wielmożna pani.

— Niech czyta — rzekła pani Włodzimierzowa, podając mu niedbale list prezesa, a sama wróciła tymczasem do *Fizjologji*.

Zapewne czytelników moich uderzyły wyrażenia: *Czy ma? Niech czyta!* i tym odpowiednie, które im także może służyć do zdarzyło się: *niech siada! czy był? czy widział? czemu nie je?* i t. d. Są to sposoby mówienia niektórych pań naszych, z domu księżniczek i nie-księżniczek, gdy mówią do niższych, to jest do takich, którym nie chcą powiedzieć: pan, a którym nie śmia powiedzieć: ty. Pani Włodzimierzowa, wychowana bardzo dobrze po francusku, ale najgorzej po polsku, w chwilach złego humoru używała tego sposobu mówienia nawet do męża, którego naturalnie uważała niższym od siebie. Nieraz nieboszczyk pan Podziemski odszedł, ruszywszy ramionami, gdy mu żona rzekła migrenowym głosem: *Niech tak nie stuka butami, niech tak nie hałasuje po szlachecku, niechże mi da pokój ze swemi karesami!* i t. d.

Gdy komisarz skończył list, zamyślił się i zafrasował. Pani Włodzimierzowa, postrzegłszy to, zapytała:

¹ Dzieło to Balzaku wyszło w r. 1880.

— I cóż mi powie?

— Powiem jaśnie, wielmożnej pani — rzekł, już nie jakając się — że to bardzo źle. Takiej sumy nie dostaniemy nigdzie.

— A cóż zrobi?

— Co jaśnie wielmożna pani każe.

— Niech poradzi — rzekła, zakładając nożyk ze słoniowej kości w książkę.

— Jabym poradził... ale nie śmiem.

— Niech śmie — dodała, wychodząc cokolwiek z tej arystokratycznej apatji.

— Jaśnie wielmożna pani przypomina sobie, że prezes robił propozycje względem swojej córki.

— Jego ojciec był komisarzem — rzekła, krzywiąc się.

— Cóż stąd? — odpowiedział, cokolwiek obrażony pan komisarz — ale majątek prezesa wart więcej jak miljon, w gotowiznie prezes ma więcej jak pół miliona, a na długach więcej jak trzykroć.

— Inszej rady dać nie umie?

— Nie, jaśnie wielmożna pani. Pożyczyć niema gdzie, a za tydzień prezes nas opublikuje. A wtenczas jeszcze gorzej; nikt nie da ani sto złotych.

— Dobrze; niech idzie! — dodała, kiwnąwszy głową. Komisarz skłonił się i poszedł, a pani Włodzimierzowa zawołała: — *Henri! Henri!*

Z przyległego pokoju wyszedł młody człowiek, niewielkiego wzrostu, blady, wycieńczony, w krótkim surduciku aksamitnym, w takiejże czapeczce, z drugim tomikiem *Fizjologii* w ręku. Czarne oczy jego były przymglone, twarz miała wyraz jakiejś niedbałości o wszystko, ale oraz i wyraz cierpienia.

— *Qu'y a-t-il, maman?*¹ — zapytał z jakimś nerwowym drganiem.

— *Sais-tu, Henri, que je veux te marier, mon enfant?*² — rzekła z wyrazem miłości macierzyńskiej, który twarz jej niebrzydką czynił jeszcze ładniejszą.

¹ Co, mamo?

² Czy wiesz, Henryku, że chcę cię ożenić, moje dziecko?

— *Eh bien!*¹ — odpowiedział syn, potrząsłszy głową — *comme vous voudrez*².

— *Une brune piquante et jolie*³ — rzekła matka. Syn nie odpowiedział, tylko jakiś uśmiech bolesny przebiegł po jego ustach.

— *Mais elle n'a pas de naissance, mon ami*⁴, prosta szlachcianka.

— A! — odpowiedział pan Henryk, jakby sobie coś przypomniał. — *Vous dites, maman?*⁵

— *Je dis, mon cher, qu'elle est riche. Veux-tu savoir son nom?*⁶

— *Oh! cela m'est égal*⁷ — odpowiedział z tem samym drganiem w całym ciele, obrócił się i poszedł nazad krokiem niepewnym i chwiejącym się.

— *Charmant garçon!*⁸ — pomyślała matka, patrząc za odchodzącym. — Co za szkoda, że Sanguszkówna jeszcze mała — i, ułożywszy się znowu na kanapie, wróciła do *Fizjologii*.

Nazajutrz jednak, przeczytawszy raz jeszcze list prezesa i rozmówiwszy się znowu z panem komisarzem, gdy się przekonała, że to nie przelewki, nie czekając więc aż Sanguszkówna wyrośnie, kazała zaprząć konie i pojechała z synem do Szybskowiec.

Prezes przyjął ją z grzecznością układną i zimną, która wcale nie pokazywała, jak był kontent z jej przybycia. Rzucił okiem na pana Henryka, który, chociaż ubrany według wszelkich reguł gustu i ostatniej mody, miał jednak postać zbieżoną, maniery niedbale, a twarz jakby zaspaną i cierpiącą. Nie spodziewał się prezes, aby taki konkurent mógł się po-

¹ Dobrze.

² jak chcesz.

³ Brunetka interesująca i ładna.

⁴ Lecz rodem nie może się poszczycić, mój przyjacielu.

⁵ Mówisz, mammo?

⁶ Mówię, mój drogi, że jest bogata. Chcesz znać jej imię?

⁷ Och! to mi obojętne.

⁸ Zachwycający chłopaki.

dobac jego córce, i zwątpił o swoich planach; czekał jednak, jakie też wrażenie zrobi na nim panna Kamilla, której już od lat kilku nie widział ani syn, ani matka.

Weszła nakoniec panna Kamilla, ubrana skromnie, ale jaśniejąca całą pięknnością swojej wyniosłej postaci i pełnych wyrazu rysów. Twarz jej była surowa, przywitała ona panią Włodzimierzową poważnie, spójrzała na młodego człowieka z góry, z jakąś dumą i jakby politowaniem, na wszystkie pochwały matki, z okazji jej tak wielkiej zmiany na awantaż, nie uśmiechała się bynajmniej, lecz odpowiadała albo ironicznie spójrzeniem, albo kilku słowami serjo, które pokazywały całą niestosowność tych pochwał. Zmieszało to cokolwiek panią Włodzimierzową, a szczególnie prezesa, który poglądał na córkę, dawał jej znaki, aby była grzeczniejszą i weselszą, ale ona nie rozumiała go wcale. Po pewnej przerwie, w której wszyscy zdawali się zażenowani, pani Włodzimierzowa zaczęła mówić o gospodarstwie, co zwykle czynią wielkie panie nasze, gdy się znajdują w domu szlacheckim. Ale i to się wkrótce urwało, bo znajomości jej w tym względzie były bardzo ograniczone, a prezes odpowiadał półgębkiem. Ze zmieszaniem coraz wzrastającym pani Włodzimierzowa poglądała na syna, w którym dziwną i nagłą postrzegła zmianę. Jakoż młody ten człowiek, uderzony zjawieniem się panny Kamilli, zachwycony wyrazem poważnym tej pięknej twarzy, ruchami pełnymi gracji tej okazałej figury, przejęty do żywego tym głosem dźwięcznym i słowami, choć serjo i bez uśmiechu, ale ukazującymi bystry rozum, sam nie wiedział, co się z nim zrobiło. Przyjechał zimny, obojętny, prawie zaspany, w zamiarze czysto posagowym, a tymczasem postrzegł istotę wyższą, której wejście jedno przerodziło go zupełnie. Oko jego ożywiło się, lice okrył delikatny rumieniec, ułożenie niedbale i z pańska wzgardliwe znikło, usiadł przyzwoicie i skromnie i śledził każdy jej ruch i każde słowo w cichej kontemplacji. Zmartwiła się pani Włodzimierzowa, że jej syn wygląda jak student, i gdy się pokazała panna Beldeau, wystrojona, wyłożona, wylańcuszkowana, puściła się z nią, dla pociechy i pokazania się, w dyskurs francuski o nowych książkach, a potem o domach

książęcych i hrabiowskich, w których Francuzica przebywała, i z czem naturalnie nie omieszkała się popisać. Tym sposobem pani Włodzimierzowa spodziewała się ożywić rozmowę i otworzyć pole synowi, aby także pokazać, co umie. Chciało się jej także wyciągnąć na francuzczyznę pannę Kamillę, dla przekonania się, jaką też przyszła synowa ma pronuncjacją, i czy jej kiedy nie narobi wstydu. Ale ani jedno, ani drugie nie powiodło się jej zupełnie. Panna Kamilla, jak na złość, odzywała się tylko po polsku, a pan Henryk lub milczał, lub także tym tylko językiem przemawiał.

Nareszcie pani Włodzimierzowa, chcąc skrócić tę pierwszą wizytę, zwróciła się do prezesa i rzekła:

— Mamy jeszcze pomówić o interesie.

— A mamy, jeżeli się pani podoba — odpowiedział prezes przy wolnym obróceniu palców.

— Pójdźmyż do jego gabinetu, a ci państwo tymczasem zrobią muzykę.

— A pójdźmy — rzekł prezes, powstając i ukazując jej drogę do gabinetu. Pani Włodzimierzowa, przechodząc koło syna, szepnęła mu: — *Henri! vous avez l'air d'un niais*¹ — i poszła, nie uważając, jak zadrżał młody człowiek, jak się zaczerwienił i zmieszał. Ale prezes, który śledził wszystkie jego ruchy od początku pokazania się córki, wniósł, że wrażenie było odpowiednie jego chęciom, i postanowił stosownie działać i mówić.

Gdy weszli do gabinetu i usiedli, ona na kanapie, a prezes w swoim krześle, przez kilka minut trwało milczenie. Pani Włodzimierzowa nie wiedziała, od czego zacząć, a prezes wyprostowany, trzymając ręce na brzuchu, kręcąc powolnego młynka, przechylił głowę i czekał, co powie. Nareszcie pani Włodzimierzowa rzekła złą polszczyzną, której wszakże w całej tej rozmowie imitować nie będę, bo to rzecz przykra, upokarzająca i niezabawna:

— Pan do mnie pisał.

¹ Henryku! masz minę gapia.

— A! pisałem — odpowiedział, nie zmieniając bynajmniej pozycji.

— Czyż to podobna, aby pan prezes, przy tak pięknym majątku i takim gospodarstwie, potrzebował pieniędzy?

— Jezus Marja! któż nie potrzebuje pieniędzy? każdy ma swoje spekulacje, zamiary, każdy dźwiga jakiś ciężar, który go gniecie. Dochody nasze nie odpowiadają wydatkom, nie nagradzają pracy. Pani widzisz, jak ja ciasno mieszkam, bo dom mój niedokończony; takich mebli, jak te, pani byś u siebie w przedpokoju nie postawiła, a ja muszę je cierpieć, bo na kredyt nie biorę ani u kupców, ani u rzemieślników, a gotowizny niema, niema — powtórzył, westchnąwszy i przechylając więcej głowę.

— A przecież mój komisarz mówił mi, że pan prezes masz więcej, jak pół miliona w gotowiznie.

— A! pani komisarz — odpowiedział prezes, patrząc w sufit — to musi być człowiek rozumny i przezorny; ale widać, że lepiej wie, co się dzieje w majątku pani, niż w mojej szkatułce. Ja wprawdzie długów nie zaciągam i nie mam; a u nas to rzecz tak rzadka, że kto tylko nie odłużony, to mu zaraz dają milion, lub pół miliona gotowizny. Jezus Marja! — dodał, głęboko westchnąwszy — żebym ja miał pół miliona gotowizny!

— Więc pan prezes nie zechcesz mi zaczekać?

— Nie zechcesz? nie zechcesz? któż o tem mówi, że nie chcę? — odpowiedział, kiwając pobożnie głową. — Jakbym ja nie chciał przysłużyć się tak zacnej damie, jak pani? Uczucia chrześcijańskie każą nieść pomoc sąsiadom; głos silny podnosi się w sercu za każdym, co się do mnie ucieka; to też robię, co mogę, bo u mnie sumienie przedewszystkiem. Niech pan komisarz pani rozpyta się u biednej szlachty Czaplincek, jak gotów jestem każdemu dogadzać, choć nie widzę, skądby się mogli niektórzy z nich uiścić. Ale ja na to nie uważam, ryzykuję, bo mała strata mnie nie zuboży, a nie spalbym spokojnie, gdyby sąsiad wyszedł odemnie z zasmuconą twarzą. Ale tą razą, mimo najgorętszej chęci — dodał, głęboko wzdychając — dogodzić pani nie mogę.

— Dlaczego ja jedna mam być wyłączona z liczby tych sąsiadów, którym pan prezes tak chętnie niesiesz pomoc?

— Dlaczego? — odpowiedział, kręcąc palcami — dlatego, żeś pani bogatsza odemnie. Obowiązek sumienia każe mi być gotowym do wsparcia tych, co rzeczywiście potrzebują, a nie tych, co mają nadto.

— Ale czyż ja mam nadto? mój komisarz mówił mi, że gotowizny nie mamy wcale, a pożyczyć teraz niema u kogo.

— A! pani komisarz — odpowiedział, dając wolniejszy obrót palcom. — Ja komisarza nie mam i sam wiem dobrze, przejrzawszy swoje rachunki, że zaczekać nie mogę. Komisarz to rzecz ładna i dobrze brzmi, alem ja wyrzekł się tej wystawy, sam gospodaruję i sam wchodzę we wszystko, i widzę to doskonale, że oblig zakładowy skończony, że i na innych skryptach procentów kilkadziesiąt tysięcy, że tracę dużo na pani, obywatelce dwa razy bogatszej odemnie, i krzywdę robię biednym, z których niejednemu mógłbym lży otrzeć. Komisarz by mi tego wszystkiego nie powiedział, bo co jemu do mojej duszy, i coby mu to szkodziło, że, robiąc ulgę pani, obciążylbym się śmiertelnym grzechem. Niech mnie Pan Bóg od tego ucho-
wa! u mnie sumienie przedewszystkiem.

Widziała pani Włodzimierzowa grubą i niezgrabną hipokryzją; ale, nie chcąc irytować prezesa, udala, że tego nie postrzegła, i rzekła, przyciąwszy wargi:

— Mnie się zdaje, że sumienie powinnyby panu cokolwiek powiedzieć i za wdową, która sama rady sobie dać nie może i którą zapewne oficjaliści oszukują.

— Jezus Marja! — syknął prezes. — Wdowa! wdowa! wszak pani jesteś kobietą i Polką, a to wiadomo, że polskie panie, kiedy chcą, to mają dziesięć razy więcej rozumu i charakteru od nas. Gdybyś pani się chciała zająć, tobyś wiedziała, że panią durzą, że pożyczają bez potrzeby, że obiecują pani opłatę długów wtenczas, jak ceny się podniosą; a ja pani powiadam, że jak się doczekamy wysokich cen, to wtenczas pani powiedzą, że niema nic do sprzedania, bo ziarno myszy zjadły, a wódka wyschła ze szczętem.

— Pan prezes przestraszasz mnie. Mój komisarz wcale mi tego nie mówił.

— A! pani komisarz! — odpowiedział. — Ja komisarza nie mam, i panibys dobrze zrobila, żebyś go także nie miała. Ale to nie moja rzecz; ja tylko to wiem, że czekać nie mogę.

— Poradźże mi pan, co mam robić?

— Najmędrsza rada pochodzi od własnego rozumu — odpowiedział prezes. — Wszak pani masz dorosłego syna, który mógłby być gospodarzem, kiedy sama pani nie chcesz być gospodynią.

— On taki delikatny i ma inne widoki — odpowiedziała pani Włodzimierzowa.

— Jezus Marja! — rzekł, podnosząc głowę — szlachcic polski jest za delikatny do roli, do gospodarstwa? A do czegoż on przeznaczony? Czy nie do tego, żeby leżał w aksamitnym szlafroku na jedwabnej sofie i czytał francuskie książeczki?

— Sądzę — rzekła, czerwieniąc się od niecierpliwości — że wychowanie mojego syna do interesu naszego nie należy.

— Tak i ja sądzą — odpowiedział, kręcąc zwolna palcami i patrząc w sufit — dlatego zechcesz mi pani stanowczo odpowiedzieć, czy mi w tym tygodniu przyślesz pieniądze, czy nie?

— Skądże ja wezmę, kiedy mi mówią, że niema?

— To już nie moja rzecz — odpowiedział i patrząc z ukosa na znękaną kobietę, dodał: — Obowiązek sumienia nakazuje mi nie marnować posagu mojej córki i zabezpieczyć i tę jego częśćkę, którą mam u pani, procedurą sądową i opieką praw.

— Panie prezesie! — rzekła wreszcie z westchnieniem pani Włodzimierzowa — czy nie moglibyśmy tego interesu innym sposobem załatwić?

— Jakże to? — odpowiedział, zastanowiwszy obrót swych palców i słuchając z uwagą. — Pani może, zamiast gotowizny, chce mi dać bankowe bilety? i owszem, ja je przyjmę.

— Gdybym je miała, dawnobyś pan był zaspokojony — rzekła dumnie pani Włodzimierzowa.

— To wielka szkoda, że pani ich nie masz — odpowiedział zimno, i znowu umilkł, czekając, co powie.

— Pan przypominasz sobie ową propozycję, którąś mi robił przez marszałka? — rzekła nareszcie z rezygnacją.

— Jezus Marja! czy ja mogę sobie wszystko przypomnieć? ja mam tyle interesów na głowie.

— Mój syn ma lat dwadzieścia trzy, a córka pana prezesa zapewne dziewiętnaście? — rzekła, zmuszając się do uśmiechu.

— Tak jest, siedemnastego grudnia skończy lat dziewiętnaście — odpowiedział prezes naiwnie i uchylając głowę.

— Mnie się zdaje — rzekła złamanym głosem — że mój syn byłby w stanie podobać się pannie Kamilli, gdybyś pan pozwolił mu starać się o jej rękę?

— Jak pani mówi? przepraszam, nie dosłyszałem — rzekł zimno i szyderczo.

— Ja mówię, żebyśmy mogli dzieci nasze połączyć, i proszę pana prezesa, aby pozwolił synowi memu mieć nadzieję.

Poprawił się prezes w krzesło, zaśmiał się i rzekł do zmieszanej tem jego poruszeniem i śmiechem pani Włodzimierzowej:

— A! ponieważ pani z tej beczki zaczynasz, to przemówię i ja teraz do pani innym językiem. Proszę mnie posłuchać z uwagą, nie przerywać, a jak skończę, odpowiedzieć, co się podoba, i zrobić, jak się będzie zdawało.

— Słucham pana — odpowiedziała cichym głosem.

— Przed pół rokiem — mówił prezes zupełnie innym głosem i tonem — robiłem pani propozycję, to prawda. Ja, szlachcic taki sam, jakim był mąż pani, jeden z pierwszych urzędników w gubernji, dawałem migdałikowi pani dziewczynę piękną, edukowaną, ze zdrowem ciałem i zdrową duszą, i której sytuacja, jeżeli kilka lat pożyję, wyniesie do dwóch milionów. Zrobiłem to dlatego, że syn pani zdawał mi się chłopcem dobrym i nieglupim, chociaż go pani wypieściła, zepsuła, źle chowała i, zamiast mężczyzny, zrobiła z niego lalkę cukrową. Zrobiłem to dlatego, że majątek pani zdawał mi się podobnym do uratowania, gdybym się w to wdał, a połączony z moim, stanowiłby wielkie dobro, któreby postawiły nasze dzieci w rzędzie pierwszych panów na Wołyniu. Była to propozycja uczciwa, użyteczna i korzystniejsza dla państwa, niż dla mnie. Ale

pani nie mogłaś zapomnieć dwóch rzeczy: raz, żeś się urodziła księżniczką, powtóre, że mój ojciec był w służbie u wielkiego pana. Skrzywiałaś się na mój projekt i nie przyjęłaś go. Był to błąd, za który panią okoliczności ukarały i przywiodły do tego upokorzenia, że teraz robisz mi tę samą propozycją, jaką ja pani pierwszej robiłem. I tak zawsze bywa. Gdybyś pani więcej zajmowała się praktyką życia naszego społecznego, a mniej urojonemi wypadkami francuskiego świata, tobyś pani była wiedziała, że z dobrej okoliczności należy zaraz korzystać, kuć żelazo, póki gorące, bo zdarzenia uciekają, jak woda, i wrócić ich nie można, jak dnia wczorajszego. A teraz, gdym wypowiedział, co mi ciążyło na sercu i co pani przydać się może nadal, oświadczam, że synowi pani starać się o rękę córki mojej pozwalam, lecz kładę następujące warunki: 1) Że wtenczas dopiero pozwolę na ten związek, gdy moja córka sama tego zechce. Nie widzę bowiem żadnej potrzeby zadawać gwałt jej sercu, a przytem wiem dobrze, że to nie taka kobieta, aby ktokolwiekbądź, a nawet ojciec, mógł jej zaimponować. 2) O zwrót należytości mojej teraz nalegać nie będę, i jeżeli ten związek przyjdzie do skutku, zniszczę te obowiązki zupełnie. Ale nim to nastąpi, a czy nastąpi, nie wiem, wymagam: abyście mi państwo na sto pięćdziesiąt tysięcy znajdujących się w tych skryptach i na pięćdziesiąt tysięcy procentów, wszystkiego na dwakroć, wydali oblig zakładowy na Zabokrzyce¹, przylegające z drugiej strony do mojej Żurawki, z terminem także rocznym. 3) Jeżeli córka moja oświadczenie syna pani przyjmie, dasz mi pani natychmiast plenipotecją na rządzenie majątkiem pani, który gwałtownie potrzebuje ratunku i który zacny komisarz przyprowadzi wkrótce do ostatecznej ruiny. Teraz powiedziałem wszystko i czekam odpowiedzi.

Przez cały czas tej twardej perory siedziała biedna kobieta z nachyloną głową, i lzy upokorzonej i złamanej dumy kapaly na jej suknię. Widział to prezes, ale ani głos jego nie zmiękł, ani ton się nie zmienił. Gdy skończył, długo jeszcze

¹ Zabokrzyce — niema takiej wsi.

pani Włodzimierzowa milezała, nareszcie otarła oczy, podniosła bladą twarz i rzekła:

— Jestem matką; jeżeli to ma być z dobrem mego syna, zgadzam się na wszystko. Byles pan twardym i niedelikatnym dla kobiety słabej i może zaślepionej, ale zdolnej panu przebaczyć tę chwilę, jeżeliś pan był szczerzym pod koniec naszej rozmowy, niż z początku, i jeżeli w tem, co ma nastąpić, dasz dowód tego sumienia, o któreśm tyle razy i z takim przeniknięciem mówił. Jutro przyślij pan kogo do ułożenia żądanych obligów, a teraz pójdźmy obaczyć, co dzieci nasze robią.

To powiedziawszy, powstała i z godnością poszła. Prezes, nawzajem upokorzony tak niespodzianem znalezieniem się kobiety, którą chciał zniweczyć, splótl prędko tłuste swe rączki, puścił palcami szybkiego młynka i przechyliwszy głowę, szedł za nią.

VII.

Gdy weszli do salonu, uderzył ich następujący widok. Przy fortepianie stała panna Beldeau i, brząkając jedną ręką po klawiszach, śmiała się i mówiła coś do p. Henryka, który jej nie słuchał. Oparty o fortepian, z założonemi rękoma, z twarzą, jak trup, bladą, stał biedny młodzieniec, odwrócony od gadatliwej Francuzicy, i patrzył z natężeniem na pannę Kamillę. Panna Kamilla siedziała na krześle bliżej stołu, w ułożeniu pełnem powabu. Głowa jej była zwrócona ku stojącemu obok niej mężczyźnie, z którym mówiła; twarz jej jaśniała radością, oczy jej i usta wdzięcznie się uśmiechały; ręka, oparta o stół, igrała z lśniącemi lokami, a lewa nóżka w eleganckim trzewiczku, cokolwiek wyciągnięta naprzód, leżała na grzbiecie ślicznego legawca, który się u nóg jej zwinął. Ze owym mężczyzną był pan Józef, a owym legawcem był Amor, dzielający instynktem jego uczucia, to łatwo się czytelnicy domyślą. Jak się zaś ta grupa ułożyła, to potrzebuje opowiedzenia.

Gdy prezes z panią Włodzimierzową wyszli, trwało przez niejaki czas milczenie. Panna Kamilla odrazu postrzegła, jakiemu wrażeniu uległ młody człowiek, i z okrucieństwem ko-

biety nie żądającej hołdu, jakiego jest przedmiotem, postanowiła dręczyć nowego swego adoratora i, jak się domyślała, pretendenta do swej ręki. Słyszała ona cokolwiek od marszałkowej, wspólnej sąsiadki i wiedzącej wszystko: jak ów młody człowiek był wypieszczony i wychuchany; jak go matka trzymała zawsze pod bokiem; jak do lat dziesięciu nie dawała mu noża do rąk, żeby się nie skaleczył; jak go nie kazała uczyć ani łacińskiego języka, ani matematyki, że był delikatnego zdrowia; jak później nigdy nie pozwalała mu wsiąść na konia, żeby nie upadł; nie dała do rąk ani strzelby, ani pistoletu, żeby się nie zastrzelił; nie pozwoliła za nic kąpać się ani w rzece, ani w stawie, żeby się nie utopił; jak go kazała tylko praktycznie nauczyć po francusku, trochę geografji i historii przez konwersacją z guwernerem, a później od piętnastego roku życia pozwoliła mu karmić się samemi tylko romansami, aby się bawił, nabywał z nich znajomości świata i ładnych obrotów języka. To okropne wychowanie zniszczyło wszystkie zdolności i wrodzoną energją młodzieńca i dało mu jakąś sztuczną niedołężność, z którą się nie urodził wcale. Powiększyło ją jeszcze wyniszczenie fizyczne, przez obrazy, któremi nabita była jego imaginacja, i przez związki tajemne, o których biedna matka nie wiedziała bynajmniej.

Silna moralnie i fizycznie, piękna i żywa panienka, nie mogła bez pewnego rodzaju wzgardy i wstrętu patrzeć na biednego niedołęgę, który, jak słaba roślina zwraca się do słońca, aby zaczerpnąć od niego siłę i życie, zatopił w niej wzrok i całkiem się zapomniał. Wstręt ten, jakim ją przejął, postanowiła mu dać uczuć i rzekła niezmiernie serjo:

— Czy pan nie chory?

— Nie, pani — odpowiedział, czerwieniąc się — nigdy nie byłem zdrowszym.

— Pan musi nadto oddawać się pracy, która wyniszcza zdrowie pana. Jakież są nauki, nad któremi pan tak zawzięcie pracuje? Słyszałam, że pan niezmiernie lubi matematykę i wyłącznie się jej oddaje. Bardzo to ładnie i dla mężczyzny rzecz konieczna; ale ja sędzę, że to musi być praca nudna i zabijająca. — Wszystko to mówiła zwolna, z przyciskiem, i nie

okazując bynajmniej, że mówi nieprawdę. Każde jej słowo uderzało go, jak młotem; blednąc i czerwieniąc się naprzemian, słuchał jej ze spuszczoneymi oczyma; gdy umilkła, podniósł głowę, uśmiechnął się boleśnie i odpowiedział:

— Pani mi za wiele czynisz honoru; ja matematyki nie znam wcale.

— To może pan tak zagłębiasz się w łacinie? Belciu! jak się nazywa ten poeta rzymski, o którym czytałyśmy niedawno? Jego imię coś tak brzmi, jak kasztan we francuskim języku¹. Pan nie pamięta? — zapytała prędko, zwracając się do bladego jak ściana pana Henryka.

— Nie wiem — odpowiedział cichym głosem — o czym pani chcesz mówić.

— Pan gra? — zapytała znowu, powstając i idąc do fortepianu. — Oto partytura *Normy*². Może pan i śpiewa?...

— Lubię muzykę — odpowiedział, idąc za nią i opierając się na instrumencie, bo czuł, że ledwie stoi na nogach — ale nie śpiewam. Mam zbyt słabe piersi. Pani nie raczy spróbować?

— Zachryplam, jak pan słyszysz. Dużo dziś przed obiadem jeździłam konno, a powietrze było cokolwiek za chłodne. — Potem, patrząc mu bystro w oczy, dodała: — Pan zapewne ma dzielne konie i lubi tego rodzaju rozrywkę? Co to musi być za rozkosz dla mężczyzny, kiedy dosiędzie śmiałego i ogniściego wierzchowca, kiedy poczuje się panem dzikiego i szlachetnego zwierzęcia, które napróżno szarpie mocną rękę, co go prowadzi, i wreszcie pyszni się zręcznością i siłą tego, co go ujarzmił i więzi! O! my kobiety, jeżeli pozwalamy sobie męskich uciech, to i w dziesiątej części ich nie doznajemy. Nam potrzeba, aby koń był doskonale ujeżdżony, powolny, jak dziecko, miękki i słaby, jak kobieta. A to mdła rozrywka, to wszystko jedno, co kanapa na sprężynach. Nieprawdaż, panie? Pan podobno ma dzielne konie wierzchowe ze stajni Sławuckiej?

¹ We franc. języku kasztan brzmi *marron*; Kamilla miała na myśli autora *Eneidy*, P. Wergiljusza Marona.

² *Norma* — opera Wincentego Belliniego (1802—1835).

Dobila tem zapytaniem niemilosierna dziewczyna biednego młodzieńca. Wolal sklamac, niz przyznac sie, ze nigdy w zyciu na koniu nie siedzial. Spuscilwszy wiec oczy, odpowiedzial:

— Nie wiem z jakiej stajni pochodza, ale mam pare dobrych koni.

— A polowanie pan lubi? Co to musi byc za ukontentowanie? Tyle razy z placzem prosilam mego ojca, aby mi pozwolil nauczyc sie strzelac, ale nie moglam tego wyprosić. Jaki pan szczesliwy, — dodala z przyciskiem, — zes mężczyzna, ze zrecznosc tego rodzaju, ktorej nam, nie wiem dlaczego, bronia, jest obowiazkiem kazdego z panow i istotna czescia ich edukacji.

— Tak, ma pani racja — wyjakał biedny migdalik z rozpacza w sercu i nie wiedzial, co dalej z soba zrobic i gdzie schowac oczy, do ktorych cisnely sie lzy upokorzenia. Szczesciem dal sie slyszec hurkot i wyprowadzil go z ambarasu. Panna Kamilla spojrzala w otwo, gwałtowne drzenie ja schwycilo i twarz jej pobladla. Odwrócila sie wiec co prędezej, aby tego nikt nie uwazal; a panna Beldeau, poznawszy takze przez okno przybylego gościa, zaczela zaraz śmiać się głośnie i opowiadać po francusku panu Henrykowi przygodę, z ktorej ich ten pan wyratowal.

Wkrótce wszedł pan Józef, cokolwiek bledszy i mizerniejszy, niz byl przed trzema tygodniami, ale postac jego wysoka i męska, czolo szerokie i biale, wyraz twarzy energiczny i śmiały, stanowiąc uderzający kontrast z bladym i znękanym panem Henrykiem, wialy radość i szczescie w oczy panny Kamilli i serce jej napelnily miłością i dumą. Spojrzal pan Józef wokol, rzucil okiem na swego współzawodnika, stojącego przy instrumencie z założonymi rękoma, i zatrzymal sie chwile przy drzwiach. Panna Kamilla, jakby odgadla jego myśl, postapila pare krokow naprzód i wyciagnęła ku niemu reke. Posunal sie ku niej młodzieniec i wzajemnie lekkie ścisnienie dalo im poznac, ze sie nie zapomnieli. Gdy pan Józef, schylając sie z uszanowaniem, podana sobie reke calowal, panna Kamilla rzekla:

— Powinnabym doprawdy gniewać się na pana, żeś nas tak długo pozbawił przyjemności podziękowania sobie za przysługę, jakiej doznałyśmy w naszej przygodzie. Nieprawdaż, Belciu! — dodała, czerwieniąc się — żeśmy często mówily o tem, coby się było z nami stało, gdybyś pan był nie nadjechał?

Zaśmiała się Francuzica, jak zwykle, i potwierdziła słowa panny Kamilli.

— Nie mogłem dotąd — odpowiedział zmieszany pan Józef — korzystać z zaproszenia pani, i tem wdzięczniejszy jestem, — dodał głębszym głosem — żeś pani nie zapomniała jeszcze tak drobnej przysługi. Czy zastałem pana prezesa w domu?

— Mój ojciec jest w swoim gabinecie i w ten moment zapewne wyjdzie. Interes, o którym z mamą pana mówią, — dodał, zwracając się do pana Henryka — musi być panu wiadomy. Czy potrwa długo? Pan nie wie?

— Prawdziwie, że nie wiem, o co idzie — odpowiedział, czerwieniąc się, pan Henryk i zwrócił się do panny Beldeau, która nie przestawała z nim gadać, chociaż jej prawie nie słuchał i tylko półgębkiem odpowiadał. Teraz widząc, że panna Kamilla więcej zajęta nowym gościem, niż nim, puścił się w długą rozmowę o jakimś romansie Kocka¹. Tymczasem panna Kamilla zaczęła wypytywać pana Józefa o siostrę, o rodziców, o dziadka i babkę. Iskrzyły się od radości oczy młodzieńca, gdy postrzegł, że zna jego familją, że widać ją to interesowało, że się musiała wypytywać. Gdy jej odpowiedział na wszystkie zapytania, idąc ku oknu rzekła do postępującego za nią młodzieńca:

— Gdyśmy się pierwszy raz widzieli, zgadłam, jeżeliś pan tego nie zapomniał, w którym domu w Czaplincach rodzice pana mieszkają. Teraz wiem już wszystko, i znam każdą osobę, która składa rodzinę pana.

— O dziękuję, stokroć dziękuję pani za to interesowanie się! — odpowiedział, patrząc na nią z rozrzewnieniem i mi-

¹ Kock Paweł (1794—1871), znany powieściopisarz francuski.

łością. Spójrzała mu w oczy i postrzegłszy łzę, co jak kropla rosy zawisła na jego długich rzęsach, zmieszała się zupełnie i poszła prędko do okna. Ale wkrótce splesnęła rękami i zawołała do panny Beldeau:

— Belciu! Belciu! patrz, wszak i ten śliczny pies tego pana z nim tu przyjechał. O! niechże go pan pozwoli zawołać do pokoju. Nieprawdaż Belciu? co to za piękne stworzenie! — i nie czekając odpowiedzi pana Józefa, którego to cokolwiek zażenowało, czuł bowiem nieprzyzwoitość wizyty z psem, który bez jego wiedzy za nim w ślad przybiegł, otworzyła okienko, wyjrzała na dziedziniec i zawołała głośno: — Amor! Amor!

Leżał pies spokojnie na bryczce, ale gdy usłyszał ten głos, podniósł głowę, zestrzygł uszami, spójrzył bystro, skądby wychodził; a gdy poznał twarz i powtórzone wołanie usłyszał, jednym susem stanął na ganku, wpadł do przedpokoju, i mimo opozycji Ignacego, na którego groźnie warknął, zaczął stukać do drzwi salonu. Podbiegła panna Kamilla i otworzyła mu. Wszedł pies, kręcąc ogonem, spójrzył bystro w oczy swemu panu i, przyłożywszy piersi do ziemi i warując, przyczolgał się do nóg panny Kamilli.

— Patrzcież państwo! — zawołała uradowana — co to za rozumne i wdzięczne stworzenie! Raz tylko poglaskałam go i nie zapomniał mi tego. No! wstań już, wstań, poczciwy piesku — dodała, i gdy Amor posłuszny powstał, przyklękła z gracją, objęła jego szyję i głowę jego głaskać i karesować zaczęła, a spójrzawszy wdzięcznie na pana Józefa, którego szczęście wybiło się na twarzy, zwróciła raptem mowę do pana Henryka i rzekła:

— Panie Podziemski! pan, co lubisz polowanie, musisz i psy lubić! Nieprawdaż, co to za przepyszne zwierzę! a jakie karne i łaskawe! Chodź pan, pogłaszcz go!

W całym domu pani Włodzimierzowej nie było ani jednego psa, żeby który Henryczka nie ukąsił. Bał się więc psów pan Henryk, nie z natury, ale z nieoswojenia. Wszakże wszystkie upokorzenia, których dziś doznał, obudziły w nim jakąś odwagę rozpaczy. Przystąpił bliżej, pochwalił Amora i, chociaż ręka jego drżała, głaskać go zaczął. Mruknął pies, po całym

ciele pana Henryka przeszło zwykle jego nerwowe drganie. Panna Kamilla uśmiechnęła się, a biedny młodzieniec, postrzegłszy ten szyderski uśmiech na jej ustach, westchnął, zacisnął ręce i, wróciwszy znowu na swoje miejsce, oparł się o fortepian. Już więcej nie odpowiadał pannie Beldeau, która nie zważając na jego milczenie, ciągle trzepała i śmiała się.

Panna Kamilla usiadła koło stołu, wsparła, jakęśmy powiedzieli, lewą nóżkę na grzbiecie Amora, który legł przy jej nogach, i rzekła ciszej do rozmarzonego i uszczęśliwionego młodzieńca:

— Pan nie chciałeś do nas przyjechać, nieprawdaż? Potrzeba było, żeby mój ojciec pierwszy zrobił znajomość. — Pan Józef milezał, spuściwszy oczy, a panna Kamilla mówiła dalej: — I gdyby mój ojciec nie dał się być do tego skłonić, byłbyś pan wcale nie przyjechał?

— Więc moja siostra miała racją! więc zgadła! O, mój Boże! — rzekł prędko, trąc czoło.

— Cóż to odgadła ta dobra siostra pana? — zapytała panna Kamilla, patrząc nań z wyrazem pełnym miłości.

— To to, że pani przyczyniłaś się do tego szczęścia, jakie mi zrobiły odwiedziny ojca pani.

Schyliła oczy, twarz jej oblał rumieniec i nie nie odpowiedziała.

— Prawdaż to? O! niech mnie pani uszczęśliwi tem słowem!

— Pokłoń się pan serdecznie odemnie swojej siostrze — odpowiedziała, spójrzawszy nań przenikliwie. — Zadrzał do gruntu duszy młodzieniec, chciał coś powiedzieć, ale w tejże chwili drzwi gabinetu otwarły się i weszła pani Włodzimierzowa i prezes.

Biedna kobieta, znękana rozmową z chytrym i twardym zdobywcą, przestraszona bladeścią swojego jedynaka, spójrzała podejrzliwie i dumnie na pannę Kamillę i pięknego młodzieńca, który stał obok, i poszła prosto do syna.

— Co tobie, Henryku? — zapytała go ciszej.

— Nic wcale — odpowiedział prawie z gniewem.

— Bądź gotów, zaraz jedziemy.

Ale panna Kamilla, usłyszawszy te słowa i spojrzawszy na ojca, który się zmarszczył, nie chcąc się wydać ze swojemi uczuciami, z całą dyplomacją kochającej kobiety pobiegła do pani Włodzimierzowej i najśliczniejszą francuzczyzną rzekła:

— Słyszę, co pani mówi. O! proszę nie robić tej krzywdy mnie, młodej gospodyni. W ten moment podadzą herbatę. Jeszcze pani za widna dojedzie do domu. Nieprawdaż, panie Henryku? — rzekła z najśliczniejszym umizgiem — pan uprosi mamę, aby się nie spieszyła?

Zajaśniały oczy biednego młodzieńca, twarz jego się ożywiła i zarumieniła, i matka, zderutowana¹ grzecznością panny Kamilli i spójrzeniem syna, który ją błagał, została. Panna Kamilla odprowadziła ją do kanapy, usiadła przy niej i z niewypowiedzianą żywością, wdziękiem i uprzejmością prowadziła rozmowę.

Tymczasem pan Józef przystąpił do prezesa, złożył mu uszanowanie od ojca, który dla pilnego interesu przymuszony był wyjechać do Konstantynowa i sam służyć mu nie mógł.

Z początku prezes zimno się odklonił i kilka słów odbąknął; ale, widząc zabiegi panny Kamilli koło pani Włodzimierzowej, jej dobry humor, jej grzeczność dla pana Henryka, udobruchał się, oddalił od siebie myśl przykrą, która go na widok rozmowy córki z panem Józefem uderzyła, i grzeczniej z nim rozmawiać zaczął.

— Niech-no papa patrzy — rzekła panna Kamilla — co to za prześliczne zwierzę. Pójdź tu, Amor! — Amor zbliżył się i położył głowę na jej kolanach.

— Widziałem go już — odpowiedział, krzywiąc się prezes. — Ale cóż on tu robi?

— Ach! przepraszam kochanego papę, żem go zawołała z powozu pana Starzyckiego, gdzie sobie spokojnie leżał. Wiem, że papa niewielki amator, ale ja jakoś w tym względzie odrodziłam się od papy, za co spodziewam się papa nie mniej mnie kocha — dodała z umizgiem. — A przytem chciałam

¹ zderutowana — zbalamucona (z franc. *dérouter*, psuć szyki).

panu Henrykowi pokazać go, który w tej mierze gust mój podziela. Nieprawdaż, panie Henryku?

— Najzupełniej — odpowiedział młody człowiek, sam nie wiedząc, co się z nim dzieje; i chcąc dać dowód, że tak jest w rzeczy samej, przystąpił do Amora i zaczął go zwolna głaśkać. Ale ręka jego drżała i twarz widocznie pobladła. Wytrzeszczyła na to oczy przełęczniona pani Podziemska, nie wiedząc, co się zrobiło synowi, a nim zdołała słowo wymówić, pan Józef rzekł:

— Mnie się zdaje, że najprzystwoitsze dla niego miejsce będzie na dworze i na bryczce, i jeżeli pani pozwoli, każę mu wyjść precz.

— O! niech pan to zrobi, — rzekła, składając ręce, pani Włodzimierzowa.

— Amor! do koni! — zawołał pan Józef. — Spójrz! pies na pana, potem na pannę Kamillę, jakby czekał potwierdzenia rozkazu.

— Idź, idź, poczciwy piesku! kiedy cię wypędzają. — Usłuchał natychmiast, a gdy podano herbatę, zasiedli wszyscy okółu stołu i zaczęła się zwyczajna rozmowa.

Panna Kamilla była tak wesola, tak uprzejma dla matki i syna, że odurzyła ich i ujęła zupełnie. Gdy wyjeżdżali, prosiła o powtórzenie odwiedzin. Zaproszona wzajemnie, okazała gotowość i obiecała przyjechać z ojcem. Ale gdy prezes odprowadził gości do sieni, wbiegła nazad do salonu, i podając rękę panu Józefowi, rzekła drżącym głosem: — A pan przyjedzie?

Nie mógł słowa wymówić uszczęśliwiony młodzieniec; ścisnął tylko mocno podaną sobie rękę i do ust przytulił.

— Szczególniej nie zapomnij pan pokłonić się odemnie siostrze. O! jakbym rada ją poznać!

Gdy pan Józef powrócił do domu i, wszedłszy do pokoju, zastał siostrę samą jedną, chwycił ją w objęcia, tulił do siebie z uniesieniem i wołał: — Anulku! Anulku! tyś podobno zgadła!

VIII.

Pan Ignacy Zahorowski, przyszły zięć państwa Starzyckich, posiadał o mil cztery od Czaplince małą wioseczkę, z któ-

rej mógł wyśmienicie utrzymać siebie i żonę. Na początku lata postrzegł był raz w kościele pannę Annę. Podobała się skromna i ładna jej powierzchowność, słyszał wiele dobrego o tym za-
 cnym domu, i w tem przekonaniu, że przykład i wychowanie
 musiało ją i moralnie wykształcić na kobietę uczciwą, dobrą
 i uległą, postanowił tentować szczęścia. Wymyślił więc sobie
 interes, jakeśmy powiedzieli; potem otwarcie napisał do ojca,
 że mu się córka jego podobała, że szuka w niej tylko dobroci,
 przywiązania i obyczajów, a nie posagu, i prosił o pozwolenie
 bywania w ich domu. Pozwolenie, jak wiemy, nastąpiło; lepsze
 jeszcze zachęcenie, które wyczytał w oczach panienki, poszło
 za tem; a wszystko skończyło się zaręczynami, jak nam to
 panna Anna w rozmowie z bratem opowiedziała. Gdy pan Józef
 przybył do Czaplinc, wtenczas pana Ignacego nie było
 w okolicy. Pan Ignacy pojechał za Żytomierz do stryja, który
 mieszkał w Owruckim powiecie. Stryj ten był głową ich fa-
 milji, i młody człowiek, dawnym, szanownym obyczajem, nie
 chciał przedsiębrać tak ważnej czynności w życiu, nie mając
 błogosławieństwa najstarszego z rodzeństwa. Wszakże zbliżał
 się już moment jego powrotu i panna Anna coraz była niespo-
 kojniejsza.

W kilka dni po bytności pana Józefa w Szyszkowcach, wie-
 czorem cała familja zgromadzona była w pokoju. Dziadzio
 właśnie skończył był opowiadanie jakiegoś zdarzenia w domu
 pani Kurdwanowskiej, starościny Baranowskiej, wszyscy jakoś
 umilkli, a panna Anna, która siedziała przy oknie i ciągle
 w nie patrzyła, zapomniawszy się zupełnie, głośno wzdychać
 zaczęła. Dziadzio w ten moment zaczął śpiewać:

Zostawię ja ciebie
 Temu, co jest w niebie:
 Za roczek, za drugi
 Powrócę do ciebie.

A jak nie powrócę,
 Listy będę pisał;
 Ty będziesz płakała,
 Ja nie będę słyszał.

— Dajże jej asan pokój z temi piosneczkami, bo się doprawdy rozplacze — rzekła babunia.

— Nie, babuniu moja! — odpowiedziała, krzepiąc się, panienka. — Ja wiem, że teraz jesień, droga zła, i że pan Ignacy, choćby chciał, to nie może pospieszyć.

— Ej! moja dziewczeczko, — rzekł dziadzio — gdyby chciał, toby pospieszył. Jakem się za młodu wybierał w pewną podróż, o której asinčka nie powinnaś wiedzieć — dodał, głaszcząc żonę — a było to w późnej jesieni, to pani Kurdwanowska, starościna Baranowska, powiedziała mi: — A dokądże to wasan w taką bezdroż pojedziesz? — Ja uśmiechnąłem się i zaczerwieniłem; a ona mi na to: — Aha, wiem, niema zlej drogi do swojej niebogi. No, jedź wasan, jedź.

— To dziadzio myśli doprawdy, że pan Ignacy nie chce pospieszyć?

— Myślę, i bardzo myślę — odpowiedział z udaną powagą.

— Dlaczegoż to, proszę dziadzia?

— Boś go rozgniewała; jabym to samo zrobił — dodał serjo.

— Jakże to, mój dziadziu? — zapytała panienka, przyskakując do staruszka i karesując go.

— O! jak? a pamiętasz, jakieś się z nim żegnała, powiedziałaś mu: bądź zdrów, panie Ignacy! — On się prosił, żebyś mu powiedziała: bądź zdrów, Ignasiu! nie chciałaś.

— Czy tylko to? — rzekła uspokojona.

— Oho! alboż to mało! Poprawże się, jak wróci, ja ci szczerze radzę; — i zaczął śpiewać:

Przeproś Kasiu Jasia,
Boś go rozgniewała,
Jak go nie przeprosisz,
Nie będziesz go miała.

Zaledwie skończył, gdy dał się słyseć hurkot. Panna Anna krzyknęła, i w tej chwili otwarły się drzwi, i wbiegł młody człowiek, całował kolana babki, ręce dziadzi i rodziców, i stał przed narzeczoną, nie mogąc słowa wymówić od szczęścia i radości.

— Uściskaj go, uściskaj, kureczko! — krzyknął dziadzio ze łzami w oczach. Rzuciła się w jego objęcia uradowana panna i szepnęła mu do ucha: drogi mój Ignasiu! — Prze-stroga dziadzia nie poszła w las, bo jakże miała nie usłuchać tak starego, tak poważnego człowieka?

Pan Józef i pan Ignacy znali się jeszcze w Krzemieńcu. Później zaś więcej z reputacji uczciwości i dobrego prowadzenia się, niż osobiście. Panna Anna wkrótce odnowiła ich szkolną znajomość i radość w domu była powszechna. Cały tydzień przeszedł wesoło na rozmowie poufalej, na projektach umiarkowanych i nie przechodzących możności, na wspólnem wylaniu serc uczciwych, kochających i bezinteresownych. Szlub odbył się skromnie i cicho w najbliższej parafji. Młodzi małżonkowie, którym dziadzio ustąpił swego pokoju, a sam spał w kancelarji syna, zabawili jeszcze kilka dni u rodziców; i potem cała rodzina, wyjąwszy ojca i babuni, którzy zostali w domu i później ich mieli odwiedzić, odprowadziła państwa młodych do Trawisk¹, wioski pana Ignacego. W krytej bryczce na resorach pojechała matka z córką; w bryczce pana Ignacego jechał dziadzio, a w nietyczance był pan Ignacy i pan Józef. Na połowie drogi stanęli wytchnąć przed karczmą i dać koniom siana. Lecz zaledwie powysiadali z powozów, gdy zajęchała kareta i prezes z córką i panną Beldeau, jadąc z rewizytą do pani Włodzimierzowej, stanął także przed karczmą. Pierwsza panna Kamilla postrzegła znajomą sobie nietyczankę i Amora i, nie czekając, co ojciec powie, krzyknęła: Ignacy, otwórz! — Zaledwie drzwiczki były otwarte, już pan Józef był przy karecie, podał rękę pannie Kamilli, pomógł wysiąść prezesowi i pannie Beldeau, i wszyscy poszli ku karczmie. Prezes powitał uprzejmie dziadzia, zarekomendował siebie i córkę matce, która się zadziwiła i zmieszala, gdy poczuła, z jaką uprzejmością, z jakim uczuciem ta panna, okazała, piękna i bogata, ścisnęła jej rękę; ale żadne słowa nie zdołają oddać tego wyrazu ciekawości, interesu i bojaźni, jaki malował się w oczach nieśmiałej i nieprzywykłej do obchodzenia się z wielkimi pa-

¹ Trawiska — wieś tej nazwy nie istnieje.

nami Anusi. Stała ona zdaleka obok męża i czekała, czy też do niej zwróci się, i jak ją przywita panna Kamilla. Ale panna Kamilla poszła do niej prędko i śmiało, wzięła jej obie ręce i rzekła ciszej: — My się już znamy! — Zaczerwieniła się na te słowa młoda kobieta i łzy zakręciły się jej w oczach. Gdy prezes wieszował matce, gdy dziadzio rekomendował mu pana Ignacego, gdy pan Józef, spoglądając z radością na uprzejmość kochanki dla siostry, zaczął rozmowę z panną Beldeau, — korzystając z tego, panna Kamilla wzięła pod rękę młodą kobietę i poszły wzdłuż karczmy. Sień była obszerna, próżna i czysta i można było po niej pospacerować. Gdy cokolwiek odeszły, Anusia, ściskając jej rękę, rzekła:

— Jaka pani dobra, że się tak z nami obchodzisz!

— Dlaczegoż mi pani to mówisz? — odpowiedziała panna Kamilla, patrząc z miłością w te błękitne oczy, zupełnie takie, jak u brata. — Wszak powiedziałam, że my się już znamy. Czyżbym się pomyliła? Pani, coś się domyśliła, że mój ojciec odwiedził was przezemnie, nie domyśliłażbyś się reszty?

— O! panno Kamillo droga! mogłaby to być prawda? — zawołała w uniesieniu Anusia.

— Cicho! — rzekła panienska, oglądając się i tuląc jej rękę do bijącego serca. — Nie nazywaj mnie panną Kamillą. Tyś Anusia dla mnie, jam Kamilcia dla ciebie, myśmy siostry.

— O mój Boże! mój Boże! czyż ja spodziewałam się tak szczęśliwej chwili? — rzekła słabym głosem biedna kobieta, skłaniając odurzoną głowę na ramię panny Kamilli. — O! gdyby mój biedny brat wiedział, jak on szczęśliwy!

— Powiedz mi, Anulku, czy on mię bardzo kocha?

— Możesz-że wątpić? możnaż ciebie inaczej kochać? Od pierwszej chwili, od pierwszego spotkania waszego widziałam, że nieszczęśliwy, że stracił serce i pokój, że niepewność okrutna dręczy go i katuje.

— I nic ci nie mówił? nie przyznał się z niczem?

— O, droga Kamilciu! Ale Boże mój! jak mi dziwnie tak ciebie nazywać? Co to za szczęście! — rzekła, patrząc w te śliczne czarne oczy, w których Iza jak brylant błysnęła.

— Cóż Anulku! mów mi, mów o nim!

— Więc ty go kochasz?

— Kocham go — odpowiedziała panna Kamilla, kładąc rękę na sercu; a potem, nachyliwszy się do ucha Anulki, szepnęła jej ciszej: — kocham go bardzo, całą duszą, całym życiem, jakie jest we mnie. Ale mu tego nie mów.

— Ty mu sama to powiesz; on mi nie uwierzy, bo to dla niego nadto szczęścia.

— Sama mu powiem? Ach, nie wiem, nie zdobędę się na to. Czekałam jak zbawienia, żeby ciebie obaczyć, ciebie, kobietę kochającą, któraś odrazu serce moje odgadła; aby wylać przed tobą wszystko, co się tu zamyka; a tu tak wiele, moja droga Anulku, że się czasem piersi rozrywają. Bom ja sama, sama jedna, i niema żywej istoty, którejbym mogła co powiedzieć. O! on szczęśliwy, on może mówić z tobą. Kiedy on ci się przyznał?

— Widzisz, moje życie, on mężczyzna, silny duszą i ciałem i umie panować nad sobą. Widziałam, że cierpi, ale póki twój ojciec nie przyjechał do nas, milczał i cierpiał. Dopiero jak od was wrócił, o! z jakim uniesieniem, z jakim szczęściem chwycił mnie w objęcia i zawołał: — Anulku! tyś podobno zgadła.

— Podobno? — rzekła smutno panna Kamilla, — czyż on nie widział, co się we mnie dzieje?

— Daruj mu to. Trudno człowiekowi wierzyć świadectwu własnych oczu, kiedy szczęście lub klęska przechodzi wszelkie jego oczekiwanie.

— Szczęście! szczęście! ach! kto to jeszcze wie, czy to nasze szczęście, czy niedola?... Ale precz z temi myślami! — dodała, tuląc Anusię. — Naco ma nam dzień jutrzejszy zatrzymać dzisiejszą chwilę, kiedy taka rozkoszna... bom ja teraz bardzo szczęśliwa, moja droga Anulku. Ale pójdźmy!

I poszły do kompanji. Na środku karczmy panna Kamilla zatrzymała się i rzekła: — Ach, byłabym zapomniała, Anulku! będziemy pisywać do siebie, nieprawdaż?

— O! będziemy, moja droga! Ale pozwolisz swoje listy pokazywać Józiowi?

Kiwnęła głową panna Kamilla z słodkim uśmiechem i po-

szły wesole z radosnemi twarzami. Gdy się złączyły z kompanją, pan Józef rzucił okiem na siostrę, oczy jej wypowiedziały mu wszystko. Panna Kamilla karesowała Amora; zbliżył się i rzekł jej ciszej: — Dziękuję, dziękuję pani!

— Za co? — odpowiedziała, podnosząc nań oczy, w których była cała jej dusza; — czy za to, żem miała szczęśliwą chwilę?

Byłby jej do nóg upadł; ale prezes nadszedł z dziadziem i nic sobie więcej powiedzieć nie mogli.

Rozjechali się wkrótce, i łatwo sobie wyobrazić, jak długą, jak nieznośną wydała się ta droga panu Józefowi, który radby był pomówić z siostrą i dowiedzieć się, o czem rozmawiały.

Gdy się skończyła ceremonja powitania w domu nowej gospodyni, gdy się utuliły lzy matki i córki, gdy mąż wprowadził wszędzie żonę i pełen szczęścia i radości zdał berło domowe w drogie jej ręce; gdy dziadzio, chodząc za nimi i stosowne piosneczki odśpiewując, nasprzeciwiał się dowoli młodej mężatce: wtenczas dopiero Anusia, znalazłszy sposobny moment, wykradła się z bratem do osobnego pokoju i opowiedziała mu wszystko.

Wielkie szczęście jest zwykle tak bliskiem wielkiej niedoli, każdy rozumny człowiek tak dobrze to czuje, iż spełnienie najgorętszych życzeń naszych, po krótkiej chwili uniesienia, napelnia serce smutkiem i trwogą. Tak się stało i z naszym panem Józefem. Gdy siostra skończyła opowiadanie, gdy się dowiedział, że kochany tak silnie, tak gorąco kochany, — zbladł jak trup, upadł na krzesło, zakrył twarz obiema rękami i lzy szczęścia, bólu i trwogi puściły się z jego oczu. Gdy podano wieczerzę, on nic w usta nie wziął; gdy wszyscy poszli spać, on chodził długo i marzył, i myślał. Zmęczony wreszcie, położył się, ale noc przeszła, dzień zajrzał w okna, a sen nie był wcale na oczach młodzieńca, przed którym krążyły obrazy niewypowiedzianego szczęścia, a za nimi rozdzierające malowidła rozstania się, utraty i zapomnienia.

Tymczasem transakcja¹ o kupno części państwa Pożycz-

¹ transakcja — umowa.

kowskich wniesiona została do akt, pieniądze wyliczone, intromisja¹ wzięta. Pani Pożyczkowska, zabrawszy swoje dzieci, drżące obok niej, *serce* i manatki, pod które prezes kazał jej dać tyle podwód, ileby życzyla, wyjechała na mieszkanie tymczasowo do Szumska, pókiby się nie zdarzyła gdzie dobra dzierżawa. Wszedł więc prezes w posiadanie nowego dziedzictwa, i jak pajak usiadł w samym środku Czapliniec, gotów po swojej sieci puścić się na wszystkie strony na pierwszą zdobycz, któraby mu się nawinęła. Gdy przytem i oblig zakładowy pani Włodzimierzowej otrzymał, i pewnym był, że się i ta wioska jemu dostanie, tem bardziej zapragnął Czapliniec, które miały stanąć w samym środku jego rozszerzającej się majątności.

Ta podwojona chęć zawładania tą wsią podwoiła i grzeczność jego dla domu państwa Starzyckich, których postanowił do pewnego czasu oszczędzać. Poznawszy bowiem rozum i przenikliwość pana Hipolita, bał się naprzód, aby ten nie ostrzegł swoich sąsiadów i nie odwrócił ich od pozbywania się swoich posiadłości; powtóre, chciał tą pozorną grzecznością dla jednego zamydlić oczy innym, wzbudzić ufność i okazać, że nie jest tak złym sąsiadem, jak o nim mówiono; nareszcie, mając zamiar różnemi drobnemi przykrościami drczyć upornych, przyprowadzić ich do procesu i zmusić tym sposobem do wyrzeczenia się mająteczku i biedy, chciał oraz mieć pozór sprawiedliwości za sobą i pokazać, że z dobrymi żyje dobrze i w przyjaźni.

Wprawdzie mignęła mu była jakaś myśl zatrwajająca, gdy, wychodząc z gabinetu swojego z panią Włodzimierzową, postrzegł córkę w rozmowie z panem Józefem; ale panna Kamilla tak dobrze umiała potem ukryć swoje uczucia, tak napozór obojętnie przywitała kochanka w karczmie, tak mało z nim mówiła, wygadawszy się serdecznie z jego siostrą, tak potem grzeczną była dla pana Henryka i jego matki w ich domu, że myśl ta zatarła się w głowie prezesa. Znikła ona z niej zupełnie, gdy chytra panienka w przejeździe przez wioski pani

¹ *intromisja* — wprowadzenie sądowe w posiadanie nieruchomości.

Włodzimierzowej, ochwalić się ich nie mogła; zachwycala się ich położeniem, doskonałością gruntów, dodając, co by to był za majątek, gdyby był w ręku dobrego gospodarza. Uśmiechał się na to prezes, dziękował w duchu Panu Bogu, że jego dziecię tak do niego podobne, i ogromny zamek zbudował — na lodzie.

Z tych tedy powodów, gdy pan Hipolit Starzycki, skłoniony przez ojca i żonę, ujętych uprzejmością prezesa w owej samiętnej karczmie, ofuknięty nawet przez matkę, która, ulegając insynuacjom swego faworyta, wyrzucała mu niegrzeczność dla człowieka tak uprzedzającego i który został ich tak bliskim sąsiadem, zdecydował się nareszcie i z synem pojechał, — przyjął go prezes z otwartymi rękoma i nie wiedział prawie, gdzie go posadzić.

Panna Kamilla, postrzegłszy przez okna zajeżdżającego pana Józefa, jak się domyślała z ojcem, pobiegła ku gabineutowi prezesa, dała mu znać, że ktoś przyjechał, a sama wyszła do swego pokoju, aby się cokolwiek uspokoić, utulić bijące waltownie serce i kochankowi dać czas obyc się i opamiętać. Przeczuwała ona, że musi wiedzieć o wszystkim, i bała się naptownego spotkania, któreby ich w przytomności obudwóch ojców zdradziło.

Po kwadransie rozmowy grzecznej, ale zwyczajnej, pan Hipolit Starzycki, spoglądając na wchodzącą pannę Beldeau, rzekł:

— Mam od mojej żony ukłon oświadczyć córce pana prezesa i od siebie podziękować za jej laskawe obejście się z moją córką.

— Jezus Marja! — rzekł prezes — czyż to nie był jej obowiązek? Mając obligacją dla brata, wiedząc, jak ja szacuję rodziców, powinna była być uprzejmą dla córki. Tak ją wychowałem — dodał, wzdychając. — Gdy pan Hipolit nic nie odpowiadał, prezes tak dalej mówił: — A przytem taka interesująca osoba, jak pani Zahorowska, nie mogła nie zająć mojej Kamilki. Jak żałuję teraz, że tak późno się poznały, i ponawszy się, tak się oddaliły od siebie. Bardzo byłbym kon-

tent z takiej kompanji dla mojej córki, bo osoba w takim domu wychowana, jest zawsze użytecznym przykładem.

Znowu nic na to nie odpowiedział pan Starzycki; pan Józef dla kontenansu¹ przerzucił niby książkę, która obok niego na stoliku leżała, a prezes, zwracając się do panny Beldeau, dodał:

— Ale gdzież to Kamilcia?

— Zajęta w swoim pokoju — odpowiedziała guwernantka.

— Niech panna Beldeau będzie tak laskawą i zawoła jej na moment.

— Jeżeli dla nas — rzekł serjo pan Starzycki, — to niech pan prezes nie fatyguje panny Kamilli. Ja inną razą wypełnię swój komis.

Zastygło serce w piersiach pana Józefa, ale, zagłębiwszy się w książce, nic po sobie nie pokazał.

— Bardzo się cieszę z tej obietnicy pana dobrodzieja, — rzekł prezes; — to mi daje nadzieję, że się częściej widywać będziemy. Ale jabym chciał pochwalić się przed sąsiadem moją jedynaczką, której pan dobrodziej nie znasz.

— Nie miałem jeszcze tej przyjemności — odpowiedział zimno. Tymczasem panna Beldeau poszła i po chwili otwarły się drzwi i pokazała się panna Kamilla. Na twarzy jej nie było uśmiechu, ale wyraz jakiś poważny i łagodny. Oczy jej patrzyły spokojnie, chód był powolny i pełen gracji. Z dziwnem zajęciem spoglądał pan Starzycki na zbliżającą się z powagą okazałą panienkę; pan Józef powstał, trzymając się krzesła, bo nogi pod nim drżały, a panna Kamilla, skłoniwszy się grzecznie i naturalnie ojcu i synowi, usiadła.

— Kamilciu! — rzekł prezes — pan Starzycki przywozi ci ukłony.

— Moja żona przypomina się pani — rzekł pan Starzycki — i ukłon przezemnie przesyła.

— Jakżem wdzięczna — rzekła uprzejmie — że pani Starzycka o mnie nie zapomniała. Jakżeście państwo dojechali

¹ dla kontenansu — dla dodania sobie śmiałości.

wówczas? czy szczęśliwie? — dodała, obracając się do pana Józefa.

— Jak tylko można najszczęśliwiej — odpowiedział, nie śmiać podnieść na nią oczu.

— Mój Boże! — rzekła żywiej panna Kamilla — jak ja żałuję teraz, że córka pana tak daleko mieszka. Raz tylko widziałyśmy się z sobą, a tak jakoś przystałyśmy do siebie. Czy panu nie mówiła o tem siostra pana, jakieśmy się rozgadały? co to za miła rzecz, takie spotkanie na tych nudnych popasach!

— Ja właśnie chciałem podziękować pani za tę uprzejmość, z jaką pani ośmieliła moją córkę. Wychowana w samotności, prawdziwa wieśniaczka, nie wiem, jak się znalazła.

— Zanadto pan ją surowo sądzisz. Naturalna, miła, bardzo interesująca osoba — rzekła panna Kamilla. — Pan dawno wrócił od siostry?

— Już tydzień — odpowiedział pan Józef, spuszczać oczy. Lekki rumieniec wystąpił na twarz panny Kamilli i wkrótce zniknął. Tak ciągnęła się rozmowa dalej. Panna Kamilla najwięcej mówiła z ojcem, a synowi czasem tylko rzuciła zapytanie o gospodarstwie siostry, o jej zajęciach, czy będzie miała bliskie jakie sąsiedztwo i t. d.

Wtem wszedł Ignacy i dał znać, że nową młockarnię przywieźli i czeka przed gankiem.

— Aha, to ciekawa rzecz; bardzom kontent. Pan, co taki gospodarz, może zechce obaczyć — rzekł prezes, podnosząc się.

— Z ochotą — odpowiedział pan Starzycki, i wyszli. Za ledwie obaj ojcowie byli za drzwiami, gdy panna Kamilla, spojrzawszy przenikliwie na pannę Beldeau, rzekła:

— Belciu! duszko! każ mi podać moją robotę i niech przyrządzają do herbaty.

Uśmiechnęła się Francuzica i poszła. Tylko co się za nią drzwi zamknęły, pan Józef był już u nóg panny Kamilli, ścisnął jej kolana i wołał w uniesieniu: — O! mój aniele, czym ja wart tego?

Rozmarzona paniątka położyła obie rączki na jego głowie, ścisnęła ją, zaczęła igrać z jego włosami, a gdy on tulił do

ust jej dłonie, nachyliła się, pocałowała go w czoło i rzekła słabym głosem: — Wstań pan, wstań, na miłość Boską!

Wstał więc, usiadł na swoim miejscu, i długo, długo patrząc na siebie, ani jednego słowa wymówić nie mogli.

— Nie masz pan nic od Anulki? — rzekła wreszcie panna Kamilla. Pan Józef podał jej bilecik. Otworzyła go prędko, zaczęła czytać; czytając, wyciągnęła do niego rękę, którą upojony młodzieniec tulił do ust i do serca. Gdy skończyła, rzekła: — O! tak, to na zawsze! Ale bądźmy ostrożni. Usiądź pan tam.

Posłuszny, jak dziecko, odurzony tą uroczą chwilą, odszedł, usiadł i patrzył jeszcze bez końca, jakby chciał przekonać się, że to nie sen, nie widziadło, które zniknie, gdy przydzie upamiętanie i ocknienie.

— Czytałeś pan to? — zapytała panna Kamilla.

— Nie, pani — odpowiedział.

— Pan, pani — rzekła z bolesnym uśmiechem. — Jak to teraz dziwnie brzmi. Ale nie trzeba nam się od tego oduczać. Anulka radzi nam ostrożność. O! i ma racją! Czy wiesz pan...

— Znowu pan? — zawołał uniesiony młodzieniec, wyciągając do niej rękę. — Aniele mój! Kamillo droga! taki moment nieprędko się zdarzy.

— O! masz racją — odpowiedziała. — Raz tylko ci powiem, mój jedyny. Ty, ty, ty, jesteś tu... i na zawsze. A teraz dosyć.

To powiedziawszy, zerwała się, pobiegła do swego pokoju, i wkrótce stamtąd wyszła panna Beldeau.

Gdy prezes i pan Starzycki wrócili od młockarni, zastali pana Józefa w obojętnej rozmowie z Francuzicą.

— Gdzież to znowu Kamilcia? — zapytał prezes.

— Głowa ją cokolwiek boli — odpowiedziała guwernantka — i prosiła o herbatę do swego pokoju.

Uśmiechnął się przenikliwy prezes, i pomyślał: znudziła się ze szlachcicem; jej nie to w głowie! — I jeszcze grzeczniejszym był dla ojca i syna.

Podano wreszcie herbatę, przy której prezes opowiadał, kręcąc palcami i wdychając, jakim sposobem z biedy przy-

szedł do posiadania części w Czaplincach; jak powodowany ludzkością uległ prośbom tych biednych ludzi i wybawił ich od kredytorów; jak teraz sam nie wie, co z tym kawalkiem ma zrobić i zaproponował panu Starzyckiemu, aby od niego tę część odkupił, okazując się gotowym nawet stracić i rozłożyć mu wyplatę na raty, jeżeliby nie miał tyle kapitału.

— Bardzo panu prezesowi dziękuję — odpowiedział pan Starzycki; — ale ja nie mam nic, prócz swojej części i części na Podolu, w której mój syn gospodaruje. Nie puszczam się nigdy na przedsięwzięcia, którym podobać nie mogę. Nie winienem nikomu ani grosza, i mam nadzieję, że żadnego długu dzieciom moim nie zostawię.

— Admiruję, admiruję pana! — odpowiedział prezes. — Jezus Marja! gdyby wszyscy sąsiedzi pana dobrodzieja tak postępowali i myśleli! Ale przykład taki, jaki im dajesz, nie działa na tych ludzi. A żal, żal! takie mająteczki, jakie mają, wystarczałyby każdemu; ale trzeba się piędzią mierzyć, a tego rozumu Pan Bóg im nie dał. Wszyscy w długach.

— Każdy odpowiada za swoje postępowanie i życie — rzekł z powagą pan Starzycki — i los każdego z nas jest to ciągle konsekwencja naszych myśli i czynności.

— Jezus Marja! — rzekł prezes, wzdychając — jaka to święta prawda. I ja już doznaję skutków tego głupstwa, żem wlaźł w niepotrzebne kupno. Ale cóż robić? — dodał, kręcąc zwolna palcami i przechylając głowę — kiedy pan mnie wykupić nie możesz, niech już ta bieda zostanie przy mnie. Przynajmniej mam sumienie spokojne.

Zsunął brwi pan Starzycki, słuchając tych ostatnich słów, i nic nie odpowiedział. Skończyła się herbata i pożegnali się uprzejmie. Prezes wymógł obietnicę częstszego odwiedzania się; dodał, że ma się w niektórych rzeczach, tyjących się gospodarstwa, poradzić tak biegłego znawcy; że go powiezie do gorzelnii; że chciałby mu pokazać swój browar i t. d.

Gdy pan Starzycki z synem wracali do domu, nic do siebie nie mówili. Ojciec, sam nie wiedząc, co sądzić o prezesie, rozważał i milczał. A syn? o! syn także milczał i bujał w siódmym niebie. <http://rcin.org.pl>

IX.

Tymczasem prezes, który z biedy i jedynie przez ludzkość wlaźł w posiadanie części państwa Pożyczkowskich, postanowił według planu z niej korzystać. Dla kilku chłopów osadzać ekonomą było niewarto, że zaś dworek był niezły, w samym śródku wsi i na głównej ulicy, osadził w nim żyda. Żyd ten miał wódkę, miód, wiszniak, a nawet i wino; opatrzył się w stare fraki, niezupełnie znoszone kapoty, płaszcze i t. d.; miał materjalne sukienki i chustki damskie, a pod wielkim sekretem znalazł i sztukę płótna i tyfoń i muślin i tym podobne drobiazgi. Żydek to był niewielki, grzeczny i niezmiernie usłużny. Wódka jego była mocniejsza, lepszej miary i tańsza, niż u państwa Smyczkowskich i u pana Skrętskiego; wiszniaczek był doskonały, a wino z etykietkami, co nadzwyczajnie ujęło pana Plachtę, jako rzecz niezmiernie komilfo. W największy zaś fawor u wszystkich panów, a szczególnie u pań, wprowadziło Mortka to, że nigdy nie zapytał o pieniądze, ale wszystko, co tylko kto chciał i ile chciał, dawał na kredyt. Z chłopami wszakże był ostróżniejszy i im sprzedawał wódkę na gotowe pieniądze. Łatwo się czytelnicy domyślą, że był to agent Szlomy, działający według jego i prezesa instrukcyj, że nic nie miał swego, ale wszystko należało do naszego Szejne Morejne, on zaś miał tylko procent od wyszynku i sprzedanych rzeczy.

Z początku wprawdzie nie podobała się ta nowość wielu panóm. Szczególniej panowie Smyczkowsy i pan Skrętski krzyczeli mocno i karali swoich chłopów, jeżeli który, zwabiony lepszą miarą, zawędrował do Mortka. Ale że Mortko ujął wszystkich, a szczególnie panie, nie pomogły wocyferacje¹ dwóch zgodnych braci i rzeczy poszły swoim trybem. Tryb zaś ten był przewidziany przez prezesa. Znając naturę ludzką w ogólności, że się tentacjom trudno opiera, i znając naszą polską naturę w szczególności, że się im opiera mniej niż inne, wyrachował, że, podsunąwszy blisko wszystko to, czem chciał ich uwieść na pokuszenie, że ułatwiając nabycie nieograniczonym kredy-

¹ krzyki.

tem, łatwo wyprowadzi mieszkańców Czaplince z granic umiarkowania i już i tak odłużonych jeszcze więcej pogrąży w długi.

Nie omylił się w swoich rachubach prezes. Gdy Szłoma umyślnie zaczął robić trudności, — gdy, pokazując to temu, to owemu sążnisty obrachunek, oświadczył, że więcej kredytować nie może, wszyscy rzucili się do nowego dobrodzieja, który okazywał największą gotowość, zaufanie, i oświadczył, że on im i na tysiące zawierzy. Zapomniawszy więc o rejestrach Szłomy, widząc, że u Mortka nic jeszcze niema, lub mało, wyobrazili sobie nasi panowie, że nic nikomu nie winni, i brali ryczałtem. A jak u nowego doktora wszyscy się chętnie kurują, czy zdrowi, czy chorzy, tak i nasi obywatele schodzili się hurmem do nowego przekupnia i brali, ile stało, czy kto czego potrzebował, czy nie. Pan Plachta pokrył wszystkie meble nową materją i niezmiernie komilfo; pani Plachcina sprawiła dwie materjalne suknie, nowy beret, którego się Mortko nie wiedzieć skąd wystarał, a korzystając z dobrej zręczności, że dawali darmo, wzięła u Mortka salopę z lisami, wprowadziła nową, ale jeszcze bardzo przyzwoitą. Ta salopa poprowadziła za sobą konieczność wyjeżdżania przyzwoiciej do kościoła i do sąsiadów, a zatem konieczność mienia krytych sani, które Mortko czarownik jakby z pod ziemi wydobyl. Nowe meble poprowadziły za sobą potrzebę dawania wieczorynek, tem bardziej, że i panny Plachcianki dostały po trzy pary nowych sukienek; stąd i piwnica Mortka miała odbyć, i wino z etykietkami wyszło zupełnie.

Podobnie i pan Skrętski i panowie Smyczkowscy, przeprosiwszy się z Mortkiem, oporządzili się zupełnie. Panowie Zarzycki i Cepowski, przejrzawszy, czego nie dostawało w ich domu i garderobie, pospieszyli do Mortka; panowie Zarzycki i Cepowski młodzi, zapuściwszy, dla postrachu panów Smyczkowskich i dla ujęcia pańien Plachcianek, takie same wasy i bakenbardy, za pośrednictwem Mortka i dla większego złudzenia pańienek dostali i podobne czamarki. Słowem, każdy się spieszył, każdy brał, każdy się ekwipował, każdy przy kupnie i wydawaniu rewersu wypijał wódkę słodką i gorzką, miód stary i młody, wino z etykietkami i bez etykietek. Bo

czegoż mieli sobie żalować, kiedy to nie nie kosztowało, kiedy Mortko, poczciwy, nieoceniony Mortko, dawał wszystko na kredyt? Takim to sposobem, w przeciągu kilkunastu niedziel, kilkanaście tysięcy złotych na wszystkie prawie domy, oprócz państwa Starzyckich, Szłoma i prezes zapisałi. Nikt wszakże nie domyślał się ani celu działania Mortki, ani źródła, z którego zawsze do niego tyle ładnych, tyle nowych rzeczy napływało.

Niektórzy z drobniejszej szlachty, mający po dwóch, po trzech i po czterech chłopów, zachęcenі wspaniałością prezesa, który państwu Pożyczkowskim zapłacił za duszę więcej nawet niż chcieli, i podmówieni przez nieocenionego Mortka, który przy dobrym kieliszku tę myśl im poddał, udali się do prezesa i części swoje sprzedali. Płacił im, co sami chcieli, robił wszelkie dogodności, koszta prawne brał na siebie, z długów Szłomy i Mortka strącał część znaczną, krzycząc na żydów, że biednych ludzi obdzierają, i gromadził część do części. Tym sposobem wlaź pod bok panu Remigjuszowi Smyczkowskiemu, stanął za plecami pana Plachty, podsunął się pod oborę pani Biruckiej i pod toki panów Zarzyckiego i Skrętskiego. Żadnego wszakże dotąd nie zaprowadzał sporu, w odgraniczaniu gruntów i osiadłości największą okazywał łatwość, ze wszystkimi był bardzo greczny, a gdy czasem zajechał spojrzeć na swoje nowe dziedzictwa i obaczył ciekawe działki sąsiadów swoich na płocie, zawsze do nich podchodził, wychwalał ich piękność, obcierał im noski swoją własną chustką i nie omieszkał nigdy zrobić prezencik. W całych Czaplincach o niczem nie mówiono, tylko o prezesie, stawiano go na wzór sąsiadów i największe powzięto o nim nadzieje.

Utwierdził wszystkich w tem mniemaniu pan Skrętski. Prezes obszedł się z nim niezmiernie po przyjacielsku, dziateczki jego pieścił, całował i obdarzył; tem ośmielony pan Skrętski, udał się z prośbą o pożyczzenie pieniędzy. Prezes okazał nadzwyczajną uprzejmość, ufetował pana Skrętskiego u siebie, dał pieniądze, i dla formy nazначył tylko piąty procent. Gruchnęła ta wiadomość po Czaplincach i wszyscy rzucili się do łaskawego dobroczyńcy. Prezes dawał, oni brali, czy kto

potrzebował, czy nie; bo jak nie brać, kiedy dają, kiedy naczynają tylko piąty procent, kiedy jaśnie wielmożny dobroczyńca nie żąda innej ewikcji, jak prosty weksel, na walorowym wprowadzie papierze, ale nawet i ten papier daje od siebie.

Tym sposobem znowu kilkadziesiąt tysięcy nagromadziło się na czaplunieckich właścicielach. Żaden wszakże nie poszedł prosto ani do Szlomy, ani do Mortka obrachować się i zapłacić, ale każdy, zabrawszy gotowiznę, wywiózł ją do Krzemieńca lub do Dubna i powrócił do domu z jak najłżejszą kieszenią. Ale zato co się stało z Czaplincami?... Czaplince opórządziły się, zrobiły się świetne i ładne, i wyglądały jak małeńki Paryż!

Pani Plachcina podwoiła wieczory; galon szczerozłoty za jaśniał na kołnierzu Żorża; panny Plachcianki zaczęły się uczyć konno i brały lekcje od panów Smyczkowskich i w ich karczmie zamienionej na maneż¹; półszorki pana Skrętskiego jaśniały mosiądzami; pani Birucka sprawiła sobie zielonawą atlasową suknię do pomarańczowego szalu; pan Birucki przywiózł od Bunia cały antalek wina; panowie Zarzycki i Cepowski młodzi pokupowali sobie dzielne wierzchowce, w tej nadziei, że będą towarzyszyć pannóm Plachciankom w czasie przejażdżek po Czaplincach. Słowem, wszędzie było huczno, wesolo! Karnawał przeszedł na wieczorach, obiadach i balach; a gdy w ostatni tydzień wieczorów nie stało, dawano i tańczące śniadania, do których pan Plachta dał przykład i gdzie wprowadził zamiast pirogów i prosiąt, jako rzecz bardziej komilfo, czekoladę i wino szampańskie, którem pili z uniesieniem zdrowie prezesa, i które jakimś cudem znalazło się także u Mortka.

W takim wirze żyjąc, obywatele Czaplinc nie uważali, że od początku zimy zwożono mnóstwo różnego gatunku materiału, że składano go na każdej części, która należała do prezesa, gdzie z powrotem wiosny miał przedsiębrać różne budowy. Wszakże nikt nie wiedział, co zamyślał budować, i nie też to nikogo nie obchodziło; bo Mortko jak dawał, tak dawał, bo prezes był równie grzecznym, jak pierwej, bo jeżeli który

¹ maneż — szkoła konnej jazdy (z franc. manège).

zmiarkował się, że przez głupstwo i nieśmiałość za mało pożytych, i jeszcze raz do jaśnie wielmożnego dobroczyńcy pojechał, znowu dostał pieniędzy, dał skrypcik, i wróciwszy do domu, dał balik, na którym znowu pito zdrowie prezesa szampanem, którego już teraz u Mortka było podostatkiem.

A u państwa Starzyckich? U państwa Starzyckich było cicho, spokojnie. Dziadzio w swojej komórce robił małe stoliczki i krzeselka na zabawki dla prawnuka, którego się za kilka miesięcy spodziewał, matka szyła koszulki i czapeczki, babunia modliła się za wszystkich, ojciec gospodarował, a syn czytał, uczył się, aby się stać godniejszym anioła, który do niego zstąpił.

Cierpiał on wprawdzie, że rzadko tylko mógł widywać pannę Kamillę, że konieczność nakazywała im udawać zupełną obojętność i najzwyczajniejszą grzeczność; ale zdarzały się czasem szczęśliwe chwile, krótkie i jasne, jak błyskawica, w których ścisnienie ręki, połączone z wyrazem głębokiej miłości, ożywiało go, uspokajało i dodawało osnowy do marzeń na dwa lub trzy tygodnie niewidzenia.

Ten przymus nagradzali sobie kochankowie w listach, które oboje pisywali do Anulki, wiedząc dobrze, że ona je nawzajem zakomunikuje. W nich wylewali oni całą głębokość uczucia, co ich tak gwałtownie schwyciło; wynurzali wszystkie trwogi, co ich dręczyły, opisywali, a tem samem powtarzali każdą chwilę szczęśliwą, która im się na jedno mgnienie, jak czyste niebo śród chmur, otwierała.

Tym sposobem przeszła zima i przeminęła Wielkanoc. Wczesna i prześliczna wiosna ożywiła ziemię, tchnęła miłością na wszystkie stworzenia i podwoiła żądze, tęsknotę i trwogi młodych ludzi, tak bliskich sobie, tak dla siebie stworzonych, a przecież rozdzielonych nieprzewyciężoną przeszkodą, na której przełamanie żadnego nie widzieli środka.

Dwie okoliczności dręczyły szczególniej biedną heroinę naszą: naprzód to, że wkrótce zapewne pan Starzycki wyprawi syna na Podole, aby się zajął gospodarstwem. Chociaż panna Kamilla wiedziała o tem dobrze, że babka, pozbawiona obecności wnuczki, przytrzymała go przy sobie, mówiąc nieraz sy-

nowi: że gospodarstwo tam nie uciecze, a moje życie ucieka co chwila; — wszakże nie mogła przed sobą zataić, że nareszcie i staruszka ulegnie konieczności i na wyjazd jego zezwoli. Druga okoliczność była ta, że dla ukrycia swoich uczuć, przyjmowała odwiedziny pana Henryka, a chociaż nie ośmielala go bynajmniej do wynurzenia uczuć, które jej z ogródka i nieśmiało okazywać starał się, ale i nie odstręczała go tak, aby o niej raz na zawsze myśleć zaprzestał. Ta hipokryzja ciążyła jej szlachetnemu sercu i zatrzymywała jej spokój.

Wszakże wkrótce przypadek przyszedł jej w pomoc. Okoliczność, która go sprowadziła, zmusza nas cofnąć się cokolwiek nazad.

Pan Henryk, wróciwszy z pierwszej wizyty od prezesa, z głową zajętą wdziękami panny Kamilli, uczuł się głęboko upokorzonym. Gdy się wyegzaminował, poznał, że zdrożne wychowanie zmieniło całkiem jego naturę, że nie ma w sobie nic męskiego, że niczem nie zdoła zająć, przez nic podobać się tak energicznej paniencie. Przybity temi myślami, kilka dni przebył w głębokim smutku. Napróżno matka starała się go rozweselić i wybadać; matce nic nie odpowiadał, a nawet jedną z jej panienek, która także smutek jego postrzegła i tajemnie pocieszać go chciała, ze wstrętem odepchnął. Czwartego dnia, nasunawszy czapkę na uszy, otuliwszy się dobrze, bez opowiedzenia się matce, poszedł. Daleko za domem spotkał pisarza prowentowego, który ze strzelbą na plecach szedł sobie nad staw, czy się nie zdarzy do czego puknąć. Był to Mazur z pod ciemnej gwiazdy, dawny kawalerzysta, człowiek żywy i wredy i więcej zajęty strzelbą, niż rejestrami, jeszcze zuch i gotów do szabli i do szklanki. Gdy zamyślony i okutany paniem przędka obok niego przechodził, skłonił mu się pan Siodłowski, ale, spójrzawszy miłosiernie, uśmiechnął się jakoś i ruszył ramionami. Postrzegł to pan Henryk i już nabitą mając głowę tą myślą, że wszyscy nim gardzić muszą, jak mazgajem, zatrzymał się i zapytał:

— Czego asan się uśmiechasz i ruszasz ramionami?

— Przepraszam jaśnie wielmożnego pana, jeżeli to zrobił — odpowiedział, zdejmując kaszkę, ale dalibóg, że mi

zał patrzeć, jak się panisko okutało, jakby w trzaskający mróz. Kiedy-to, proszę jaśnie wielmożnego pana, w takim wieku, mosanie, i w czasie takiego wieczoru, choćby w surduciku i kaszkieciku, możnaby się przebiegać, a jeszcze włożywszy strzelbęczkę na plecy.

— Kiedy boję się przeziebić, panie Siodłowski.

— Ej! pluń jaśnie wielmożny pan na to. Jakto, proszę jaśnie wielmożnego pana, przeziebić się, kiedy miłosierny Bóg dał młodą krew, która będzie piec jak świecami, jeśli ją, jaśnie wielmożny pan mosanie, rozgrzejesz. Tylko nie trzeba tam siedzieć w pokojach jak w futerałach, i nie smażyć się nad temi niemieckimi książkami, ale się ruszać, ruszać panisku, jak na młodego pana przystało. — Pan Henryk westchnął i odwrócił się, a Mazur mówił dalej: — O! widzisz go! jaśnie wielmożny pan wzdycha! Ochotka by to była, ale już jaśnie wielmożny pan tak przywykł. A może i boi się trochę, żeby się mama nie zagniewała. Oj, toć bo to i bieda, że z panicza zrobili takiego, z przeproszeniem, mazgaja, że paniskowi potem samemu wstyd będzie, mosanie, jak się gdzie popadniesz między żwawych chłopaków. — Schwycił go młody człowiek konwulsyjnie za rękę i rzekł:

— Prawdę, prawdę mówisz, mój Siodłowski! ale cóż, kiedy ja nic nie umiem i wszystkiego się boję?

— Ej! pluń jaśnie wielmożny pan na to. Co tam nie umiem, co tam boję się? Alboć to święci garki lepią, a panisko jeszcze nie młody? Wszystkiego się nauczysz, mosanie, i do wszystkiego przywykniesz, tylko trzeba się ruszać. Porzuć panisko te głupie książeczki; nie śpij na piernatach, ale na sianie; tę małą djablicę, Zuzię, co to się chwali nie wiedzieć czem, każ osiec różgami i wypędź z domu; a kup sobie jaśnie wielmożny pan psa, mosanie, konia, mosanie, strzelbę i pistolety, mosanie, to będziemy polować, jeździć, strzelać, chodzić od rana do nocy, a nie będziesz się panisko niczego bał, będziesz wszystko umiał, co żwawemu chłopakowi przystoi, i nie będziesz tak wyglądał jak masło maślane i jak śledź wymokły.

— Słuchaj, Siodłowski! dostań mi gdzie psa, upatrz wierzchowca, pistolety, strzelbę. Ja ci jutro dam pieniądze.

— Dobrze, z ochotą; proszę się na mnie spuścić.

— Ale — dodał pan Henryk bojaźliwiej — niech to wszystko będzie u ciebie, żeby mama nie wiedziała. — Uśmiechnął się stary wiarus, pokręcił węża i rzekł:

— Hm! dobrzeć to, że jaśnie wielmożny pan tak szanuje wolę jaśnie wielmożnej pani, ale kiedyż bo to, prawdę powiedziawszy, zgubne, i robi z paniska wierutną babę.

— Jak się trochę ośmielę, jak już będę dobrze jeździć, to wtenczas powiem mamie i przekonam ją, że niema niebezpieczeństwa.

— Niebezpieczeństwo dla mężczyzny na koniu i z bronią? A cóż u milion set djabłów daje bezpieczeństwo człowiekowi, jeśli nie koń, szabla i pistolet? — zawołał, zapalając się, pan Siodłowski. — Ale bądź jaśnie wielmożny pan dobrej myśli! ja jaśnie wielmożnego pana wszystkiego nauczę. Byłem, mosanie, instruktorem całego szwadronu, i zjadłby mi sto djabłów który z moich wiarusów, żeby nie siedział na koniu jak drałwą przyszyty.

Gdy tak mówił, dał się słyszeć świst w powietrzu, przeciągało parę kaczek na staw, a pan Siodłowski w mgnieniu oka zmierzył i strzelił. Gdy się obejrzał, pan Henryk stał odwrócony, pochylił się do ziemi i uszy rękami zatknął. Zaśmiał się głośno pan Siodłowski, a że kaczki leciały za wysoko, i żadnej nie zabił, zaczął zwolna strzelbę przeczyszczać i na nowo nabijać. Gdy nabił, podał ją panu Henrykowi i rzekł:

— No, spróbujno panisko sam, a obaczysz, że nie taki djabeł straszny, jak go, mosanie, malują.

Wziął biedny chłopiec strzelbę, ale ręka mu drżała, drganie objawiło się w całym ciele i zdradziło ciężką walkę. Nie mogąc się jednak zwyciężyć, pobladł jak ściana, i oddawszy strzelbę, zakrył sobie twarz ze wstydu i uciekł nazad do domu.

Stał długo na miejscu oparty na strzelbie pan Siodłowski, patrzył za nim z politowaniem, a potem zawołał: — Otóż to miemieckie wychowanie!

Wszakże zaraz na drugi dzień zjawił się pan Henryk u pana Siodłowskiego, przyniósł mu pieniądze i prosił, aby się zajął jego sprawunkami. Rzecz była nietrudna i w przeciągu

tygodnia miał pan Henryk parę pistoletów, dubeltówkę, pałasz lekki i zgrabny, legawca wcale nieźle ułożonego i ślicznego kasztanka, który grzebał zgrabną nóżką, gdy go wyprowadzono, patrzył wokoło ciekawie i wesoło, ale za najmniejszym szelestem zestrzygał uszki i chrapał nozdrzami.

— Musi być bardzo dziki — rzekł pan Henryk, zbliżywszy się, aby go pogłaskać. Ale nie mógł się przewyciężyć i cofnął się raptem, gdy koń zwrócił ku niemu głowę i parsknął.

— Ej! pluń jaśnie wielmożny pan na to — odpowiedział, śmiejąc się, Mazur. — Ot, obaczysz panisko zaraz, jaki dziki.

To powiedziawszy, przystąpił śmiało, uderzył konia po grzbiecie dłonią, kasztanek wyciągnął się, a pan Siodłowski, zarzuciwszy mu trzęcę na szyję, wziął lewą ręką za grzywę i jak piórko wskoczył. Potem poprawił się, nogi wyciągnął równo, i prawą ręką po szyi klepać go zaczął.

— Widzisz, jaśnie wielmożny pan, mosanie, co to za dzikość. Stoi jak dziecko. Jedną tylko ma wadę, że trochę za miękki w pysku. Bo też nie trzeba go ściągać. Tylko ten szarpie konia, kto nie umie jeździć i boi się upaść. O! patrzno, panisku, co to za stępa, mosanie, a jaki klus, mosanie. Prawda, trzęsie trochę, ale to lepiej — znak, że mocny. A jak się osadza, mosanie! — To powiedziawszy, puścił się galopem prosto na pana Henryka i o krok przed nim stanął, jak wryty. — Ho! ho! — zaśmiał się na całe gardło pan Siodłowski — jak mi panisko pobladło i trzęsie się, jak osika. Czy to jaśnie wielmożny pan myślał, że ja go nie osadzę i roztratuję swoje paniątko? Ej, pluń jaśnie wielmożny pan na to. Byłem ci ja instruktorem 1-go szwadronu 1-go pułku strzelców, i zjadłby mi sto djabłów który z moich, jeśliby na placu, wyjeżdżając na ordynans, choć na piędź wyskoczył dalej, niż mu kazalem. No, siadaj jaśnie wielmożny pan — dodał Siodłowski, zeskoczywszy z konia i uderzając go znowu dłonią po grzbiecie.

— Za nic, za nic, mój Siodłosiu! — zawołał pan Henryk, zatrzepawszy rękami i odchodząc na bok. Mazur pokręcił węża i zdesperował. Przeszedł tydzień na rozmaitych próbach strzelania i jeżdżenia, ale żadna się nie udała. Wreszcie wpadł na myśl pan Siodłowski, że trzeba pomaleńku i stopniami pa-

nicza przyuczać. Posadził go więc naprzód z wielką biedą na folwarczną kobyłę, starą i ślepą, a potem na swojego podjezdka, potem na konia, co chodził pod forysiem, i w przeciągu zimy doszedł do tego, że nareszcie pan Henryk, jednego dnia po Wielkiejnocy, gdy śniegi już znikły i ziemia stwardniała, odważył się wsiąść na swego kasztanka. To samo było i ze strzelaniem. Powoli, stopniami, ośmielał go, uczył, pokazywał, i doprowadził do tego, że młody człowiek, chociaż zawsze z jakimś nerwowem wstrząśnięciem, ale strzelał po kilkanaście razy na dzień, chodził wieczorem nad staw, głaskał i zachęcał psa; a chociaż nigdy nic nie zabił, bo gdy przyszło pociągnąć za cyngiel, zawsze ręka jego zadrżała i przymrużyły się oczy, ale do celu niekiedy trafiał. Zdarzyło mu się nawet raz, że kulą zadrasnął kłodę, postawioną o dziesięć kroków, do której strzelał z pistoletu.

Wszystko to robiło się bez opowiedzenia się matce, która nie mogła z początku pojąć, co się stało synowi. Później wprawdzie dowiedziała się z boku; ale widząc, że młody człowiek rzeźwiejszy, weselszy, że ciągly ruch i ustawiczne prawie przebywanie na dworze umacnia jego zdrowie, wyprowadza rumieniec na jego twarz, — przypomniawszy sobie nadto rozmowę z prezesem, westchnęła i milczała.

Pan Henryk prawie co dwa lub trzy tygodnie bywał w Szyszkowcach. Zastawał tam czasem pana Józefa, i jakkolwiek ostróżni byli kochankowie, schwytał nieraz przelotne wejrzenie, w pół wyraźne słówko i instynktem kochającego i zazdrosnego serca odgadł prawie wszystko. Czuł on swoją niższość w każdym względzie, i to upokarzające uczucie przyprowadziło go do serdecznej nienawiści dla naszego bohatera.

W połowie kwietnia panna Kamilla odebrała list od Anusi, w którym ciągle mówiła o bliskim wyjeździe brata na Podole. Zmartwiona, zła, smutna, chodziła prędko po pokoju, szukając w myśli środków i nie widząc żadnego ratunku. W takim usposobieniu zastał ją pan Henryk. Z początku odpowiadała mu półgębkiem, ale wkrótce, postanowiwszy go odstręczyć przynajmniej na czas długi, uwolnić się od jego wizyt przynajmniej na te chwile bolesne, póki pierwszy żal rozstania

nie złagodzi się i nie opadnie, wpadła w jakiś szyderski humor i, jak w najpierwszej ich rozmowie, mówiła mu tylko o koniach, polowaniu, o strzelaniu z pistoletu, słowem, udawała nadzwyczajny zapał do wszystkich tych rozrywek męskich i krzywiła się, wspominając o mężczyznach nie wychowanych twardo i po rycersku. Zbladł pan Henryk na te deklamacje, pożegnał się i wyjechał z postanowieniem przekonania panny Kamilli, że nie taki mazgaj, jak może o nim myślała.

Następnego więc tygodnia kazał raniutko wyprawić swego kasztana z masztalerzem do Czapliniec i czekać na siebie w karczmie panów Smyczkowskich, a sam, siadłszy do koczyka z Siodłowskim, pojechał później. Gdy przybył na miejsce *rendez-vous* i gdy osiodłano konia, kazał sobie podać toaletę, uczesał włosy, nastrzępił wąsiki, zapiał rajtfrak pod samą szyję, kaszkiet ustawił na głowie w determinowanej pozycji, i świszcząc szpicróżgą i brzękając ostrogami, z jakąś gorączkową odwagą dosiadł swego kasztanka. Pan Siodłowski radował się swoim dziełem, bo w rzeczy samej wcale niezłą miał minę pan Henryk: wziął cugle akuratnie, oparł rękę na prawej nodze z gracją, osadził się mocno na siodle i, cmoknąwszy, ruszył od karczmy. Pobiegł jeszcze ku niemu stary kawalerzysta, poprawił go, wyprostował nogi, odsunął trochę na tył i zawołał:

— Tak, głowa trochę na bok, stępo, munsztuk wolniej, ostroga w pole. A ty pilnuj, żeby się koń nie rozgrzał, żeby się czego nie spłoszył; rozumiesz, kpie? — Te ostatnie słowa, naturalnie, zwrócone były do masztalerza. Już pan Henryk był daleko na drodze do Szyszkowiec, a jeszcze pan Siodłowski stał we wrotach karczmy i, patrząc za nim, mruczał: — Dobrze chłopczysko, nie będzie z niego nigdy wielki zuch, ale dobrze i to. Gdyby nie ja, i tegoby nie było. Oj! te modne łaby ze swoją niemczyzną! — Tak wykrzyknąwszy, wrócił do karczmy i, dla pocieszenia się, kazał sobie podać puzderko.

Zdarzyło się, że tego samego dnia, kiedy pan Henryk wybrał się do Szyszkowiec, pojechał tamże i pan Józef. Ze zbożalą sercem, z smutną i bladą twarzą, stanął młody człowiek w salonie prezesa, gdzie wszyscy byli zebrani. Postrzegła panna Kamilla, że <http://rcin.org.pl> bliiski, i zbladła jak

ściana. Ale, zreflektowawszy się prędko, zaczęła rozmowę naj-
 obojętniejszą w świecie. Po jakimś czasie, pan Józef, zwró-
 ciwszy mowę do gospodarstwa i siejby, znalazł sposobność do-
 dać, że wyjeżdża za trzy dni na Podole, i że właśnie przyjechał
 pożegnać mieszkańców uprzejmego domu, gdzie on i jego ro-
 dzina znaleźli tak łaskawe przyjęcie. Wszystko to powiedziane
 było niezmiernie naturalnie, i z wielką mocą nad sobą. Z ta-
 kież samem owładaniem gwałtownego bólu, który serce jej
 ogarnął, słuchała go panna Kamilla, dodając prośbę, aby pani
 Zahorowska koniecznie ją odwiedziła, jak przyjedzie do ro-
 dziców. Prezes prośbę tą powtórzył, pan Józef obiecał i po-
 dziękował, a panna Kamilla wyszła z pokoju. Po jakimś
 czasie wróciła z robotą, i usiadłszy, spokojnie znowu rozma-
 wiała. Wszakże w ciągu rozmowy, przez jeden z tych mane-
 wrów, których nie myślę uczyć czytelniczki moje, pan Józef
 odebrał małą karteczkę. Trzymał ją i tulił w rękę z kwa-
 drans, szczęśliwy, że ją miał, nieszczęśliwy, że jej przeczytać
 nie mógł. Aż dopiero, gdy prezes powstał i poszedł do okna,
 usłyszawszy hurkot zajeżdżającego powozu, przeczytał te słowa:
 »Drogi mój, biedny, jedyny Józiu! zostań tu jeszcze z papą —
 a potem jedź — czekać cię będę w tem miejscu, gdzie cię
 raz pierwszy obaczyła«. — Zaczerwieniła się twarz jego od
 radości i spójrzaniem dał znak, że będzie posłusznym. Tym-
 czasem prezes zapytał: — Któż to kazał zaprząć karjolkę?

— Ja, papo! przejadę się trochę z Belcią. Dzień tak piękn-
 y, a mnie cokolwiek głowa boli.

— Dokądże pojedziesz?

— Gdziekolwiek, przez wieś, na pole. Już się tak ładnie
 zieleni. Chodź, Belciu, jedziemy. Adieu, panie! — dodała, zwrac-
 ając się do pana Józefa. — Życzę panu szczęśliwej drogi i desz-
 czów na posiewy. Wszak deszcz potrzebny na posiewy, nie-
 prawdaż, papo?

— O! z ciebie wielka gospodyni! — odpowiedział pre-
 zes. — Zaśmiała się panna Kamilla i dodała:

— A jeżeli pan obaczysz siostrę przed wyjazdem, proszę
 się jej serdecznie kłaniać. Chodź, Belciu! — Ukłoniła się raz
 jeszcze i pobiegła do swego pokoju.

Prezes tymczasem wyszedł z panem Józefem na ganek, obaczyć, jakie konie zaprzęgli. Wkrótce wyszła i panna Kamilla w salopie i kapelusiku z guwernantką.

Gdy ją podsadzał pan Józef do powozu, gdy już noga jej była na stopniu, a ręce ich tulily się z miłością i bolem, nagle tętent się rozległ na ulicy za bramą i ujrzano rozhukanego konia, który w największym galopie wniósł na dziedziniec swojego jeźdźca. Biedny ten jeździec, blady, bez czapki, leżał prawie na szyi konia i trzymał się za grzywę; nogami objął brzuch jego i klął go ze strachu ostrogą, a strzemiona wolne i ciężkie, rzucając się na wszystkie strony, były przeleknione zwierzę to po bokach, to po piersiach. Masztalerz zdesperowany pędził za nim, i tym hukiem powiększał jeszcze przestrach kasztanka; krzyknęła na ten widok panna Kamilla, i rzuciła się nazad ku panu Józefowi. Schwycił ją młodzieniec, utulił w objęciu i wyniósł nazad na ganek. Gdy tak wszyscy stali, nim mogli się opamiętać i dać jaki ratunek, koń rzucił się w bok przed stojącym na drodze jego powozem, i pan Henryk (bo niestety! był to pan Henryk), wysadzony z siodła, upadł twarzą do ziemi i, na domiar nieszczęścia, trafił na maleńką kaluzę, która po wczorajszym deszczu została. Ignacy pobiegł za koniem, który wpadł na drugi dziedziniec, gdzie były stajnie, i gdzie także popędził masztalerz, a pan Józef poskoczył podjąć biednego Bajarda¹ i obaczyć, czy nie doznał jakiego przypadku. Zszedł i prezes, a panna Kamilla i panna Beldeau zostały na ganku. Podniesiony przez pana Józefa, biedny pan Henryk, powstał z zabloconą twarzą, zawstydzony, znękany, przestraszony, w pół żywy. Gdy go prowadzili ku domowi, zaśmiała się naprzód panna Beldeau, potem pannę Kamillę pochwylił jakiś śmiech spazmatyczny, że go pokonać nie mogła; potem zakomunikował się panu Józefowi; prezes także, widząc, że niema kalectwa, śmiać się zaczął, a nareszcie i Maciej parsknął głośno na koźle i brał się za boki. Przyszedł wreszcie do siebie pan Henryk,

¹ *Bayard* Piotr de Terrail, rycerz bez trwogi i skazy, w młodości paź Karola I, księcia Sabaudji, i króla Karola VIII, zasłynął w wielu bitwach, w szczególności w r. 1512 w bitwie pod Rawenną, i w r. 1521, broniąc fortu francuskiego Mézières przed Niemcami.

spójrzył po wszystkich, a na bohatera naszego utkwil wzrok, pełny gniewu i nienawiści. Potem dobył chustkę; obtarł się, jak mógł; na zapytanie, czy go co nie boli, odpowiedział, że nie, że zdrow zupełnie; i, gdy prezes prosił go, aby wszedł do domu, umył twarz i został z nimi na herbacie, dodając, że go każe odesłać powozem, pan Henryk, rzuciwszy okiem na duszącą się od śmiechu pannę Kamillę i na poglądującego nań z politowaniem pana Józefa, rzekł:

— Panie prezesie dobrodzieju, jeżeli chcesz mi łaskę zrobić, to pozwól, abym tym samym powozem, który tu stoi gotowy, odjechał do Czaplinięc. Tam moje konie i ludzie.

— Z największą ochotą, jeżeli ci to robi przyjemność; ale wołalbym, żebyś został z nami.

— O! nie, nie, nie mogę! — odpowiedział prawie z rozpaczą; ścisnął rękę prezesa, na pannę Kamillę nawet nie spojrział, i wskoczywszy do karjolki, krzyknął na Macieja: ruszaj! nawpół z śmiechem zawołał Maciej na konie: hou! i pojechał. Panna Kamilla przestała śmiać się i żał się jej zrobiło biednego młodzieńca, którego okropne cierpienie łatwo sobie wyobrazić mogła, a prezes, ruszając ramionami, rzekł:

— Jezus Marja! nie chciałbym być na miejscu tego biedaka. Otóż to zaślepiona i nierozsądna matka! zgubiła go zupełnie. — Gdy masztalerz podprowadził złapanego i drżącego jeszcze konia, zapytał go prezes, jak się to stało?

— At! jaśnie wielmożny panie! z kim innym nie byłoby nic. Ale nasz panicz to, Panie odpuść, i źle jeździ i wszystkiego się boi. Już tam na polu, byle wrona porwała się z drogi, a koń nastawił uszy i parsknął, to panicz go zaraz zrywał munsztukiem, żeby się na cuglach utrzymać, i tak go zbujal; bo koń miękki w pysku i byle go szarpnąć, to się wspina. Gdyśmy tu wjechali w ulicę, djabli nadali z rowu świnię. Cóż ją tam nastraszyło, bo już jak na nieszczęście pójdzie, to nie wiedzieć skąd co się weźmie. Otóż głupia świnią wyskoczyła raptem z rowu i harkocząc leciała jak opętana, prosto koniowi pod nogi. Koń się rzucił, panicz się zląkł i ściągnął go, koń wspiął się trochę, panicz wypuścił nogi ze strzemion i uderzył konia w brzuch ostrogami. Ja mówiłem: na tysiąc diabłów te ostrogi! ale on

widać chciał się tu pochwalić; taj jak go zakłuł dobrze, mój koń pomknął się jak oparzony, panicz puścił lice, i chwycił się za grzywę. Wtenczas koń dawaj lecieć co tchu, strzemiona dawaj bić go po bokach i po szyi, ja dawaj gnać za nim, ale nic nie pomogło. Ot, jak się to stało, jaśnie wielmożny panie.

Mimo żalu, jaki obudził stan pana Henryka, wszyscy znowu śmiać się zaczęli, a masztalerz poprowadził konia. Wrócili wszyscy do pokoju, rozmawiając o przygodzie młodego człowieka i robiąc różne uwagi. Pan Józef, widząc, że już z dzisiejszego *rendez vous* nic nie będzie, pożegnał raz jeszcze prezesa, a gdy z uszanowaniem całował rękę panny Kamilli, szepnęła mu panienska nieznacznie: — Jutro o jedenastej!

X.

Gdy pan Józef, miotany najrozmaitszemi uczuciami, dojeżdżał do domu, postrzegł niedaleko od bramy wąsatego szlachcica, wojskowej postawy, z czapką na bakier, idącego ku niemu. Był to pan Siodłowski, zły i zmartwiony przygodą swęgo wychowauca, który widać nie siedział na koniu, jak dratwą przyszyty. Miał nasz Mazur minę zagniewaną i z jakimś ruchami niecierpliwości pokręcał wąsa. Gdy się zbliżyli do siebie o kilka kroków, krzyknął pan Siodłowski na Michasia: — Stój!

— I cóż tam? — zapytał serjo pan Józef.

— Czy pan jesteś pan Józef Starzycki?

— Ja; o cóż idzie? kto pan jesteś?

— Jestem, mosanie — odpowiedział, pokręcając wąsa — były instruktor pierwszego szwadronu pierwszego pułku strzelców, mosanie, a teraz pisarz prowentowy jaśnie wielmożne Podziemskiej.

— A — rzekł pan Józef, uśmiechając się — czy nie par to uczyłeś i pana Henryka konno jeździć!

— Zjadłby mi sto djabłów, mosanie, który z moich wiarusów, gdyby tak jeździł, jak pan Henryk jeździ. To mie mieckie wychowanie wszystkiemu winno, a nie ja. I w Pa ryżu, jak to, mosanie, mówią, nie robią z owsa ryżu. Ale to do rzeczy nie należy.

— A w czymże rzecz? — zapytał pan Józef.

— Oto w tem, mosanie, żebyś pan przeczytał tą karteczkę.

Wziął pan Józef i czytał te słowa, drżącą ręką pisane: »Wiem, co się święci. Widzę, gdzie pan zmierzasz i po co sięgasz. Postrzegłem od pierwszej chwili, że pan jesteś przyczyną tego sposobu, jakim mnie traktują. Za te wszystkie upokorzenia, których doznałem, pan mi zapłacisz. Jeśli pan równie śmiały na placu jak w sięganiu po miljonową pannę, to się rozmówisz z oddawcą tego biletu o broń, czas i miejsce. Henryk Podziemski«.

Ledwie mógł oczóm swoim wierzyć pan Józef, przeczytawszy te słowa. Uśmiechnął się, ruszył ramionami i wysiadłszy z bryczki, której kazał jechać do stajni, odprowadził na bok pana Siodłowskiego i rzekł:

— Czy pan wiesz, o co idzie?

— A jużci, mosanie, wiem.

— I to serjo?

— A jużci nie żartem. Pan Henryk całą drogę płakał ze złości. Mówi, że pan jesteś przyczyną jego wstydu i że masz się także do onej panienki. Zgrzytał zębami i wołał biedak, że musi pana zastrzelić, lub sobie w leb palnie.

— Pojmuję ja wstyd pana Henryka, ale czyż ja wypędzałem z rowu tę świnię, co nastraszyła jego konia?

— Tego ja, mosanie, nie wiem i to do mnie nie należy. Proszę o odpowiedź.

— Ale umie on strzelać, ten biedny panicz?

— Tak sobie; ja go uczyłem i strzela dobrze. Zjadłby mi sto djabłów który z moich wiarusów, żeby tak strzelał jak on. Ale z tem wszystkim strzela nieźle.

— Bo ja biję w asa — dodał spokojnie pan Józef.

— Chwali się — pomyślał Mazur i odpowiedział: — To do mnie nie należy. Przytem w pojedynku to niepotrzebne. Jegomość, dzięki Bogu, nie as, i o sześć kroków trafi pana, mosanie, pan Henryk.

— Cóż mam robić? — odpowiedział pan Józef. — Rad nie rad, muszę przyjąć tę zabawną trochę propozycją. Wszakże pod pewnemi warunkami.

— Obaczmy, mosanie, co to za warunki — rzekł, pokręcając węża, pan Siodłowski.

— Pierwszy: sekret, bo pan Henryk, który lepiej zna Francją, niż swój kraj, może nie wie, że to pachnie Sybirem, a przynajmniej fortecą.

— Jużci to się rozumie, bo i mnieby się dostało.

— Powtóre: że pan Henryk za trzy dni, to jest w sobotę o godzinie szóstej z rana, wyjedzie z psami i strzelbą, niby na polowanie i zatrzyma się pod laskiem mego szwagra, o ćwierć mili od karczmy Niesiołowskiej. Czy pan znasz to miejsce? Bobym nie chciał za nic, aby się dowiedzieli przed czasem moi rodzice, a szczególnie moja babka, któraby to mogła przypłacić życiem.

— Rozumiem to, mosanie, i ja jestem ojcem i dlatego czekałem na pana tu.

— Dziękuję panu za to serdecznie — rzekł pan Józef, ściskając rękę starego żołnierza, który z coraz większem zajęciem patrzył na pięknego młodzieńca, którego każde słowo, każdy ruch był męski i energiczny.

— Po trzecie: że każdy z nas będzie miał z sobą przyjacielską bardzo karteczkę, zapraszającą przeciwnika na słomki do lasku mego szwagra. Te karteczki wymienimy na placu, aby na przypadek śmierci świadczyły, żeśmy nie byli wrogami.

— To rozumnie, mosanie, i to zgoda.

— Po czwarte: że będziemy się strzelać, idąc od pierwszej mety do drugiej, jak teraz zwyczaj.

— Wiem, wiem mosanie; widziałem takich zuchów, co trzy razy dochodzili do drugiej mety o sześć kroków, mosanie, i żaden nie strzelił. A potem obaj wystrzelili na wiatr i uściskali się. Pamiętam jak dziś, spiliśmy się wtenczas naleźycie.

— Otóż i my tak będziemy się strzelać. Czy zgoda?

— Zgoda, tylko jak na pana patrzę, to mi żal, mosanie, tego biednego pana Henryka.

— Któż mu winien, że głupi?

— Ej! pluń pan na to, mosanie. To wszystko mamunia winna i miemieckie wychowanie. Nie pan, mosanie, to pan, mo-

sanie, nie gniewasz, — rzekł, patrząc mu miło w oczy i wyciągając ręce.

— A za cóż? pan robisz swoją powinność — odpowiedział pan Józef i ścisnął jego rękę.

— Więc w sobotę, o godzinie szóstej rano o ćwierć mili od karczmy Niesiołowskiej?

Pan Józef dał znak potwierdzający i rozeszli się. Gdy wszedł do pokoju, udając spokojność, postrzegł, że matka układała jego bieliznę. Zbliżywszy się do stołu, rzucił okiem na rejestr i przekonał się, że wszystkiego znacznie przybyło. Wziął więc jej rękę i tuląc z miłością do ust i do serca, zawołał:

— Samaś to szyła, mamó! a twoje oczy? — Podniosła na niego oczy lez pełne, objęła jego głowę i, przytulając do piersi, rzekła:

— Anusia już ma wszystko. Teraz na ciebie kolej. Ale nie przeszkadzaj mi i idź do ojca, on na ciebie czeka.

Spójrział na nią, jakby chciał wybadać, dlaczego to powiedziała; ale widząc, że była zajęta i że lzy kapaly na bieliznę cienką, białą i starannie wyprasowaną, poszedł do pokoju ojca.

Ojciec także był zatrudniony. Twarz jego była smutna, poważna, ale nie surowa. Gdy się zbliżył, obaczył na stole dosyć długi szereg książek, których rejestr ojciec kończył.

Stał długo syn w milczeniu i nie śmiał przerywać. Gdy robota była skończona, powstał pan Starzycki i patrząc w oczy synowi, zapytał:

— Pożegnałeś się, mój synu? — Zaczerwienił się młody człowiek i spuszczać oczy odpowiedział, że się pożegnał.

— Przygotowałem ci lekarstwo — dodał ojciec, ukazując na książki. — Najlepsze i najciekawsze dzieła z historii, moralności i wojażów, jakie mogłem znaleźć w rejestrze księgarni, która została po Glücksbergu w Krzemieńcu. Wiem, że gospodarstwa nie zaniedbasz, ale zawsze ci zostanie wiele czasu i w tychto chwilach samotnych będziesz najwięcej potrzebował tego zbawiennego środka. To ci pomoże do otrzymania zwycięstwa nad sobą, które otrzymać musisz i powinieś. Jeżeli zaś tego będzie mało, to to będzie jeszcze skuteczniejszym! —

Powiedziawszy te słowa, wziął oprawiony niewielki sekstern i podał go synowi. Otworzył go pan Józef, drżąc cały, i obaczył własną ręką ojca wypisane porządkiem najpiękniejsze, najprostsze, jasne jak dzień, święte jak niebo, prawidła z ewangelji. — Upadł do nóg ojcu rozrzewniony młodzieniec, i mocno płacząc, ścisnął je i całował.

— Wstań — rzekł po chwili sam wzruszony ojciec, chociaż po sobie tego nie pokazywał. — Postrzegłem niedawno, co się w sercu twojem dzieje. Nie dziwię się, żeś się dał ująć tyłu powabami, takim rozumem i dobrocią, niezupełnie się nawet gniewam, że cię przypadek naraził na taką walkę. W niej wypróbujesz męskość swego serca i przyuczysz się pokonywać szalone chęci i przedsięwzięcia, przechodzące siły; bo życie, mój synu, jest ciągłą walką, a pokój jest tylko owocem zwycięstwa. Wywalczysz je, spodziewam się, dla siebie i dla mnie; tego żądam i to ci najuroczyściej rozkazuję.

Gdy to powiedział, ścisnął rękę młodzieńca, który stał bez ruchu i wyszedł z pokoju. Łatwo sobie wyobrazić stan naszego bohatera. Czuł on całą prawdę i świętość słów ojcowskich, a przecież nie mógł wykonać jego woli. Zaraz nazajutrz miał mu być nieposłusznym i znowu w sobotę miał może żalobą napelnić serce rodziców. Ale mógłże nie pożegnać się z kochanką, nie pomówić z nią może raz ostatni? Mógłże nie stanąć, kiedy był wyzwany? Mógłże okryć się wstydem w oczach własnych, zasłużyć na pogardę kobiety, której energją znał, i dać triumfować nad sobą nieprzyjacielowi takiemu, jak pan Henryk? Wszystkie te myśli rozrywały jego głowę i pokój uciekł od jego serca.

Gdy przeszła wreszcie noc długa i bezsenna, wziął strzelbę na plecy, zawołał Amora i poszedł. Około godziny dziesiątej stanął na tem miejscu, gdzie po raz pierwszy obaczył pannę Kamillę. Droga już wówczas była sucha, brzegi jej zieleniły się młodą murawą, zboża ozime zaczęły zielonym puchem okrywać pola, laski na wzgórzach przywdziewały wiosenną odzież, skowronki, bujając w powietrzu, głosiły wiosnę, miłość i nadzieję. Ale w sercu młodzieńca jej nie było. On czekał ostatniego

widzenia się z aniołem swojego życia i miał się żegnać — na zawsze.

Postrzegłszy wreszcie powóz zdaleka, szedł schyliwszy głowę, i niby nie uważając, aby okazać przed ludźmi przypadkowe spotkanie. Gdy się z nim zrównały, skłonił się panie Kamilli i panie Beldeau i przystąpił do powozu, który się zatrzymał.

— Pan poluje? — rzekła panna Kamilla.

— Wyszedłem trochę przejść się, tak piękny dzień — odpowiedział.

— I mybyśmy dobrze zrobiły, żebyśmy się trochę przeszły; nieprawdaż, Belciu?

Zgodziła się guwernantka z uśmiechem, otworzono powóz i panie wysiadły. Przywitawszy się z Amorem, panna Kamilla rzekła do Ignacego:

— Jedźcie wy sobie naprzód, a my tu pochodzimy. — Poszedł powóz naprzód, a gdy się cokolwiek oddalił, panna Kamilla dodała:

— Daj mi pan rękę. — Podał jej rękę znękany młodzieniec, tuląc nieznacznie dłoń jej do piersi. Ona zwiesiła się na jego ramieniu i tak szli powoli, mówiąc o pierwszej przygodzie, która była przyczyną ich znajomości. Nieznacznie panna Beldeau zaczęła się od nich oddalać, i znalazłszy jeden kwiatek, wylażący z ziemi, zaczęła szukać z zapalem i więcej, tak, że młodzi ludzie zostali prawie sami, owiani wonpem powietrzem wiosny, na otwartem polu, pod czystym niebem, które serca ich widziało. Pierwsza to była chwila, gdzie mogli wygadać się swobodnie. Wszakże z początku milczeli, bo wszystkie słowa wydawały się im za ciasne i nie mieściły w sobie nieskończoności ich uczucia. Nareszcie panna Kamilla wzięła jego rękę, położyła na sercu, i wsparłszy głowę na jego ramieniu, rzekła z westchnieniem:

— O, mój Józiu! mój Józiu! jakżebym była szczęśliwa, gdybym tak mogła przejść życie obok ciebie!

Objął ją rozmarzony młodzieniec, przycisnął nieznacznie i potem zaczęła się rozmowa długa, słodka, rozkoszna i bo-

lesna razem, bo pan Józef wiedział dobrze, a panna Kamilla przeczuwała, że to ostatnia.

Niech mi piękne czytelniczki moje podziękują, że im tej rozmowy nie powtarzam. Słowa moje zepsułyby tę złotą tkankę, którą ich młodsza od mojej imaginacja, wymówniejsze, bo może w tejsze chwili bijące serce, na tem tle, którem im podał, wyhaftuje.

Wkrótce pan Józef został sam jeden na drodze. Brzegi jej zieleniły się, ozime zboża okrywały pola zielonym puchem, wzgórza przywdziewały się odzieżą wiosny, skowronki żywo i rozkosznie śpiewały i coraz wyżej podnosiły się pod niebo; a on stał wsparty na strzelbie i słyszał tylko hurkot odjeżdżającego powozu, chociaż już dawno przemiął, i widział tylko kurzawę wzbity przez jego koła, chociaż już dawno wiatr ją rozwiał i rozniósł po polu.

W piątek rano pożegnał się pan Józef i umocniony błogosławieństwem rodziców i babki pojechał do siostry dla pożegnania się z nią i dziadziem, który właśnie gościł u wnuczki. Rozdzierało się serce biednego młodzieńca, gdy ostatni raz spójrzal na dach rodzicielski, który pokrywał tyle rozumu, tyle dobroci, tyle miłości, pod którym miał tyle przykładów umiarkowania i męstwa, gdzie odbierał żywe nauki pobożności, porządku i zgody. Chociaż wiedział, że kula pana Henryka, niewprawnego i bojaźliwego, może go ominąć, ale mógłże przewidzieć co zrobi przypadek? jak los, a może i sama nieumiejętność, tak niebezpieczna w pojedynkach, pokieruje ręką przeciwnika? Nie żałował on wprawdzie życia, bo nie miał nadziei; ale rodzice w żalobie, ale babka na katafalku, ale kochanka w rozpacz, stawały mu ciągle przed myślą. Gdy przed wieczorem wszedł do pokoju siostry, zastał ją siedzącą w dużym krześle i uśmiechającą się boleśnie, bo cierpiała biedna w swoim stanie, do dziadzi, który stał przed nią i, drażniąc ją, śpiewał:

A ów wąż nieszczęsny stał jej na zdradzie,
Urwał jabłko z drzewa zakazanego

I podał Ewie.

<http://rcin.org.pl>

Ewa skosztowała,
Ewa skosztowała!

Dziwnym mu się wydał ten kontrast pokoju i wesołości starca z jego własnym smutkiem i ciężką obawą. Szczęśliwy dziadzio! pomyślał w duchu. Już przebył wszystko, już dla siebie niczego się nie spodziewa, niczego nie lęka. Cieszy się tylko przez nas, ale i przez nas także zasmucić się może. Ta ostatnia myśl znowu nasunęła chmurę na jego czoło, którą był widok dobrego humoru starca cokolwiek rozpędził.

Postrzegł to dziadzio i mimo wielkiego wysilenia ze strony pana Józefa domyślił się, że coś nadzwyczajnego ciąży na jego sercu. Widział to i pan Ignacy, widziała i siostra; ale ci ostatni, znając sekret serdeczny brata, udawali, że nic nie postrzegają.

Jeszcze było dość widno, gdy obaj młodzi wymknęli się do ogródka i tam pan Józef opowiedział bratu wszystko i prosił go, aby mu jako świadek towarzyszył. Zmartwił się serdecznie pan Ignacy; nie było wszakże co robić, trzeba się było przygotować. Gdy tak przechadzali się i rozmawiali o jutrzejszej ekspedycji, nadszedł dziadzio, który w niespokojności i domyślając się czegoś, szpiegował ich i miał na oku. Biorąc więc za rękę pana Józefa, rzekł:

— A, złapałem waści na uczynku, macie sekreta! coś złego się stało, o czem nie wiem. Chcecie, abym dręczył się niepewnością? W ten moment czarno na białem! Chcę wiedzieć!

— Kochany dziaduniu — odezwał się pan Ignacy — już ja to i sam myślałem przez wzgląd na Anulkę, że niema potrzeby tego przed dziaduniem ukrywać. Józio ma jutro pojedynek.

— Do stu djabłów, to nic do rzeczy! — rzekł staruszek, poprawiając swoje czapeczkę. — I z kimże to, mości burdo?

— Z panem Henrykiem Podziemskim — odpowiedział Ignacy.

— Z tym migdalikiem? to musiałeś go waść sam wyzwać — rzekł dziadzio, patrząc surowo na wnuka.

— Nie, drogi dziadziu, — odpowiedział pan Józef. — Te-gobym nigdy nie zrobił, chyba w ostatniej konieczności..

— Więc musiałeś go skrzywdzić, chłopcze! — dodał starzec groźnie — a to jeszcze gorzej, bo on słabszy od ciebie.

— I to nie, drogi dziadziu! — odpowiedział młody człowiek, spuszczać oczy.

— A cóż u diabła za przyczyna? — zapytał starzec.

Tu pan Józef opowiedział całe zdarzenie. Słuchał stary z uwagą, a potem, kładąc rękę na ramieniu młodego człowieka, rzekł:

— Słuchajno waść, panie wnuku! jam już stary i nie pojedynkowałem się w życiu, tylko raz, i to wtenczas, gdym jeszcze był w domu pani Kurdwanowskiej, starościny Baranowskiej. Poszło nam niby o cesarza chińskiego; a wiesz waść, jaka była prawdziwa przyczyna?

— Nie wiem, kochany dziadziu.

— Spódniczka, kochanku, spółniczka! — dodał staruszek, nasuwając na ucho czapeczkę. — Czy i tu to samo? czy on ma waści za swego rywala?

— Podobno, kochany dziaduniu — rzekł, uśmiechając się, pan Ignacy.

— I waść tę panienkę kochasz? — Pan Józef nie odpowiedział, ale mimowolnie westchnął, a dziadzio dodał: — Ej, bratku, wzdychasz? to widzę, żeś waść głupiuteńki. Tu wzdychać niema do czego, ale powiedzieć sobie stale i statecznie: to panna nie dla mnie! i obejrzyć się za inną, poczciwą, dobrą dziewczyną, i z błogosławieństwem rodziców stanąć na kobiercu. — Pan Józef uśmiechnął się na to boleśnie, a dziadzio mówił dalej: ale nim to będzie, kiedyś wyzwany, powinienes stanąć. Kiedyż spotkanie?

— Jutro o szóstej z rana.

— Gdzie?

— W moim lasku od karczmy Niesiołowskiej.

— Kto twój sekundant?

— Ja, kochany dziadziu — rzekł pan Ignacy.

— Obejdzie się. Wasan masz żonę i wkrótce będziesz miał dziecko. Ta sprawa pachnie kozą, i długą; a tymczasem Anulka mogłaby to życiem przyplacić. Ja będę twoim sekundantem — rzekł stary, prostując się i poprawiając czapeczkę.

— O! mój drogi dziadziu! czyżbyśmy na to pozwolili — dodał pan Józef, całując rękę starca, — żebyś ty się narażał?

— Cóżto u diabła! myślicie smarkacze, że ja was będę prosił o pozwolenie? — krzyknął, zapalając się. — Tak chcę i basta! — Umilkli obaj, a staruszek, zreflektowawszy się, rzekł po chwili łagodnie: — A tam w domu nic o tem nie wiedzą?

— Nie, drogi dziadziu.

— To dobrze. Zapewne na pistolety? bo to wy mazgaje szabli nie lubicie i krzyżowej sztuki ani belmes¹. A przecież to bywało na sejmikach: jeden zuch stanąwszy pod murem, sześciu lub ośmiu adwersarzy tego mógł pokiereszować. A masz dobre pistolety?

— Wierne, kochany dziadziu! — odpowiedział pan Józef.

— Nabijże je waść i przynieś tu; tylko, żeby Anulka nie widziała, pro forma weź waść strzelbę.

Poszedł młody człowiek, a dziadzio tymczasem przykazał panu Ignacemu, aby żonie nic nie wspominał, aby udawał jak największą spokojność, a jak z rana zapyta, żeby powiedział, że pojechali do łasku na słomki i prosili o dobrą kawę, jak wróca.

Tymczasem pan Józef przyniósł pistolety. Odeszli cokolwiek dalej, a dziadzio, dobywszy nóż ogrodniczy, na pniu sporej lipy wykroił korę na wielkość dłoni, wziął pistolet, odmierzył dziesięć kroków i nasunawszy czapeczkę i wzięwszy się pod boki lewą ręką, wymierzył i strzelił. Kula uderzyła w drzewo na dwa palce od oznaczonego celu.

— Hm! — rzekł dziadzio, trochę niekontent — nie tak bije, jak trzeba. Spróbujno waść sam z drugiego. Pan Józef strzelił, i w samym środku celu pokazał się punkt czarny i okrągły.

— Dobrze — rzekł dziadzio — będzie waść strzelał z tego. Ten lepiej bije.

Uśmiechnął się pan Józef, bo wiedział doskonale, że oba pistolety równie wierne, ale oko dziadziowe już siedemdziesiąt osiem zim widziało. Gdy powrócili do pokoju, durzyli Anulkę, że strzelali do jastrzębia, który groził jej kurom, rozma-

¹ ani belmes — ani trochę, ani w żab (z tureckiego).

wiali prawie wesoło, a po dziesiątej wszystko już było spokojnie w całym domu. Pan Józef tylko długo chodził po pokoju i wzdychał, a dziadzio chodził także do późna i modlił się.

Nazajutrz o godzinie szóstej, jak było umówiono, z jednej strony zjawił się pod laskiem dziadzio z panem Józefem i Amorem, z drugiej pan Henryk z Siodłowskim i psem. Wszyscy byli uzbrojeni w dubeltówki i opatrzeni myśliwskimi torbami. Gdy powysiadali z powozów, zbliżyli się do siebie z uśmiechem, i w przytomności ludzi podając sobie ręce, nieznacznie zamienili żądane przez pana Józefa bileciki. W liście pana Henryka były te słowa: »Kochany panie Józefie! wiem, że przez lasek twego szwagra, koło karczmy Niesiołowskiej, przeciąga chmura słomek. Choćbyście mi mieli zagrabić strzelbę, przyjadę w sobotę z Siodłowskim. Jakbym się cieszył, żebyś i ty przyjechał!« — Bilet pana Józefa był następującej treści: — »Drogi panie Henryku! jeżeli chcesz strzelać do słomek, jak do wróbla, to przyjeżdżaj w sobotę do lasku mego szwagra, o ćwierć mili na prawo od karczmy Niesiołowskiej. Będę cię tam czekał i bez ciebie nie strzelę ani razu. A przywieź z sobą starego Mazura, Siodłowskiego, on podobno lepiej się popisze od nas obydwóch«. — Potem każdy schował swój bilet do kieszeni, wzięli się pod ręce i poszli, kazawszy ludziom czekać na siebie w tem samym miejscu. Ale jak tylko byli w lesie, pan Henryk wyrwał rękę z pod ręki pana Józefa i poszedł naprzód. Twarz jego była blada, wargi zaciśnięte, oczy paląły jakimś nienaturalnym ogniem, a całe ciało drżało, jak w febrze. Pan Siodłowski przypatrywał się dziadziowi z uszanowaniem i pokręcając węża, a wyprostowawszy się po żołniersku, rzekł:

— A to jegomość dobrodziej, mosanie, jesteś sekundantem tego pana?

— Ja — odpowiedział stary — chcę obaczyć, jak się też mój wnuk popisze i czym go dobrze wyuczył. Jajko wprowadzie w lot rozbija chłopak, ale na placu, to co innego. Pan zapewne dawny żołnierz?

— Były instruktor pierwszego szwadronu pierwszego

pulku strzelców — odpowiedział, podnosząc machinalnie rękę do czapki.

— Czy tam w reglaminie wasanów — rzekł dziadzio — nie było tego, że skłócić się za głupstwo i strzelać się za głupstwo, jestto wykładać życie, które należy do kraju i do monarchy?

— Oho! — zawołał pan Siodłowski — zjadłby mi sto djabłów, mosanie, który z moich wiarusów, gdyby co podobnego zrobił.

— A czemużes pan — mówił dziadzio — nie użył i tu powagi starego wojaka i człowieka z doświadczeniem? Wszak oni się będą strzelać nie wiedzieć o co.

— Nie mogłem, proszę jegomości. Tak się chłopak wziął mosanie, jakby go ciągnęło na zgubę.

— Ha! to niema o czem gadać — rzekł dziadzio, i odtąd szli w milczeniu. Gdy doszli do małego wyrębu, gdzie było miejsce czyste i z drzew obnażone, pan Henryk obejrzał się wkoło i rzekł: — Tu.

— A cóż, mosanie, dobrze i tu — odpowiedział pan Siodłowski. Pozrzucali więc z siebie torby, z których dobyli pistolety, pokładli strzelby i pan Siodłowski zaczął odmierzać metę.

— Druga meta o sześć kroków — rzekł pan Henryk, zaskakując wargi.

— A toż naco? — zawołał dziadzio. — Kto umie strzelać, trafi i o dziesięć.

— Pozwól, drogi dziadziu! niech będzie o sześć. Idziemy od pierwszej mety i każdy ma prawo strzelić, gdzie zechce.

— Niech i tak będzie — odpowiedział stary, ruszając ramię. — Wolalbym jednak szablę i krzyżową sztukę. — Oznaczył pan Siodłowski drugą metę, odmierzył od niej w jedną i drugą stronę po piętnaście kroków, na każdym z tych punktów położył torbę na znak, i kazał przeciwnikom na nich stanąć. Gdy obaj stanęli naprzeciw siebie, każdy z bronią w rękę, dziadzio przystąpił do wnuka i podał mu rękę. Pan Józef ją pocałował i rzekł cicho:

— Dziadziu drogi! powiedz mamie i babuni, że inaczej

być nie mogło. Pożegnaj ojca. A jeżeli zginę, nie obwiniajcie tamtej; to anioł, dziadziu, i ona temu nie winna. — To powiedziawszy, zwrócił się z zimną krwią do pana Siodłowskiego i dodał: — Licz pan do trzech, panie Siodłowski.

Odstąpili oba sekundanci o kilka kroków na bok i pan Siodłowski zaczął komenderującym głosem:

— Baczość! raz, dwa, trzy! — Po tem ostatniem słowie ruszyli obaj przeciwnicy z miejsca z wymierzoną bronią. Pan Józef szedł zwolna, zimno i prawie z uśmiechem; pan Henryk prędzej, z twarzą coraz bledszą, z zaciśniętymi wargami, z oczyma coraz mocniej iskrzącemi. Ale im bliżej przystępował, tem mniej pewnym stawał się jego krok, ręka drżała widocznie, oczy zaczynały się przymykać. Postrzegł to pan Siodłowski i zawołał:

— Śmielej! nie wyciągać tak ręki! niżej mosanie! wytrzymać, mosanie! — Ale pan Henryk go nie słyszał. Ledwie uszedł kroków siedm lub ośm, gdy mimowolnie może pociągnął za cyngiel. Huk się rozległ i dym okrył przedział między przeciwnikami. Wówczas dziadzio zwrócił oczy na wnuka, ujrzał go na nogach, ale lewa ręka jego obwisła i na twarzy wypiętnował się ból gwałtowny. Trwało to kilka sekund, po których znowu pan Józef szedł dalej i wołał na przeciwnika: — Proszę pana do mety!

Z zamkniętymi oczyma, z rękami zgiętymi i drgającymi jak w konwulsjach, szedł jednak pan Henryk; dziadzio, widząc stan okropny biednego młodzieńca, zawołał:

— Józiu! pod błogosławieństwem zakazuję ci strzelać!

— Nie będę, drogi dziadziu! — rzekł wnuk, obracając się do starca.

Tymczasem pan Henryk postąpił jeszcze parę kroków, jęknął głęboko, pochwiał się i upadł bez zmysłów. Wysilenie tak gwałtowne, odwaga ta nienaturalna i gorączkowa, dzieło miłości własnej, upokorzonej, odebrały mu siły i przytomność.

Przyskoczył do niego pan Siodłowski, i widząc, że tylko zemdłał, pokiwał głową, ruszył ramionami i rzekł:

— Biedne chłopczyisko! mosanie, zemdłał, jak baba. Otóż to niemieckie wychowanie! Zjadłby mi sto djabłów który z wia-

rusów moich, gdyby tylko mrugnął okiem, lub pobladł, kiedym, dla przyzwyczajenia, strzelał mu przed samym nosem.

Gdy pan Siodłowski tak rozprawiał i trzeźwił pana Henryka jak mógł, dziadzio tymczasem opatrywał ranę pana Józefa. Kula uderzyła go w lewe ramię, przedarła dość głęboko mięsa i uwięzła pod samą skórą, tak, że gdy dziadzio rękaw i koszulę rozerzwał, prawie sama wypadła z rany. Na wszelki przypadek miał dziadzio w torbie butelkę wody, ręcznik, bandaże i gąbkę, obmył więc krew i wzięwszy kulę w palce, rzekł uradowany:

— No, chwała Bogu! jest na wierzchu. Masz waść lekcją, która cię niewiele będzie kosztować. Schowaj sobie tę kulę na pamiątkę, i miej tę naukę, że ubogi szlachcic powinien brać się do równej sobie panny, aby miał pocziwą żonę, a nie do milionowych spódniczek. Boli cię, durniu, czy nie?

— Nie, nie, drogi dziadziu! tyś chirurg doskonały!

— Oho! pamiętam raz u pani Kurdwanowskiej, starościny Baranowskiej... — Wtem pan Józef skrzywił się mocno, poczuwszy ból gwałtowny, a dziadzio mówił dalej: — A widzisz, kpie, że cię boli... ale poczekaj.

Wtenczas dobył z torby chleba, wyjął pajęczynę, którą się opatrzył, zmieszał to razem, zmiął i ranę zapakował. Potem obłożył z wierzchu hubką, obwiązał bandażem i rzekł: — No, rusz waść ręką, tylko zwolna. — Ruszył pan Józef ramieniem, ucałował rękę starca, który go uściskał i dodał:

— Ale minę miałeś dobrą. Nie taką jak ten biedak. No! terazże klamcie, jak na mękach, bo to, moi panowie, pachnie tęgą kozą.

— A jużci, proszę jegomości, trzeba lgać, jak można, mosanie — odezwał się pan Siodłowski, który nareszcie przyprowadził do przytomności pana Henryka.

Powstał biedny młodzieniec, blady jak z grobu, tarł długo ręką czoło, jakby sobie co przypominał, a potem, spojrzawszy wkóło, westchnął głęboko i poszedł.

Zabrał prędko pan Siodłowski swoje i jego oręże, ścisnął rękę dziadzia i pana Józefa i poszedł także, mrużąc: — Ołóż

to miemieckie wychowanie; zjadłby mi sto djabłów, mosanie, który z moich... — i t. d.

XI.

Gdy pan Henryk wszedł do pokoju matki, zastał ją siedzącą na kanapie i przerzucającą ciekawie książki żółte, zielonkawe i niebieskie, któremi była obłożoną i których świeży transport odebrała z Odessy. Jakkolwiek była zajęta, przestraszyła się jednak biedna kobieta, obaczywszy twarz syna. Wzrok jego był zupełnie zmieniony, włosy w nieporządku, czoło i lica nie okazywały najmniejszego śladu krwi, a w całej postaci i w ruchach okazywała się jakaś głęboka boleść.

— Co tobie, moje dziecko? — zawołała matka. — Odwrócił się, nie odpowiedział i zaczął chodzić po pokoju. — Henryczku! na miłość Boską! przestraszasz mnie. Co ci jest?

— To, moja mamó — odpowiedział przez zęby — że przyszedłem się z tobą pożegnać.

— Pożegnać? Wielki Boże! dokądże chcesz jechać?

— Chcę stąd uciec — odpowiedział — i ucieknę, to wiem, ale dokąd, tego jeszcze nie wiem.

Odrzuciła od siebie pani Włodzimierzowa Balzaka, Soulié zsunął się z jej kolan, zerwała się przerażona i przystępując do syna, zawołała:

— Henryczku! czy chcesz, abym umarła?

— Nie, droga mamó, chcę, abyś mnie rozsądniej kochała, niż dotąd. Powiadam ci, że tu zostać nie mogę i ucieknę, gdzie mnie oczy poniosą.

— Dlaczegoż to, na miłość Boską?

— Dlatego, że tu ócz nie śmiem pokazać, żem się tu okrył wstydem, że tu każdy ma prawo gardzić mną, żartować sobie ze mnie, a gdy się rozgniewam, dać mi szcztka w nos, abym upadł i zemdlął.

To powiedziawszy, rzucił się w krzesło, zakrył sobie twarz i zaczął mocno płakać.

— O, ja nieszczęśliwa! — krzyknęła matka, zalamując ręce.

— A ja! — zawołał młody człowiek, powstawszy. — Jam

stokroć nieszczęśliwszy, biedna matko! bom nieszczęśliwy przez ciebie.

— Przemennie? — zawołała, patrząc w osłupieniu na syna.

— Bóg mnie stworzył mężczyzną — rzekł z mocą — a ty, matko, zrobiłaś mnie gorzej niż kobietą, gorzej niż dzieckiem, zrobiłaś mnie lalką nikczemną, głupią, trwożliwą, ani sobie ani ludziom nieużyteczną. Gdym był małym chłopcem, gdy mnie natura, może nawet energiczna, kto to wie? ciągnęła na świeże powietrze, na deszcz i slotę, w pole i do lasu, — nie puszczałaś mnie, nie mogłem pobiegać, żebym nie upadł, nie mogłem się wdrapać na drzewo, zbliżyć się do rzeki, wsiąść nawet na drewnianego konia, żeby mi się co złego nie stało. Do dziesięciu lat nie miałem noża w rękę, jak gdybym był przeznaczony na automata, któremuby wszystko podano, wszystko za niego zrobiono, a on żeby leżał w pudełku, obwinięty w bawełnę jak szklane cacko, któreby za każdym dotknięciem mogło się rozbić w kawałki. O! był to grzech, moja biedna matko, którym niebaczną miłość twoja obciążyła twoje sumienie. Ale któż wie? mogłoby się było jeszcze wszystko naprawić. O kilka mil miałaś szkołę, gdzieś mnie mogła oddać. Tam z towarzyszami młodości, z chłopakami pełnymi życia i siły, byłbym się wzmocnił, rozwinął; przez wstyd i emulację byłbym dobył z swych piersi ostatek energii i stał się chłopcem, jak oni, i wyrósł wśród nich i z nimi na mężczyznę, któremuby nikt nie śmiał deptać po nogach i grać na nosie. Aleś tego nie zrobiła. Zamiast mnie posłać do szkół, póki były, przyjechałaś do domu jakiegoś włóczęgę Francuza, abym się nauczył paplać, tak jak on, abym był ciemnym i głupim, jak on, abym zawsze był przy twoim boku, obwinięty w watę, otulony piernatami, abym potem, gdy należało oświecać rozum, kształcić się nauką, miał czas dla rozrywki tylko pożerać te zgubne książeczki, które mnie nauczyły tego, czegom wiedzieć nie powinien, które zbrudziły moją imaginację i w dwudziestym roku zrobiły mię drżącym, drażliwym i niedołężnym starcem. O! tyś tego pewnie nie chciała, bo ty mnie kochasz, biedna matko! ale miłość twoja była niebaczną i grzeszną.

Zanosila się od placzu nieszczęśliwa kobieta, a pan Hen-

ryk, widząc to, rzucił się jej do nóg i zaczął ścisnąć i całować jej kolana. Potem, powstawszy, wziął jej rękę i rzekł łagodnie:

— Nie płacz, droga mamol! ale pozwól mi jeszcze ratować się. Puść mnie, puść od siebie!

— Henryku! — odpowiedziała, składając ręce — mozem i zawiniła zbyt niem i nieuważnem przywiązaniem. Czyżes mnie już nie dość ukarał? Dlaczegoż chcesz mnie jeszcze porzucić samę jedną i uciec odemnie?

— Nie od ciebie, droga mamol, chcę uciec, ale stąd, z tego miejsca, z tych okolic; chcę i muszę uciekać.

— Czemuż to? co się stało? dla Boga!

— Czemu? czemu? Czy wiesz, moja matko, skąd teraz wracam?

— Skąd? skąd? — zapytała, patrząc mu w oczy z trwogą.

— Wracam z pojedynku.

Krzyknęła przeraźliwie pani Włodzimierzowa, zerwała się, i przyskakując do syna, zaczęła opatrywać jego głowę, piersi, ramiona, a potem, biorąc jego rękę, trzęsąc z całej siły, zapytała:

— Tyś nie ranny?

— O! wołałbym być rannym; wołałbym, żeby mnie tu przywieziono ze zgruchotaną ręką lub nogą, z przebitą piersią; niż skończyć tak nikczemnie, jakem skończył.

— Z kimże to, dla Boga, strzelałeś się?

— Z kim? z mężczyzną, moja matko, z mężczyzną w całym, wielkiem znaczeniu tego słowa, z człowiekiem, który patrzył na moją kulę, uśmiechając się, który szedł do mnie z wolna, krokiem pewnym, jak gdyby mi miał podać rękę do przyjacielskiego uścisku, wtenczas, kiedy ja szedłem do niego drżąc, kiedy oczy moje zakrywała mgła, kiedy w sercu była rozpacz, a konwulsje w ręku, które ją wiodły nie tam, gdzie chciałem, i wyrzuciły kulę nie wtenczas, gdy chciałem. Ale to jeszcze nic, moja matko; jam go ranił. A on nie pokazał tego po sobie, szedł dalej, wołał mnie spokojnie do mety, a ja zdrów i cały dójść do niej nie mogłem, upadłem wprzód, nim strzelił i od samego widoku jego kuli zemdląłem, jak kobieta. — To po-

wiedziawszy, wplótl ręce w swe włosy, i zaczął je szarpać i wyrywać.

— Henryczku! biedny mój Henryczku! — zawołała matka, tuląc jego głowę na swych piersiach. Uspokoił się po chwili i rzekł:

— Widzisz teraz, mamó, że ja tu zostać nie mogę.

— O, mój Boże! mój Boże! — zawołała matka — ciężkom ukarana. Ale któż to jest ten twój przeciwnik? Cóżes mu zrobił, że cię wyzwał?

— Nie on mnie wyzwał, ale ja go wyzwałem — odpowiedział.

— I zacóż to? O ja nieszczęśliwa!

— Za to, że ona go kocha, a mnie kochać nie może, za to, że on wyższy odemnie, że silniejszy odemnie, za to, że on śmiały, a ja tchórz, że on ma rozum, a ja głupi, za to, że się uśmiechnął z politowaniem, gdym upadł z konia w jej oczach, że mnie podjął z ziemi i postawił na nogach, jak dziecko, które upadnie i nosek sobie zwała. Słowem, za to, moja matko, że on mężczyzna, a ja mazgaj i baba. O, puść mnie, droga mamó! ja cię obwiniać nie będę, ja ci to wszystko zapomnę, tylko puszczaj mnie!

To powiedziawszy, wziął ją w objęcia, całował jej twarz, jej głowę, potem bladą, znużoną, osłabłą i nie mogącą słowa przemówić posadził na krześle, a sam wybiegł z pokoju.

We dwa dni po tej bolesnej scenie między synem i matką, prezes odebrał następujący list od pani Włodzimierzowej: »Uwielbiam pana, że syn mój wyjechał za granicę i kiedy powróci, nie wiem. Wszelkie zatem układy, o których mówiliśmy, skończone w tej chwili i nadal nie obowiązują ani mnie, ani pana. Może przeto teraz panna Kamilla oddać bez przeszkody swą rękę panu Starzyckiemu, którego kocha i którego uznaje godniejszym od mego syna. A chociaż pan Starzycki raniony w pojedynku, jaki ci panowie w sobotę odbyli, sądzę jednak, że niema wielkiego niebezpieczeństwa. Z książką W* Włodzimierzowa Podziemska«.

— Jezus Marja! — zasyczał prezes, przeczytawszy ten list, oparł się na krześle, splótl ręce na brzuchu i puścił dwoma

wielkimi palcami tak szybkiego młynka, że ich prawie widać nie było. Posiedziawszy tak z kwadrans, zadzwonił i kazał zawołać córkę. Weszła panna Kamilla z twarzą spokojną, ale bladą i wyrażającą ukryte cierpienie. Spójrzawszy na nią prezes już teraz nauczony czytać w jej licu, nie wątpił o prawdziwości swojego, jak je w myśli nazywał, nieszczęścia. Nic więc nie mówiąc, podał jej list pani Włodzimierzowej. Wzięła go panna Kamilla i zaczęła czytać. Przy pierwszych słowach lekki rumieniec okrasił jej lica. Stopniami zsuwał się, znikł zupełnie, pod koniec panna Kamilla wstrząsła się, zbladła jak trup, i gdy skończyła, opuściła ręce wraz z listem, zachwiała się i upadła na ziemię bez zmysłów. Krzyknął prezes przerażony, zerwał się, przykląkł przy córce, zaczął ją wołać najslodszyimi słowami, trzeźwił, jak mógł, ale nic nie pomogło. Wtenczas, rwąc na głowie włosy, wybiegł jak szalony, i łamiąc ręce, zaczął krzyczeć na cały dom. Na to przeraźliwe wołanie zbiegli się ludzie, wyskoczyła panna Beldeau, i wszystkie kobiety z garderoby otoczyły zemdloną. Jedna z nich, przytomniejsza, zaczęła ją zbryzgiwać wodą, rozerwała pasek szlafrocza, i powoli, powoli panna Kamilla przyszła do siebie. Gdy otworzyła oczy, podniosła głowę z pomocą kobiet, a potem, usiadłszy na ziemi, rzuciła okiem na list, który obok leżał, i zaczęła mocno płakać. Pozwolono jej wypłakać się dowoli, a gdy się cokolwiek utuliła, kazał ją ojciec odprowadzić do pokoju i położyć. Leżała tak panna Kamilla z parę godzin, nie mówiąc ani słowa, nie wydawszy ani jednego jęku, ani jednego westchnienia. Potem wstała, zaczęła chodzić po pokoju, namyślając się, co zrobić; nareszcie usiadła, napisała krótki bilet, wyjęła z toalety małe pudeleczko, opieczętowała to wszystko razem i zawołała służącą Teresię, którą szczególnie lubiła. Wszystkie ją kochały niezmiernie, bo była dobra, wesola, niekapryśna i często je obdarzała. Ale Teresa szczególnie do niej była przywiązana. Weszła więc dziewczyna z zaplakanemi oczyma i stanęła przed panią.

— Tyś płakała, Teresiu! — rzekła jej panna Kamilla.

— Ach! Boże mój! pani tak okropnie zemdląła — odpowiedziała dziewczyna, całując jej rękę. — Co się stało?

— Nic, moja droga. Słuchaj, Teresiu! ty mnie kochasz, nieprawdaż?

— O, moja dobra pani! — zawołała Teresia.

— Biegnijże z tem co tchu do Szlomy; tylko, żeby nikt nie uważał, dokąd idziesz.

— Ja pobiegnę przez ogród.

— Dobrze... i oddaj mu to tak, żeby nikt nie widział.

Dziewczyna wzięła pakiecik, pobiegła i w kwadrans potem już go Szloma miał w ręku. Szloma był w swoim pokoju, gdzie stały kufry z rozmaitemi rzeczami, gdzie była szafa pełna książek, gdzie z boku stało biurko zamykane, a przed nim fotel czerwonym saffjanem obity. Sam Szloma, w materjalnym szlafroku, w aksamitnej jarmułce siedział na poduszce z kutasami, jedną nogę w lśniących butach trzymał na kanapie, a drugą na ładnym dywanie, który przed nią leżał. W takiej postawie pan Szloma czytał Żyda Lessinga¹. Wkoło niego wszędzie było czysto, cicho, porządkie; w kąciku tylko, gdzie przybite było do ściany mosiężne lawabo i gdzie wisiał ręcznik, stał brudny cebrzyk, w który kapala regularnie woda, co wespół z delikatnym zapachem cebuli, ulatującym po pokoju, zdradzało pomieszkowanie żydowskie.

Gdy Teresia wbiegła, i obejrzawszy się, że nie było nikogo, oddała mu pakiecik, Szloma rozpieczętował go, i nie zmieniając pozycji, czytał ze zwyczajnym swoim rozumnym i zgadującym uśmiechem te słowa: »Panie Szloma! tyś mi pierwszy mówił z szacunkiem o domu państwa Starzyckich i o ich synu, który mię mocno interesuje. Jak silny, jak głęboki to interes, domyślasz się zapewne, bo tobie niewiele potrzeba, abyś się domyślił. Dziś dowiedziałam się, że ten młody człowiek raniony, zapewne już nie u rodziców, ale w Trawiskach, w wiosce siostry swojej Zahorowskiej, stąd o cztery mile. Nie mam kogo posłać, aby się dowiedzieć, co się z nim dzieje. Stan mój okropny. Muszę się kryć z tem, co czuję, a umieram z niespokojności. Jedź natychmiast, mój dobry

¹ Żyda Lessinga — Szloma czytał zatem dramat Lessinga *Natan der Weise* (Natan Mędrzec), napisany w r. 1779.

Szloma. Dowiedz się o wszystkim i powracaj. Tej przysługi nigdy ci nie zapomnę. Szloma, tyś człowiek rozumny i wiesz dobrze, czy można polegać na wdzięczności takiej, jak ja, kobiety.

P. S. Co tu dołączone, to dla twojej Racheli.

Otworzył Szloma pudełko i obaczył piękny fermoar brylantowy, zamykający dwa sznureczki ślicznych pereł. Cały prezent mógł być wart więcej jak dwieście dukatów. Zaiskrzyły się oczy żyda, uśmiech ukontentowania przebiegł po jego ustach, ale wkrótce zmiarkował się, i sądząc po żydowsku z wartości podarunku o uczuciach panny Kamilli i jej niecierpliwości, otworzył prędko swoje biuro i odpisał te słowa: »Rozkaz pani będzie natychmiast wykonany. Oddawna domyślałem się wszystkiego i nie dziwiłem się, że się tak stało. Taka, jak pani, kobieta, nie mogła nie ocenić *taki młody człowiek*, jak pan Starzycki. Rachela dziękuje pani za śliczny podarunek. Szkoda, że usługa nie warta takiej zapłaty«. W pół godziny potem, już Szloma był na drodze do Czaplincec.

Tymczasem prezes nie zasnął także gruszek w popiele. Uspokoiwszy się o córkę i widząc, że spokojnie leży, nie płacze i nie mdleje, wrócił do normalnego swego stanu. Znal prezes doskonale energją i determinacją¹ swej córki, przekonał się tylko co, jak gwałtowna jej miłość; zatrwożył się więc nadzwyczajnie, aby cała jego krwawa praca nie posłużyła do wzbogacenia szlachcica bez jego wiedzy i woli. Nie polegając więc bardzo na swojej powadze, chciał obudzić ambicją szlachetną w ojcu pana Józefa i zapewnić sobie w nim sprzymierzeńca. Napisał więc do niego następujący list: »Z załączonego tu listu pani Włodzimierzowej, dowiesz się wielmożny pan dobrodziej, co się dzieje. Znając charakter, sposób myślenia i umiarkowanie wielmożnego pana dobrodziej, nie sędzę, abyś wiedział o tem i pochwalał szalone zamiary swojego syna. Chociażby moja córka nawet szczerze myślała o tak nierównym związku, o czem wątpię, bom z nią jeszcze o tem nie mówił, to łatwo wielmożny pan dobrodziej wniesiesz, że ja na to nigdy nie

¹ *determinacja* — zdecydowanie, stanowczość.

pozwole. Mam nadzieję, że wielmożny pan dobrodziej, jako człowiek pełen honoru, ocenisz moje powody i stosowne przedsięwzięmiesz środki».

Gdy pan Starzycki listy te odebrał i przeczytał, kazał natychmiast konie zaprzęgać, a tymczasem odpisał prezesowi. Nie nie mówił żonie i matce, dokąd jedzie; objawił im tylko, że wróci za dwa dni. Twarz jego była spokojna, choć w sercu śmiertelna trwoga. Obszedł jeszcze umyślnie całe gospodarstwo, wydał potrzebne dyspozycje, powiedział żonie, co rozkazał i czego miano dopilnować, a ucalowawszy ręce matki i utuliwszy w swem objęciu czulej niż zwykle żonę, która wtenczas dopiero w nim postrzegła jakąś zmianę i cokolwiek strwożyła się, wsiadł i pojechał.

W tymże samym czasie prezes rozpieczętował odpowiedź na swój list, i uśmiechnął się i oddychał wolniej, znalazłszy następujące słowa: »Możesz jaśnie wielmożny pan dobrodziej być zupełnie spokojnym i nie trwożyć się szalonymi zamiarami mojego syna. Upewnić mogę jaśnie wielmożnego pana, że on ich nie ma, bo ja o nich nie wiem. Gdyby panna Kamilla była ubogą panienką, przyjąłbym ją z radością pod swój dach i błogosławiłbym niebo za taką synowę. Z takim zaś posagiem, jaki ma, nie jest partją dla mego syna. Taki jest mój sposób myślenia. Mój syn zna mnie dostatecznie i wie o tem, że mi nie może być nieposłusznym. Śpij więc jaśnie wielmożny pan spokojnie«.

Położył prezes ten list na stole, złożył ręce pobożnie, wznosił oczy do nieba, kiwając przytem głową na znak dziękczynienia, i, westchnąwszy jeszcze kilka razy, spuścił swe rączki do zwyczajnego położenia, a zacząwszy powoli obracać palcami, rozważał, jak dalej postąpić.

W teje samej karczmie, gdzie przeszłej jesieni panna Kamilla poznała się z Anulką, zjechał się Szłoma z panem Starzyckim około godziny dziesiątej wieczorem. Noc była ciepła, pogodna i widna; nie zajeżdżali więc oba na nocleg, tylko kazali dać koniom siana. Gdy sobie zajrzeli w oczy i poznali się, po pierwszym przywitaniu rzekł Szłoma:

— Pan dobrodziej nie myśli nocować?

— Mam pilny interes — odpowiedział. — Ale i ty, panie Szloma, nie każesz zajeżdzać także?

— Mam także pilny interes — odpowiedział żyd ze zwykłym uśmiechem. — Pan dobrodziej jedzie zapewne do córka, chciałem powiedzieć do córki, do Trawisk.

— Skądże o tem wiesz panie Szloma?

— Domyślam się i nie dziwię się, że pan dobrodziej nie nocujesz. Okoliczność jest taka, że ojcu pilno.

— Więc ty wiesz o wszystkim?

— Wiem, i żebym dał dowód, jak pana dobrodzieja szacuję, to mu się przyznam, że i ja tam jadę także.

— Prawda, tyś konfident prezesa — odpowiedział pan Starzycki z przekąsem. — Zapewne posyła cię prezes dla przekonania się, że rana niebezpieczna.

— Może pan prezes byłby i kontent — odpowiedział żyd z uśmiechem — żeby rana była niebezpieczna. Ale ja posłany jestem od takiej osoby, któraby połową majątku, a i może połową życia zapłaciła, aby tak nie było.

— Więc to panna Kamilla cię posłała?

— Teraz pan dobrodziej zgadł — odpowiedział żyd.

— Czy masz jaki list?

— Nic nie mam — odpowiedział. — Mam tylko obaczyć syna pana dobrodzieja, przekonać się, czy niema niebezpieczeństwa, i jak najprędzej powracać. A może będę mógł co poradzić. Bo pan dobrodziej wie, że ja jestem syn doskonałego cyrulika i byłem przeznaczony na doktora, nim ożeniłem się i wziąłem się do handlu. Mam nawet z sobą dobre plastry na rany i pudełko z instrumentami, które mi ojciec zostawił w sukcesji.

— Jedźmyż prędzej, panie Szloma — odpowiedział pan Starzycki, ujęty wyrazem twarzy i tonem mowy tego szczególnego żyda. A potem dodał: — Wszakże, jako ojciec, mogę od ciebie wymagać jednego przyrzeczenia?

— Słucham pana dobrodzieja.

— Ja nie aprobuję uczuć mego syna. Nie dlatego, abym nie cenił panny Kamilli...

— A! — rzekł żyd z gestem podziwienia — co to za panna!

— Wiem o tem. Ale ja żądam, aby mi synowa przyniosła w dom błogosławieństwo swoich rodziców, a nie wielki posag.

— Ja zawsze szanowałem pana dobrodzieja — odpowiedział żyd, zdziwiony takim sposobem myślenia.

— Dlatego — mówił dalej pan Starzycki — chcę, aby mój syn o tem zapomniał; a od ciebie, panie Szloma, żądam i żądam serjo, abyś tym młodym ludziom w niczem nie pomagał i żadnej komunikacji im nie ułatwiał. Przyrzekasz mi to?

— W tem i mój interes — odpowiedział żyd. — Pan prezes bardzo mi potrzebny, a mógłby się dowiedzieć.

— Dowie się przezemnie — rzekł pan Starzycki stanowczo — jeżeli to nie będzie ostatnia usługa tego rodzaju, którą robisz pannie Kamilli.

— Będzie ostatnią, damę panu dobrodziejowi słowo honoru — rzekł Szloma, wymawiając znowu ten ostatni wyraz z pewną pretensją, jako dziwnie brzmiący w ustach żyda. — Ale jedźmy — dodał — bo tam biedna panienka rachuje kwadransy i minuty do mojego powrotu.

We trzy godziny stanęli przed domem pana Ignacego. Wszyscy tam spali spokojnie i cichość była zupełna. Uspokojony tem ojciec wszedł do pokoju. Wkrótce pan Ignacy, Anulka i dziadzio byli na nogach i w pół godziny dowiedział się pan Starzycki o wszystkim. Rana pana Józefa była lekka i nic nie znacząca i nie potrzebowała więcej jak tydzień czasu do zupełnego zgojenia; nie on wyzywał pana Henryka, niczem go nie obraził, ale wyzwany stanął odważnie; nie strzelał pierwszy, choćby mógł był od pierwszej nawet mety obalić swego przeciwnika. Pocieszyło to wszystko strwożonego ojca, który, podniósłszy myśl dziękczynną do Boga, kazał obudzić syna i zaprowadził do niego Szłomę.

Gdy pan Józef obaczył przed sobą ojca, podniósł się, wziął jego rękę i, tuląc do ust, zawołał:

— Daruj, ojczel nie mogłem ci być posłusznym.

— Wiem o tem; uspokój się — odpowiedział poważnie ojciec. — Był to skutek konieczny pierwszej słabości, której nie pokonałeś odrazu. Ale o tem potem. Pokaż swą ranę. Panie Szloma, obacz, ponieważ cię to interesuje i znasz się na tem.

Żyd odwiązał, obaczył, obmył ranę, dobył ze swojego pudełka plaster, okroił go zgrabnie lśniącemi nożyczkami, położył delikatnie i obandażował. Potem, obracając się do obecnych, rzekł z uśmiechem:

— Bądźcie państwo spokojni. Ile się znam na tem, mogę upewnić, że za pięć lub sześć dni zagoi się. Ale potem, żeby się nie jątrzyło, to pan jeszcze ten drugi plaster przyłożysz i już go nie odejmuj, póki sam nie odpadnie.

To powiedziawszy, wziął inny plaster, wykroił znowu kwadratową sztuczkę, zawinął zgrabnie w bilecik panny Kamilli i oddał panu Józefowi. Ale oddając, ścisnął go nieznacznie za rękę i nachyliwszy się, jakby jeszcze chciał obejrzeć bandaż, szepnął mu do ucha: — Niech pan to schowa i przeczyta. — Zaczerwienił się młody człowiek i plaster znikł pod kołdrą.

— Ale chodźmy — rzekł żyd. — Mnie pilno wracać, a ten pan potrzebuje odpoczynku i spokoju. Pan dobrodziej sfałgowany także i zmęczony moralnie — dodał, zwracając się do ojca i wymawiając ten wyraz z przyciskiem i pretensją. — Dobranoc państwu! — rzekł, kłaniając się układnie, i wyszedł posuwisto i z godnością.

Wkrótce pan Józef został sam, rozwinął papier, poznał rękę kochanki, czytał, czytał kilka razy i całował każdy niemal wyraz, nie zważając na to, że list był adresowany do żyda, że się znajdował w ręku żyda i w kieszeni żydowskiej.

Nazajutrz ojciec wszedł do pokoju syna, usiadł przy jego łóżku, i po kilku zapytaniach łagodnych i okazujących troskliwość ojcowskiego serca, rzekł:

— Mam nadzieję, mój synu, żeś nie zapomniał, com ci mówił, gdyś wyjeżdżał z domu.

— O! nie, nie, mój drogi ojcze! nigdy jeszcze w życiu nie zapomniałem żadnego twojego upomnienia. Każde twoje słowo jest dla mnie głosem nieba.

Wyciągnął ojciec rękę, którą syn z rozrzewnieniem ucałował. Po jakimś czasie, wydobywając list pani Włodzimierzowej, prezesą i kopją swojej odpowiedzi, dodał: — Przeczytaj to, Józiu! — Wziął pan Józef listy i, przeczytawszy, oddał

ojcu. Potem upadł na poduszki, zakrył sobie oczy i tak długo leżał, milcząc.

— Czy pomyliłem się, odpowiadając i ręką za siebie? — rzekł wreszcie ojciec.

— Nie, nie, mój ojcze! Może to przyplacę zdrowiem, a może nawet... ale któż wie? — dodał prędko, krzepiąc się. — Bóg mi dopomoże i myśl o was umocni mnie.

— Daję ci moje ojcowskie błogosławieństwo na tę ciężką drogę, mój synu! Walcz, walcz z sobą samym. Masz do poprawienia ogromny błąd nierozumu i nieumiarkowania. Niech nie myślę, że i ciebie ogarnął ten szal, który na nas wionął. Rzuć okiem naokoło siebie! Wszędzie obaczysz tylko chęci nad siły, zamiary nad sferę, wydatki nad możność, dumę nad stan i urodzenie, pretensje nad naukę i talent, a stąd wszędzie wstyd, upadek, klęskę i pośmiech. To powszechne szaleństwo, tę próżność ślepą i występłą, uważam za powiew tego ducha zemsty, któremu poruczono nas karać za wielkie i ciężkie grzechy naszych ojców.

Umilkł poważny człowiek, schylił głowę i ciężko się zamyslił. Syn, milcząc, patrzył na niego ze czcią i podziwieniem, a po chwili rzekł drżącym głosem:

— Ojcze! daruj mi, daruj; jam cię głęboko zasmucił.

— Prawda, mój drogi! ale mam nadzieję, że mię pocieszysz. Bądź mężnym, bądź wytrzymałym w tej walce. Bez walki niema cnoty, bez cnoty niema zasługi; a nam potrzebna ogromna masa zasług, aby nam wyprosiła przebaczenie. A teraz, bądź zdrow! Pisz do matki i do babki. One nie wiedzą o niczem i nie chciałbym, aby się dowiedziały; a sam jedź, jedź, mój synu, i pamiętaj o tej naszej rozmowie.

To powiedziawszy, uściskał syna, pożegnał się z resztą rodziny i pojechał.

W parę dni potem prezes, widząc córkę spokojniejszą, bo ją Szłoma zupełnie uspokoił, zawołał ją do swego gabinetu, kazał usiąść, i założywszy, jak zwykle, rączki na brzuchu, rzekł słodko:

-- Jakże się masz teraz, moja droga Kamilciu?

— Dobrze, kochany papo! — odpowiedziała, patrząc mu bystro w oczy i przewidując stanowczą jakąś rozmowę.

— Czegoż tak na mnie patrzysz, moja droga? czy cię to zadziwia, że ja z troskliwością pytam się o twoje zdrowie?

— Nie, drogi papo! — odpowiedziała — to mnie zadziwia, że zaczynasz tak daleka i nie mówisz wprost tego, co chcesz powiedzieć. — Puścił prezes w prędszego młynka swe palce, zaambarasowany taką otwartością i zbity z ułożonej kolei.

— Jezus Marja — rzekł po chwili, westchnawszy, — jak to źle, kiedy ojciec nie jest najpierwszym powiernikiem i przyjacielem swojego dziecka. Stąd nieufność we wszystkim, stąd niewiara w jego miłość, w jego troskliwość rodzicielską. A przecież, gdybyś była mogła widzieć, jakem się przeraził, gdyś tu upadła bez duszy; jaką rozpaczą, jakim bolem napelniłaś mnie; tobyś nie mówiła, że zaczynam daleka, pytając się o twoje zdrowie, bo twoje zdrowie i twoje szczęście bliższe mojego serca, niż moje własne.

— Daruj mi, drogi papo! — rzekła, całując jego rękę. — O tem ja nigdy nie wątpiłam. Sądziłam jednak, że po takim wypadku miałaś mi co innego powiedzieć.

— Ach! rzeczywiście wypadek przykry, i jabył rad o nim zapomnieć, i nie chciałbym odnawiać twojej rany. Dla pannenki bowiem takiej, jak ty, musi to być rzecz bolesna — mówił prezes, przechyliwszy głowę i kręcąc zwolna palcami — kiedy od niej ucieka kawaler, którego osądziła za przyzwoitą dla siebie partją.

Wpatrzyła się w niego panna Kamilla, i uśmiechając się boleśnie, odpowiedziała:

— Daruj mi, drogi papo! ale znowu przychodzi mi do głowy, że nie to mówisz, co chcesz powiedzieć.

— Jako? — rzekł, udając zadziwienie, prezes — więc to nie odjazd pana Henryka tak cię mocno dotknął?

— Kochany ojczel! — rzekła serjo — ja cierpię mocno, głęboko; piersi moje zalewa ból, oczy co chwila napelniają się łzami, a ty, ojczel, żartujesz i igrasz z moim smutkiem. O! praw-

dziwie, nie widzę w tem tej miłości, tej troskliwości, o której mówileś.

— Więc to o pana Starzyckiego rzecz idzie? — rzekł prezes. — Więc to jego oddalenie, jego pojedynek i rana tak cię przeraziły, żeś upadła bez zmysłów, nie pomyślawszy o tem, co czuje i jak się przerazi ojciec?

— Wtenczas mnie jedna tylko myśl, mój ojczu, opanowała. Zapomniałam o tobie, o sobie, o wszystkim; myślałam tylko, że go mogę utracić.

Przy tych słowach zaiskrzyły się oczy panny Kamilli i twarz jej okrył rumieniec. Prezes wziął z zimną krwią ze stolika odpowiedź pana Starzyckiego, i trzymając ją w dwóch palcach, rzekł:

— Chociaż nie przez pojedynek, moja droga, ale podobno utracisz go na zawsze. Boś ty, widzę, przeznaczona na to, aby się ciebie kawalerowie wyrzekali. Patrzaj, moja Kamilciu! pan Starzycki pisze mi także, że ty nie jesteś partją dla niego.

Z bladą twarzą, drżącą ręką wzięła panna Kamilla list z rąk ojca i zaczęła czytać. Widać, że ją słowa te uspokoiły, bo znowu lekki rumieniec na twarz jej powrócił. Oddając list ojcu, rzekła:

— Szanuję tę szlachetną dumę zacnego człowieka i wcale inaczej tłumaczę sobie te słowa, niż ty, mój ojczu.

— Jezus Marja; tłumacz je sobie jak chcesz, a sens zawsze jeden i tenże sam wyjdzie, to jest, że pan Starzycki ciebie nie chce.

Uśmiechnęła się boleśnie panna Kamilla i nic nie odpowiedziała. Prezes po chwili milczenia znowu tak się odezwał:

— Dwa razy nam się nie udało, ale mówią, że do trzech razy sztuka. Według przysłowia więc, a przysłowia zamykają głęboką mądrość, możemy jeszcze raz spróbować. Mam dla ciebie Kamilciu jeszcze jednego pretendenta. Czy pozwolisz mu przyjechać?

— Nie, nie, mój ojczu! to daremnie! — odpowiedziała z mocą. — Ja pana Józefa Starzyckiego kocham i jeżeli nie będę jego żoną, to nie będę niczyją.

— To nie będziesz niczyją? — rzekł wówczas prezes zu-

pełnie innym tonem, i poprawiając się w krześle. — Czy rozumiesz, moja panno, że ja będę uważał na twoje romansowe wdychania, na twoje lzy; że się dam zmiękczyć nawet twojami mdłościami? Nie dla takiej szui pracuję i zbieram. Wybij to sobie z głowy, bo pozwolenia mego nie otrzymasz nigdy.

— Widzisz, papo, — rzekła z zimnym uśmiechem panna Kamilla, — mówiłam dobrze, żeś co innego chciał powiedzieć!

— Teraz wiesz, com chciał powiedzieć — rzekł prezes, sapiąc. — A jeszcze dodam ci to, że jeżeli bez mojej woli, bez mego pozwolenia oddasz rękę temu szoldrze, jak Bóg żywy, cały majątek oddam siostrzeńcowi, a ty zostaniesz na suchym chlebie swego pana Starzyckiego.

— Czy myślisz, ojcze, żebym nie była stokroć szczęśliwszą, niż teraz? O! to ci przysięgam na cienie mojej matki! Ale bądź spokojnym, tego nie zrobię... i nie przez obawę utraty posagu. Mnie idzie o twoją miłość, mój ojcze! o twoje błogosławieństwo, którego byś mi nie dał, a nie o majątek, który byś mi mógł odebrać. — To powiedziawszy, przyklękła, pocałowała go w kolano i wyszła prędko.

Smutno schodziły dni pannie Kamilli. Przed ojcem tylko udawała spokojność; ale gdy na nią nie patrzył, nie jej zerwać nie mogło. Panna Beldeau, która szczerze się do niej przywiązała, po próżnych usiłowaniach rozweselenia jej, dała pokój i zostawiła ją sobie samej. Co dzień wieczorem wychodziła panna Kamilla do ogrodu, przechadzała się do późna w alei topolowej, która-go zdobiła, siadywała na laweczce, i tak marząc, słuchała szumu drzew, ścigała okiem chmury, które nad jej głową ciągnęły, płynęła myślą z księżycem, który bujał po niebie.

Siódmego dnia po rozmowie z ojcem siedziała tak panna Kamilla pod drzewem; oparła głowę o pień jego i patrzyła na niebo jasne, błękitne, na gwiazdki migające pomiędzy ruszającymi się zlekka listkami, na księżyc cichy, milczący, który przez gałęzie drzew do niej zaglądał i na twarz jej rzucił łagodne światło. Wieczór już był późny i cichość zupełna ją otaczała. Wtem poczuła panna Kamilla, że coś dotknęło jej kolana. Porwała się z zamyslenia i lekko krzyknęła, obaczywszy

Amora, który podszedł cicho i głowę swą na kolanach jej położył.

— Amor! Amor! — zawołała, głaszcząc go i powstając. — Gdzie twój pan, Amorze? O! on tu musi być; prowadź mnie, prowadź! — Uradował się pies, pokręcił ogonem, i zwróciwszy się nazad aleją, oglądał się, czy idzie za nim. Ledwie kilkanaście kroków uszła, gdy postrzegła zdaleka kochanka. Stał oparty o drzewo z założonemi rękoma i nie ruszał się z miejsca, chociaż ją widział. Panna Kamilla chciała podbiec ku niemu, ale czując, że słabnie, usiadła na ławeczce. Wtenczas pan Józef przystąpił zwolna, usiadł także... i tak długo siedzieli obok, nietylko nic nie mówiąc, ale nawet nie patrząc na siebie. Nareszcie panna Kamilla odezwała się złamanym głosem:

— Nie myślałeś o mnie, narażając tak życie. Nie wiedziałeś o tem, że gdybyś był zginął, jużbyśmy byli złączeni... tam.

— Im prędzej, tem lepiej — odpowiedział pan Józef z głębi piersi. — Bo tu nie będziemy.

— Nie, mój jedyny, nie będziemy — odpowiedziała, kładnąc rękę na jego rękę, którą on utulił w swoich dłoniach — Dlatego niepotrzebnieś teraz przyszedł. Ja dałam słowo ojcu, że bez jego pozwolenia nie będę twoją; a tymczasem, gdym obaczyła to pocziwe zwierzę, pomyślałam natychmiast, że ty tu, że twoje konie tu, że mogę się rzucić w twoje objęcia, z tobą uciec i nie odstać od ciebie, aż na katafalku, aż w grobie. O! nie należało przyjeżdżać. — To powiedziawszy, wzięła się za głowę i ścisła dłońmi czoło, które widać i teraz jeszcze te same myśli rozrywały.

— Daruj mi to, Kamillo! jam nie chciał i nie spodziewał się ciebie widzieć. O! i ja także dałem słowo ojcu i nie dotrzymałem go. Pierwszy to raz w życiu i ostatni. Jechałem do siebie. O trzy mile stąd postrzegłem za wzgórkami dwór i ogród z topolami. Przypomniałem sobie Szyszkowce. Niewysłowiona tęsknota ogarnęła mnie. Tyś stała żywo przed myślą, z całym wdziękiem twojej postaci, z całym wyrazem twych oczu, z całą anielską dobrocią twego serca. Zapomniałem o wszystkim i podjechałem tu, i wkradłem się, jak złodziej, do tego miejsca, aby obaczyć przynajmniej te drzewa, pod którymi się prze-

chadzasz, i ten dach, pod którym tęsknisz za mną. Bóg mi dał więcej szczęścia, niżelim pragnął. Ale, jeżeli każesz, pójdę natychmiast.

— O! nie, zostań jeszcze — rzekła, kładąc rękę na jego ramieniu i opierając na niem głowę. — Wszak to już raz ostatni. Czy cię już nic nie boli?

— Nie, moja droga — odpowiedział, obejmując ją i tuląc do siebie. — Twoja głowa leży na tem samem miejscu, gdzie była rana. — Podniosła głowę panna Kamilla i pocałowała go w ramię.

— Nie narażaj się nigdy więcej — rzekła — bo ja żyję póty, póki ty żyjesz; bo, choć nas rozdzielono, myśli nasze zostaną razem i dusza z duszą, tu i tam, wiecznie. Nieprawdaż, mój luby?

Upadł przed nią rozmarzony kochanek i głowę swą na jej kolanach położył. Ona znowu zaczęła się bawić jego włosami; podniosła jego twarz, i tak mu się przypatrywała. Chwila to była straszna. Cienie długie od topoli padały na nieszczęśliwych; émiło się coraz bardziej w oczach drżącego młodzieńca; twarz panienki zbliżała się do jego twarzy, a oddech jej obwiewał go, jak tchnienie z raju. Przestraszył się; wspominał ojca; jakby w oddalonej chmurze, usłyszał te słowa: walcz, walcz, mój synu! i zerwał się z rozpaczą w sercu, i odskakując na kilka kroków, stanął, zatopiwszy ręce we włosach.

Panna Kamilla została na miejscu. Po chwili burza jej serca ucichła i lzy rzewne polaty się po twarzy. Długo tak siedziała, potem powstawszy, przybliżyła się do niego i rzekła spokojnie:

— Józiu mój! dobry, szlachetny Józiu! bądź zdrow, bądź zdrow na zawsze! — Chwycił ją młodzieniec w objęcia, usta ich spoily się, i po długiem, ostatniem pocałowaniu, po wyszeptanych bolesnych słowach: bądź zdrow! bądź zdrow! panna Kamilla wyrwała się z rąk jego i jak mgła zginęła między drzewami.

Stał jeszcze na miejscu młodzieniec. Księżyc już zachodził, ciemniało na dworze, a jeszcze ciemniej było w jego duszy. Nareszcie poszedł, poszedł na prawo w inną ulicę, z tej jeszcze

w inną, i obszedł poza dom, skąd widać było jej okno. Okno było otwarte i oświetlone, a panna Kamilla stała w niem z zalamanemi rękoma, z podniesioną głową i patrzyła w ciemniejące coraz niebo. Ukląkł pan Józef zdaleka, wyciągnął do niej ręce, jęknął głęboko, jak gdyby z tym jękiem serce miało się rozskoczyć, i uciekł. Gdy się dzień zrobił, był już o cztery mile od Szyszkowiec.

XII.

Prezes zaspokojony o córkę, która zdawała się tylko zamysłoną i posępną, ale której silne zdrowie cios ten wytrzymało, — nie wierząc w stałość takich uczuć i spodziewając się, że czas ją zupełnie uleczy, zwrócił całą uwagę na Czaplince i postanowił rozpocząć wielką swą ekspedycją. Miał prezes, oprócz części nabytej od państwa Pożyczkowskich, jeszcze kilka innych drobnych cząstek w Czaplincach. Jedna z nich, jak powiedzieliśmy, graniczyła z tokiem panów Skrętskiego i Zarzyckiego, druga dotykała obory pani Biruckiej, trzecia przyległa była do dziedzińca pana Remigjusza Smyczkowskiego, czwarta przytykała do ogródka kwiatowego pańien Plachcianek, na który wychodziły także okna sypialnego pokoju Plachciny. W tymto ogródku latem często ona przesiadywała z córkami i tam im pan Jakób wieczorem grywał na gitarze i śpiewał.

Każda z tych cząstek, chociaż nie mogła przynosić dochodu, ale do celów prezesa wybornie posłużyła. Na każdej z nich leżały już zwiezione zimą stosy materjałów, i wszędzie był stróż, który ich pilnował; ale nikt jeszcze nie wiedział naco to i co gdzie budować miano. Gdy nadeszła sposobna pora, pokazało się mnóstwo cieśli z różnych wsi prezesa, a także i najętych. Rozpoczęły się roboty na wszystkich razem punktach. Rznęto kłody na fundamenta, przygotowano podwaliny, obciesywano słupy i krokwie, słowem, praca szła szybko, gorąco jak w fortecy, przygotowującej się do szturm i dopełniającej obronę na punktach źle jeszcze obwarowanych. Prezes i sam często wyjeżdżał, popędzał robotników; a gdy go się pytano, co to będzie, odpowiadał grzecznie, układ-

nie, ściszał za rękę pytających, dzieciom przywoził pierniczki, ale nie powiedział stanowczo.

Wszakże gdy rozmierzone grunt i pozakopywano kłocę dębowe, na których miały leżeć podwaliny, wyszedł pan Remigjusz, zawołał pana Pawła i zaczęli miarkować i rozważać. Z rozmiaru budowy, ze stanowiska słupów i ilości przygotowanego materiału, przekonali się oba bracia, że to miała być ogromna karczma.

— Karczma! niema wątpliwości — zawołał pan Remigjusz.

— Karczma, tak jest — rzekł pan Paweł.

— Karczma, do stu djabłów, koło moich wrót i pięćdziesiąt kroków od naszej — krzyknął pan Remigjusz i pokręcił wąsa.

— O pięćdziesiąt kroków od naszej, czy diabła zjadł — zaryczał pan Paweł i z tejże samej strony wąsa pokręcił.

— Ja mu leb rozwałę, temu szelmie — krzyknął Remigjusz.

— Ja mu kości połamię, temu huncwotowi — dodał pan Paweł.

A tymczasem robotnicy robili, świszcząc, i trzaski padały pod nogi rozgniewanych braci. Przyszło im z początku na myśl spędzić kijem cieśli z roboty; ale pomyślili, że ludzie cudzy, że może który odplacić kijem za kij, że może się wywiązać proces. Gdy do tych refleksyj przyszła i ta myśl, że każdy z nich winien był prezesowi po kilka tysięcy, że termin tuż był za pasem, dali pokój gniewóm i postanowili udać się z prośbą i perswazją do jaśnie wielmożnego dobroczyńcy, aby im tej przykrości nie robił.

Jednego także poranku pan Skrętski i pan Zarzycki, wywabieni ciąglem stukaniem toporów i krzykiem pracujących ludzi, wyszli każdy na swój tok, spojrzeli na siebie, nie ukłoniwszy się jeden drugiemu, i zaczęli się przypatrywać robotcie. Spozstrzegli także założone fundamenta i przymocowane podwaliny wielkiego budynku, obaczyli podwody, które zwoziły cegłę, i dochodzili, coby to być miało. Budynek założony był tak, że jedną połową dotykał do toku pana Skrętskiego, a drugą do toku pana Zarzyckiego. Od jednego zaś końca szły

w pewnych dystancjach postawione słupy, na których właśnie cieśle przymocowywali rynwę do sprowadzenia wody. Postrzegłszy to pan Skrętski, zbliżył się o kilka kroków do pana Zarzyckiego, a pan Zarzycki do niego. Gdy już byli w takiej odległości, że mogli się rozmówić, rzekł pan Skrętski:

— Wszak to podobno będzie gorzelnia.

— Zdaje się, że gorzelnia — odpowiedział pan Zarzycki.

— Patrzaj pan — mówił dalej pan Skrętski — w śródtku pokopane fundamenta na mur pod kotły, jak Boga kocham!

— A prawda — odpowiedział pan Zarzycki — wszak to już i słupy pod rynwę wkopane.

— Ba, nawet i rynwę przymocowują — rzekł znowu pan Skrętski, przychodząc bliżej — jak kocham żonę i dzieci!

— Ładna rzecz gorzelnia pod samym tokiem! — rzekł pan Zarzycki, jeszcze zrobiwszy parę kroków.

— To nam djabli tego szelmę nadali! — krzyknął pan Skrętski i znalazł się obok pana Zarzyckiego. — I wtenczas dopiero, podnosząc głowę jeden ną drugiego i uchylając czapki, powiedzieli sobie nawzajem: dobry dzień panu!

— Co tu robić w tem zdarzeniu? — zapytał pan Zarzycki.

— Nie pozwolić! to niema sensu, to przeciwko prawu! — krzyknął pan Skrętski. — Odezwijmy się razem, panie sąsiedzie. — I oba zaczęli krzyżeć na ludzi, kazali zaprzestać roboty, perswadując, że gorzelnia nie może być tak blisko toku. Ale robotnicy nie odpowiadali im ani słowa, i świszcząc, robili dalej. Gniew straszny porwał pana Skrętskiego, chciał już przeleźć przez płot i kijem spędzić z roboty zuchwalców; ale go sąsiad zreflektował i przypomniał, że prezes ma ich w ręku. Postanowili więc także udać się do wymowy i perswazji, polegając na rozumie i sercu jaśnie wielmożnego dobroczyńcy.

— Wyjdzno mężu i obacz, co się tam buduje na gruncie prezesa — rzekła na drugi dzień potem pani Birucka, która właśnie była u krów, i widziała, że o kroków dwadzieścia od jej obory wzniesiony już zrab kwadratowego niewielkiego budynku i nawieziona wielka kupa węgla. Poszli więc oboje i pan Birucki przekonał się, że to miała być kuźnia.

— O, ja nieszczęśliwa! kuźnia tak blisko od mojej obory?

a toż ten człowiek nie ma Boga w sercu — zawołała pani Birucka. — A wszystkiemu toś asan winien — mówiła dale, wyźwirzywszy się na mężu, który zwykle wszystkiemu by winien.

— A toż jakim sposobem, mój ty aniołku? — zapytał pan Birucki najłagodniejszym głosem, na jaki mógł się zdobyć.

— A tak, ja dawno mówiłam, że trzeba było spłacić Czarpowskiego, kiedy oddawał tę częśćkę za bezcen!

— Ale skądże pieniądze, mój aniołku!

— Nie było pić, nie było się przyjaźnić z Buniem Krzemienieckim, nie było posyłać co moment do Szłomy, nie było nie było... — wołał coraz silniej aniołek.

— Ale nie było także kupować szalów pomarańczowych, mój aniołku, nie było... — chciał jeszcze coś powiedzieć, dobywając z szerokiej piersi męstwa i głosu, gdy pani Birucka z zaiskrzonymi oczyma przyskoczyła do niego i krzyknęła:

— Co? ja nie gospodyni? ja marnotrawna? czy to ja nie oszczędzam, nie zbieram, czy to ja nie kradnę przed tobą, opoju? niedolego! Czy to ja jakaniebądź głupia Płachcina z beretem i w aksamitach? Czy to ja mam kochanków?... — wołała, następując na męża, który coraz ustępował, ale widząc, że żółć rozlała się po jej chudej twarzy, odwrócił się, zatknął uszy i poszedł prędko do domu. Tam przypomniawszy sobie dług u prezesa, antałek wina i atlasową zieloną suknią żony, westchnął i postanowił udać się z prośbą do prezesa.

W parę dni potem wieczór był śliczny. Pani Płachcina siedziała w altanie, melancholicznie patrząc na pana Jakóba i podnosząc do góry palcem swój przyplaszczony nosek, aby się wydawał zadartym. Pan Jakób mówił jej o pani Włodzimierzowej, która teraz była smutna i samotna po wyjeździe syna zagranicę. Pani Płachcina mówiła to o księżnie Polinie, z którą kiedyś była w przyjaźni, to o hrabi Januszu, który się kiedyś w niej kochał, to nareszcie o prezesie, który ją ciągle inwituje i bardzo podejrzanym sposobem zagląda w oczy.

— Co to tu prezes wybudował za ogrodem pani? — zapytał pan Jakób, pokazując na długą jakąś budowę naprędce

skleconą, na której już stały krokwie, ale dach jeszcze nie był poszyty.

— Nie wiem — odpowiedziała z uśmiechem pani Plachcina — zapewne jakąś galerją dla promenady. Daje mi to do myślenia — dodała z wyrazem, który obudził zazdrość pana Jakóba, — bo *en voyez vous*¹, naprzeciwko mojej altanki jest nawet furteczka w ścianie.

— Ach! ach! prawda — odpowiedział pan Jakób, uzbrowszy swój wzrok w wyraz pełen wyrzutu.

— *Soyez-y tranquille, Monsieur* Jakób² — odpowiedziała, podając mu rękę.

Podano herbatę, przyszły i panny Plachcianki, a gdy Żorż, obtarłszy wprzód palcem nos, sprzątnął przybory, wziął pan Jakób gitarę, założył jedną nogę na drugą, utopił brodę w halstuku, gdy brał wysokie tony, i zagrawszy preludjum tremolando, zaczął śpiewać: *Te brzóz kilka*. Ale zaledwie skończył pierwszą strofę i powtarzając ostatni wiersz doszedł do uroczego słowa: Lucyna, gdy nagle tuż za nimi powstało ciągle, rozmaite, przeraźliwe beczenie owiec i jagniąt. Porwali się wszyscy, wybiegli z altany i spostrzegli wielkie stado owiec, które pastuchy zaganiali do owego nieskończonego jeszcze budynku. Niestety! poznała wówczas pani Plachcina, że to nie była galerja dla promenady, z podejrzanym celem wybudowana, ale poprostu owczarnia. Łatwo sobie wyobrazić złość tej damy, tem bardziej, że dostrzegła na ustach pana Jakóba złośliwy uśmiech. Panny Plachcianki nie posiadały się od gniewu.

— Jakto, mamó! — krzyknęła panna Zenobja — więc pod nosem tu będziemy mieć owczarnią! a toż nie będzie można wyjść do ogródka, taki będzie smród okropny.

— Toż rzecz niegodna! — zawołała panna Kryspinja — nie będziemy mogły słowa tu przemówić, ani słyseć jedna drugą za tem ciąglem beczaniem.

— To szkaradnie, podle! — dodała pani Plachcina, cho-

¹ widzi pan.

² Bądź pan spokojny, panie Jakóbie.

dząc arystokratycznie po ogródku. — Pod oknami mojego sypialnego pokoju! toż ja całą noc oka nie zmrużę, bo ta bezecna muzyka nie ustanie do białego dnia. — Jakoż dziesiątki owiec wołały: bę! inne dziesiątki odpowiadały: me! a jagnięta, pochwycawszy głos podany przez matki, okławą wyżej ciągnęły go dalej, dalej bez końca. Pani Plachcina sapiała ze złości, a panny Plachcianki załamywały ręce. Poszli wszyscy do pana Plachty szukać rady. Pan Plachta zgryzł się okropnie, szczególnie dlatego, że to było zupełnie nie komilfo, mieć owczarnią pod nosem. Ale, że z natury nie był bardzo odważny, a więcej kroił na dyplomata, nie rzucił się więc jak Ajaks między te owce, by je w pień wyciąć, ale postanowił także udać się do prezesa z perswazją i wymową. Tymczasem panienki zatykały uszy, pan Jakób schował gitarę, jako już niepotrzebną, bo beczenie w rozmaite fugi¹ i tony dochodziło aż do pokoju.

Prawie razem przybyła cała deputacja Czaplinińska do prezesa. Wysłuchał każdego z uwagą, przechyliwszy głowę i kręcąc jak tylko można najpowolniejszego młynka. Gdy się pan Skręski unosił, a pan Remigjusz powiedział mu nawet grubiaństwo, kiwał pobożnie prezes głową, jak gdyby wszystkie te gniewy i niesłuszne pretensje ofiarowywał Panu Bogu. A gdy skończyli, zaczął ścisnąć ich za ręce, prosił siedzieć i tłumaczył się i uniewinniał, że mu nawet do głowy nie przychodziło zrobić przykrość tak zacnym sąsiadóm, że chciał tylko mieć jakakolwiek korzyść z tych porozrzucanych cząstek, które tylko z miłosierdzia i przez ludzkość ponabywał. Ale teraz, kiedy wie, że to im tak niemiło, to najserdeczniej im dziękuje, że go ostrzegli, i będzie się starał, aby jak najprędzej zaspokoić ich trwogi. W domówienie do tej oracji poprosił ich do sali, gdzie zastawione było sute śniadanie. Rozweseliło się całe grono widokiem najrozmaitszych wędlin, półmisków befsztyku, kotletów, ogromną salaterką najdoskonalszego bigosu, a szczególnie baterją butelek, w której śródkiem, jak dwudziestoczwierofuntowa armata, stał srebrny wazon, z którego sterczała

¹ fugi — fuga, kompozycja muzyczna, w której temat wypowiedziany przez jeden z głosów powtarzają głosy inne.

okrągława główka butelki z szampanem. Po śniadaniu wszyscy z rumianą twarzą i iskrzącymi oczyma pożegnali jaśnie wielmożnego dobroczyńcę, i zaniósłszy do domów nadzieje i uspokojenie, oczekiwali cierpliwie skutku obietnic prezesa.

A tymczasem na ułożonych już podwalinach wznosiły się słupy, i skielet karczmy coraz widoczniej rysował się w oczach panów Smyczkowskich; gorzelnia rosła jak na drożdżach i kocioł ogromny już wmurowano; kuźnia pokrywała się dachem, z którego wylazil komin, mający wyrzucać iskry na oborę pani Biruckiej; a owce beczaly w wieczór, beczaly w nocy i rano, tak, że oczy pani Plachciny pobladly od bezsenności, a twarzyczki panien Plachcianek straciły czerstwość od braku świeżego powietrza.

Poznali wówczas wszyscy, że prezes z nich sobie żartował, i krzyk powszechny na jaśnie wielmożnego dobroczyńcę powstał w Czaplincach. Powiększyła się ta wrzawa, a razem trwoga ogarnęła wszystkich, gdy jednego dnia Mortko, ów poczciwy i usłużny Mortko, obszedł wszystkie domy, pokazał każdemu długi rejestr i prosił o pieniądze. Wszędzie mu naturalnie odpowiedziano, że niema, bo u kogóż są pieniądze na przednowku na wiosnę, gdy w polu dopiero nadzieja? Żyd pokiwał głową, westchnął, że mu bardzo potrzeba; ale wreszcie, biorąc na rozum tłumaczenia się i eksplikacje swoich dłużników, wydobyl rewersiki każdego, zsumował cały dług, przyłożył do tej sumy dziesiąty procent, i podając każdemu walorowy papier, żądał, aby mu każdy wydał formalny weksel z terminem trzymiesięcznym. Kontenci, że się tak niewielkim kosztem zbyć mogli żyda, — bo cóż to kosztuje wydać weksel, kiedy jeszcze dostarczają papieru, — wszyscy wypelnili żądanie Mortka, który, klaniając się grzecznie i zapytując, czy jeszcze czego nie trzeba, zdał wszystkie uprzednie rewersiki i poszedł.

We dwa dni potem z takiemiż, tylko jeszcze dłuższemi rejestrami, i z większą układnością i grzecznością, zjawił się Szłoma. Gdy mu podobnie odpowiedziano, że pieniędzy niema, zsumował także rewersiki, a ponieważ się znajdowały i trzyletnie, przydał do całej sumy dwudziesty procent, i podając

każdemu walorowy papier, prosił o weksel. Trudno się było wymawiać i wykręcać, chociaż Szloma krótszy jeszcze naznaczał termin; wiedziano bowiem, że Szloma nie żartuje, że ze wszystkimi urzędnikami w przyjaźni, że, jak się uprze, to za bezcen weźmie remanenta¹. Każdy zatem chwycił się podanego środka odczepienia się od żyda, tem bardziej, że środek był łatwy, — bo cóż to kosztuje wydać weksel, kiedy jeszcze dostarczają papieru. Zrobili więc wszyscy czego żądał. Szloma składał w pugilares czysty i elegancki weksel do weksla, zdzierał wszystkie rewersiki, i z uśmiechem i godnością podając piękną swą rękę każdemu z tych panów, kłaniał się i wychodził.

W tydzień potem, gdy wszyscy zebrali się na śniadanie do pana Plachty, ponieważ to był jeden moment komilfo, owce bowiem znajdowały się w polu i nie beczwały, gdy cała kompanja wykrzykiwała na prezesa, a ten i ów podochocony zaczynał drwić z Mortka i ze Szłomy, których się tak tanim kosztem pozbyli, zajechał na dziedziniec posłaniec prezesa, który, dowiedziawszy się, że wszyscy panowie znajdują się u pana Plachty, prosił o pozwolenie wnijsścia, i gdy wszedł, wyjął ze swojej sumki² z dziesięć listów jednostajnej formy i wielkości, rozdał je wszystkie, a gdy przekonał się, że każdy ma w rękę, co do niego było adresowane, uklonił się i wyszedł.

Spójrzeli po sobie panowie i jakoś leniwo brali się do odpieczętowania. Pierwszy pan Skrętski, jako człowiek żywy, choć wysoki i chudy, zdecydował się, rozerwał kopertę, i gdy przeczytał, podniósł list do góry i, trzęsąc nim, zawołał: — A, to szelma! — Na ten odgłos wszyscy rzucili się do kopert, przeczytali, i wkrótce taka sama klątwa z różnemi modyfikacjami i przydatkami rozległa się po pokoju. Gdy skonfrontowali³ potem swoje listy, przekonali się, że wszystkie były jednej treści, słowo w słowo zawierały to samo, jedną i tą samą ręką były pisane. Cyfry tylko, jak najstaranniej wykaliografowane, były różne u każdego. Tak zaś brzmiały te odezwy:

¹ *remanenta* — remanent: pozostałość (od łac. *remanere*); tu mowa o martwym inwentarzu gospodarczym.

² *sumka* — torba podróżna (z. rusk.).

³ *skonfrontowali* — skonfrontować, tu: zestawiać, porównać (z łac.).

»Wielmożny mości dobrodzieju! Z okazji zbliżającego się terminu wypłaty należącego mi długu, w moc weksła wydanego dnia... grudnia 1838 roku, oraz przyjąwszy od Mortka i Szlomy, jako gotowe pieniądze za arendę, której z przyczyny nieuiszczenia się wielmożnego pana dobrodzieja nie mieli czem zapłacić, przyjąwszy, mówię, za gotowe pieniądze weksle wielmożnego pana dobrodzieja, wyżej rzeczonym żydóm dnia tego i tego wydane, mam honor oświadczyć, że, potrzebując gwałtownie pieniędzy, czekać tylko mogę do dnia i godziny oznaczonej w wyżej rzeczonych wekslach; po upłynieniu których, jeżeli nie otrzymam zadośćuczynienia, zmuszonym będę udać się pod opiekę praw i sądownie poszukiwać swojej własności. Spodziewam się i ufam, że wielmożny pan dobrodziej uwolnisz mię od tego kroku, do którego wyżej rzeczony gwałtowne moje potrzeby zmuszą mnie i przywiodą niezawodnie. Mam honor być z najgłębszem uszanowaniem i serdeczną życzliwością wielmożnego pana dobrodzieja najniższym sługą«.

Opadły ręce naszym panóm. Zasiedli w kółko na krzesłach, każdy ze swoim listem w ręku. Siedzieli tak długo w milczeniu, w milczeniu poważnem i uroczystem, jak niegdyś owi senatorowie rzymscy na krzesłach kurulnych¹, gdy oczekiwali Gallów.

XIII.

*Externus timor maximum concordiae vinculum*², powiedział stary Liwjuż. Wielka ta prawda rzymskiego historyka nawet i do Czapliniec tą razą zastosować się dała. Ustąły gniewy, zaczęły się schadzki, odwiedziny, wzajemne naradzanie się, ściskanie rąk, a nadewszystko częste zachodzenie i wzajemne zapraszania się do Mortka, który, wytrzymawszy pierwszy wybuch za ustąpienie swoich weksłów prezesowi, zyskał znowu względy i ufność, dawanem, jak pierwej, na kredyt. Gdy raz panowie Smyczkowscy, pan Skrętski i pan Zarzycki zeszli się u niego, żyd, korzystając z tej zręczności, podał im

¹ kurulnych — krzesło kurulne było w starożytnym Rzymie krzesłem honorowem królów, później niektórych wysokich dostojników państwowych.

² Trwoga przed nieprzyjacielem zewnętrznym jest najsilniejszą spójnią,

myśl, aby części swe w Czaplincach odsprzedali prezesowi, dodając ze znaczącym uśmiechem i kiwaniem głowy, że tym tylko sposobem pozbędą się biedy. Wtenczas otworzyły się im oczy. Poznali, że Mortko był kreaturą i agentem prezesa, i obszedłszy wszystkich braci, postanowili zrobić formalny związek i wspólnymi siłami opierać się tak zgubnym zamachom. Zebrali się więc wszyscy u pana Płachty. Pan Skreński objawił swoje myśli, wyłożył całą chytrą postępowania prezesa, przypomniał jego sposoby z ową wdową w Żurawce, mówił z ogniem o karczynie, która się wznosiła przy samej bramie pana Remigjusza, o gorzelnii, od której miały spłonąć ich toki, o kuźni, która miała podpalić oborę pani Biruckiej, i o tej nieszczęśliwej owczarni, od której pani Płachcina miała dostać suchot. Dalej wyłożył całą piekielną chytrą, z jaką na ich zgubę nadstawiony był Mortko; jak od dawnego czasu, z poduszczenia prezesa, czyhał na nich Szłoma; jak nareszcie ten sam prezes ze zdradzieckim przymileniem wciągnął ich w swoje sidła, pożyczając z taką łatwością tak wielkie sumy i dostarczając nawet walorowego papieru. Jasno jak na dłoni wyłożył potem mówca cały plan prezesa i jego nieustanne dążenia do owładnięcia ich majątkami. — Chce nas wydziedziczyć, chce z torbami puścić! — wołał z zapalem, powstawszy z miejsca i bijąc ręką o stół, że aż się okna trzęsły. — Czyż na to panowie pozwolicie? czyż nam nie stanie dosyć sił, dosyć energji, aby się temu oprzeć? Prawda, winniśmy mu wiele, czasy złe i dochodów niema; ale czyż nie możemy sprzedać naszego zboża na gruncie, kiedy się tak pięknie zieleni? czyż nie możemy pozbyć się wszystkiego, co niepotrzebne, co zbyt-kowe? Będziem chodzić piechoto, spać na sianie, odziewać siebie i żony nasze płótnem, karmić się nakoniec suchym chlebem, byle prezes nie triumfował, byleśmy nie byli zmuszeni wyzuwać się ze swojej własności. Czy zgoda?

— Zgoda! zgoda! — krzyknęli wszyscy.

— Przynurczmyż sobie jedność, wspólne działanie, niezależanie żadnej ofiary, bo tu idzie o dach, który okrywa nasze żony i dzieci...

— Przymykamy! przymykamy! — zawołali i wszystkie ręce splotły się węzłem jedności, przyjaźni i zgody.

— A teraz przystąpmy do wybrania prezesa naszego związku — rzekł pan Skrętski, czerwieniąc się i spuszcżając oczy skromnie, bo się spodziewał, że jednogłośnie okrzykniętym zostanie. Wszakże oszukał się w swoich nadziejach czaplinceki Cycero. Chociaż wszyscy słuchali jego filipiki z zajęciem i aplaudowali jego wymowie, nikt się jednak nie odezwał. Zacerwieniła się znowu twarz pana Skrętskiego, ale już nie ową skromnością oczekiwanego wyboru, lecz gniewem, gdy pierwszy pan Zarzycki, a za nim pan Cepowski, którzy przy tej okazji przypomnieli sobie swoje gęsi i prosięta, zaproponowali pana Plachtę. Tu znowu okazał jawną opozycją pan Birucki. Przypomniawszy sobie żonę i wyobraziwszy sobie to piekło, jakiego miał w domu, gdyby się na takie wyniesienie pana Plachty zgodził, zaproponował pana Remigjusza. Pokręcił węża pan Remigjusz z lewej strony, co zwykle czynił, gdy był kontent, i spojrział na brata, aby wybór jego poparł. Ale pan Paweł, będąc aż nadto przekonany, że miał więcej rozumu, chociaż brat lepiej grał na skrzypcach, niż on na klarynecie, że zatem był godniejszym do piastowania takiej godności, zdziwił się, czemu wybór nie padł na niego, i zmarszczywszy brwi, pokręcił węża z prawej strony. Postrzegł to pan Remigjusz, i nie spodziewając się, że się utrzyma, kiedy go nawet brat opuszcza, rzekł się powierzonego sobie urzędu i zaproponował znowu pana Plachtę. Tak więc po wielu krzykach, po zaciętych debatach i sporach, w których już przychodziło do zerwania całego związku, za pośrednictwem pana Jakóba, który się w połowie sesji zjawił i melodyjnym swym głosem opanował serca i gniewy zlagodził, wybrano nareszcie znaczną większością pana Plachtę. W nagrodę zaś tak czynnego udziału, jaki miał pan Jakób w szczęśliwym dojściu do skutku zbawiennego dzieła, a bardziej z tego względu, że jako syn Muz, zdolniejszym był do pióra od innych, jednomyślnie obrany był sekretarzem związku.

Wtenczas otworzyły się drzwi; pani Plachcina, na której twarzy odbijał się nowy lustr, który padał na całą familją,

weszła otoczona córkami i pierwsza powinszowała mężowi. Za nią szedł Żorż w libenji i trzymał tacę, na której był kielich i butelki z winem. Pierwsza pani Płachcina wypiła zdrowie męża i kolej poszła rzędem. Pili potem zdrowie pani prezesowej, panien prezesówien i zdrowie sekretarza, a gdy podano więcej butelek, zdrowie każdego z członków związku z osobna, potem zdrowie całego związku w ogólności, potem zdrowie Czapliniec; nareszcie pan Birucki, zapomniawszy o żonie i o świecie, ditto i na kolanach wniósł zdrowie prezesa związku. Wszyscy po kolei klęcząc wypili zdrowie pana Płachty, a potem, krzyknawszy, aby podano więcej kielichów, wszyscy klęcząc, ściskając się, całując i płacząc, wypili zdrowie: kochajmy się!

Nazajutrz, gdy każdy przypomniał sobie, co się wczoraj stało, i opowiadał żonie całą kolej wypadków, w miarę tego, jak mu się rozjaśniało w głowie, wszedł pan Jakób do pana Skrętskiego i z polecenia prezesa objawił mu, że się mają oba udać do pana Starzyckiego w deputacji i zaprosić go do związku.

Gdy stanęli pod tym dachem cichym i spokojnym i przed człowiekiem poważnym, którego wzrok przenikliwy padał na nich z pewnym rodzajem wyższości, pan Skrętski cokolwiek się zmieszał i nie wiedział od czego zacząć. Ale nareszcie rozgadał się i ze zwykłą sobie krzykliwością rzecz poselstwa swego wyłożywszy, cały wypadek dnia wczorajszego opowiedziawszy, do związku przeciw zamachóm prezesa w imieniu wszystkich i pana Starzyckiego zapraszał. Uśmiech jakiś przebiegł po ustach poważnego człowieka, a za nim nastąpiło krótkie, ale stanowcze odmówienie.

— Czyż pan myślisz — zawołał pan Skrętski — że on pana pożałuje, dlatego, że panu baki świeci i kłania się? To filut, jakich jeszcze nie było.

— Prezesa znam dobrze — odpowiedział pan Starzycki — zamiarów jego domyślam się, a co będzie, tego nie wiem. Żyję pod opieką praw i pod opieką Boga, wierzę w skuteczność pierwszych i w sprawiedliwość Opatrzności. Pewny zatem jestem, że jeżeli sam w dół nie wliżę, nikt mię weń nie wepchnie.

— A, obaczmy — rzeki pan Skrętski, przygryzając wargi.

— Naturalnie, jeżeli żyć będziemy — odpowiedział pan Starzycki.

— Więc nam pan stanowczo odmawiasz?

— Odmawiam — odpowiedział — i dziwię się nawet, że panowie, znając mój sposób życia i mój sposób myślenia, przychodziecie z taką propozycją.

— I nawet słowem, jeżeli nie czynem, nie zechcesz poradzić bracióm i sąsiadóm? — rzekł pan Skrętski.

— Każdy najlepiej radzi sobie sam — odpowiedział — bo każdy za siebie odpowiada. Ale jeżeli panowie chcecie...

— Powiedz pan, nie zatrzymuj się. My wiemy, żeś pan człowiek myślący i z doświadczeniem. Cóż pan nam radzisz?

— Radzę panóm — odpowiedział — abyście tą piękną modlitwą pacierza: »Daj nam pamięć dobrą, rozum dobry, bojaźń boską, miłość ludzką«, którą odmawiacie zapewne po raz i bez uwagi, odmawiali po trzy razy i z zastanowieniem się nad jej głęboką mądrością.

— I więcej nic? — zapytał pan Skrętski, spójrzawszy z szyderstwem.

— Jeszcze radzę panóm, abyście codzień rano i w wieczór przypatrywali się tym dwóm palcom lewej ręki, z których jeden dłuższy a drugi krótszy.

— I nacóż to? — zapytał z gniewem pan Skrętski.

— Nato — odpowiedział — abyście panowie pamiętali, że ten dłuższy powinien oznaczać waszą perceptę¹, ale ten krótszy wasz ekspens. Więcej już panóm nic nie mam do powiedzenia.

Pan Skrętski odwrócił się z pogardą i wyszedł, a gdy byli za bramą, zawołał:

— To galgan, egoista, bratać się chce z wielkim panem. Zapłaci on mu za to.

— Może spodziewa się jeszcze, że prezes za synka jego córkę swą wyda — rzekł pan Jakób. — Pani Włodzimierzowa mi o tem mówiła — a co?

— Dureń! — krzyknął pan Skrętski — da on mu figę, nie

¹ *percepta* — przychód.

córkę! — i poszli do pana Plachty zdać sprawę ze skutków deputacji. Pan Plachta, jako dyplomata, nie lajał pana Starzyckiego; nie hałasował wcale, ale zrobiwszy tylko tę uwagę, że nie jest wcale komilfo tak kuso przyjmować deputacją, którą on wysłał, i pokazywać jej dwa palce, nazначył sesją generalną na przyszły wtorek, gdzie miano materją tą roztrząsnąć i przedsięwziąć stanowcze środki przeciwko wspólnemu nieprzyjacielowi.

Ale w księdze wyroków inaczej było napisane. Właśnie gdy pan Skrętski, upokorzony przyjęciem pana Starzyckiego i zdawszy z niego sprawę, wracał do domu zły i głodny, postrzegł na swoim dziedzińcu cudzego chłopca i dziewczynę, którzy z jego ludźmi szarpali się i ciągnęli do siebie za jedno skrzydło gęś, którą kobieta państwa Skrętskich trzymała za drugie, i wrywała im z całej mocy. Krzyczała biedna gęś od gwałtownego bólu, krzyczał chłopak i dziewczyna, że to ich gęś, krzyczały kobiety domowe, że ich; pani Placyda, stojąc na ganku otoczona dziećmi, piskliwym głosem powiększała wrzawę, którą pokrył grzmiący głos pana Skrętskiego, wpadającego na tę scenę, jako aktor czynny i straszliwy. Pan Skrętski nie rozsądził tej sprawy, jako niegdyś król Salamon spór dwóch matek, ale kijem, który miał w rękę, zaczął grzmocić chłopca i dziewczynę, a poznawszy ich, że to byli ludzie pana Zarzyckiego, podwajał razy, zachęcając, aby ich połowę oddali swemu panu. Gdy biedni ludzie, zbici i złajani, uciekli, wyrzekłszy się swojej gęsi, zaniesiono ją do kuchni i, żeby się nie męczyła, zarżnięto.

Wypadek ten ważne za sobą pociągnął skutki. Pan Zarzycki, przyprowadzony do ostatniej niecierpliwości, wyszedłszy wraz z synem na ganek, zaczął lajać i wymyślać na pana Skrętskiego. Usłyszawszy to pan Skrętski, ze swojej strony wyszedł, i wybuch gniewu był tem okropniejszy, że długo pokrywana i tajona zawziętość otworzyła sobie nareszcie krater, i z płomieniami, dymem i lawą wyrzuciła się w powietrze. Nareszcie pan Zarzycki pogroził panu Skrętskiemu śledztwem i kazał natychmiast synowi osiodłać konia i udać się do sta-

nowego¹. Wrócił pan Skrętski do pokoju, sapał i zżymał się, kłął i krzyczał, aż nareszcie, zbliżywszy się do swego stolika, żeby napisać także do stanowego i całą rzecz objaśnić, spostrzegł list prezesa i wielką cyfrę długu najstaranniej wykalfigrafowaną. Przyszła mu myśl światła; uśmiech zemsty przebiegl po jego ustach, porwał się z miejsca i zawołał: — Chcesz śledztwa? dobrze, będziesz miał tu niejedno śledztwo, ale nie ze mną. Kazał więc natychmiast zaprzęgać konie, pojechał do prezesa, i pierwszy ów założyciel pamiętnego związku, ów orator gwałtowny i zawzięty, na złość panu Zarzykiemu część swoją odprzedał. Przyjął go prezes otwartemi rękoma, nie targował się ani chwili, wziął ekspensa na siebie, i jeszcze zaprosił na obiad. Gdy przedugodne punkta przy uproszonych świadkach były podpisane, prosił tylko pan Skrętski o pozwolenie pomieszkania przez miesiąc lub dwa i o sekret na takiż termin.

Tegoż samego dnia, bo jak pomyślności tak i kłęski lubią się skupiać i spadać razem, pani Birucka wyszła przed wieczorem na ogródek, z którego widać było dziedziniec pani Plachciny. Owce wracające z pola nie pozwalały przechadzać się po ogrodzie i przesiadywać w altanie, musiała więc pani Plachcina z córkami używać gdzieindziej świeżego powietrza. Dostąpiwszy tak wysokiej godności w Czaplincach, nie zdejmowała już teraz aksamitnej sukni i bereta, i tak przystrojona przechadzała się po podworzu. Zabawnem się to pokazało pani Biruckiej do tego stopnia, że się w głos zaśmiała. Obrażona pani Plachcina, i przypomniawszy sobie fałszywy przepis na baby i rozmaite ruszania ramionami, zbliżyła się z arystokratycznym chwianiem się ku plotowi i rzekła z powagą:

— Cóż to asanią tak śmiesz?

— Asanią! — zawołała pani Birucka. — Aj! patrzaj, jaka mi wielka pani! — Od słowa do słowa przyszło do ostrych przycinków. Przyszłoby było i do ostrzejszych, tem bardziej, że i panny Plachcianki zaczęły się już odzywać i panny Bi-

¹ *stanowy przystaw* — w Rosji carskiej urzędnik policji ziemskiej.

ruckie także wybiegły, niosąc sukurs matce; ale pani Plachcina, nie chcąc kompromitować swojej nowej godności, odwróciła się z powagą i poszła. Wszakże nazajutrz rano, niewiadomo czy to była swywola panienek, czy wzajemny rozkaz matek, na bramie pani Plachciny napisane było wielkimi literami słowo: *Owczarnia*, a na bramie pani Biruckiej słowo: *Kuźnia*.

Tu już wszelkie względy ustaly, i eksplozja gniewu, zapalczywości i zemsty rozległa się, jak huk burzy. Wróciwszy ze swojego ogródka pani Birucka, gdzie się od ostatnich słów skłóciła z panią Plachciną, napadła pozostałym jeszcze zapasem furji na męża. Nie chciała ani chwili zostać w sąsiedztwie swojej nieprzyjaciółki, i kazawszy natychmiast zaprzęgać, i zabrawszy z sobą pana Biruckiego i potrzebne dokumenta, pojechała do prezesa, któremu, także na złość swojej sąsiadce, część swą odprzedała. We dwa dni potem pan Remigjusz Smyczkowski, położwszy przed sobą list prezesa, zaczął obliczać wszystko, co może mieć, obrachowywać sperandę z pola, oceniać remanent, meble, suknie, słowem wszystko, oprócz skrzypiec. Postrzegł, że jeszcze więcej nie dostaje. Posłał więc do żyda, który siedział na ich wspólnej karczynie i od czasu pojawienia się Mortka znacznie tracił, aby mu przyniósł tenutę za ostatni kwartał. Przybiegł żyd przestraszony i oświadczył, że wczoraj wszystkie pieniądze zabrał pan Paweł. Gniew nadzwyczajny porwał pana Remigjusza. Przypomniawszy sobie ową haniebną dezercję brata w czasie wyborów, i chcąc tymczasem spędzić złość na tym, kto był pod ręką, wyszturczał żyda, jak śmiał oddać pieniądze bez jego wiedzy, kiedy to karczyna wspólna.

— Nu — zawołał żyd — co mnie do tego? Pan Paweł także gniewał się i mówił, że pan jemu z przeszłego kwartału nie dał ani grosza.

— Łżesz! — krzyknął pan Remigjusz — i ten lajdak łże także. Ale poczekajcie, dam ja wam, wypędzę cię, huncwocie!

— Aj waj! co to z tego? ja i sam już nie chcę.

— Nie chcesz? nie chcesz, kanaljo! a kontrakt, szelmo? a kontrakt?

To mówiąc, trzymał żyda za rękę, i okładając go cybuchem, obracał się z nim w kółko.

Wyrwał się żyd z rąk pana Remigjusza i pobiegł krzyżując do pana Pawła. Ale trafił z deszczu pod rynnę. Pan Paweł wpadł w nadzwyczajną wściekłość na brata, a gdy żyd obraził go jeszcze jakimś słowem, wykropił także żyda i wyprzedził. Odebrawszy tym sposobem przez prokurację¹ wielkie cięgi, arendarz dwóch braci zgodnych wracał, płacząc, do domu, ale jakież było jego zdziwienie, gdy obaczył pana Remigjusza, który, zwoławszy naprędce ludzi z toporami, pilami i drągami, kazał karczmę rozbierać.

— Aj waj! Co pan robi? — wołał żyd nieszczęśliwy.

— Nie dajecie mi pieniędzy — odpowiedział zimno pan Remigjusz, — to ja swoją połowę rozbieram. — Dowiedziawszy się o tem pan Paweł, zawołał:

— O! kiedy tak, poczekajże, to ja ci zrobię lepiej. — I kazał zaprząć konie, pojechał do prezesa, i na złość bratu część swoją odprzedał.

Tym sposobem prezes był już posiadaczem prawie połowy Czapliziec, a nikt jeszcze o tem nie wiedział, prócz tych, co sprzedali, — bo każdy prosił o sekret. Pan Zarzycki tylko nie mógł zmiarkować, co to znaczy, że pan Skrętski, spotkawszy go, uklonił mu się z umizgiem i ironją. Pani Plachcina zadziwiła się, że pani Birúcka, wyszedłszy na ogródek, przybliżyła się umyślnie, aby była lepiej widzianą, a gdy pani Plachcina na nią spojrziała, wzięła się za poly i bardzo nisko jej dygnęła. Pan Remigjusz także nie pojmował, dlaczego mu brat nie mówi ani słowa za rozebranie części karczmy, ale przechadza się spokojnie, pali fajkę, pogląda na niego z uśmiechem i z lewej strony wása pokręca.

Latwo się czytelnicy domyślą, że wtorek minął, a sesji generalnej nie było. Pogłoska o wzajemnych kłótniach i targach najcelniejszych członków związku rozeszła się prędko i nikt z pozostałych nie chciał się ryzykować. Widząc to pan

¹ przez prokurację — w zastępstwie (odebrał bowiem cięgi, które się raczej należały jednemu bratu od drugiego).

Plachta i zważywszy, że żadne środki z prezesem nie pomogą, że mu winien wiele, że, żyjąc komilfo, jak nie wprzód, nie zebrał, tak i na przyszłość nie zbierze, wziął na sekret żonę i z dyplomatycznym uśmiechem objawił jej, jakiego figla chce zrobić sąsiadom i jak zręcznie pozbędzie się kłopotu. Żona, która także ze swojej strony chciała pozbyć się owiec i pani Biruckiej, rękami i nogami chwyciła się projektu męża. Ułożyli się więc o cenę, jaką miał zaproponować, ale że to był dyplomata, prosił żonę o sekret, by myśl jego nie rozleciała się po Czaplinicach, aby go nikt nie uprzedził i ceny nie zbił. Zabrawszy więc potrzebne dokumenta, cichaczem, manowcami, niby w zupełnie inną stronę wyjeżdżając, udał się do prezesa i na złość sąsiadom część swoją odprzedał.

Gdy te najważniejsze transakcje były napisane, podpisane i posłane do akt, wtenczas dopiero prezes podniósł głowę i rzecz cała gruchnęła. Krzyk powstał na zdrajców, ale już było zapóźno. Każdy z pozostałych miał pod bokiem prezesa, i każdy prędko to uczuł. Wszystka woda we wsi była w jego rękach. Pan Starzycki tylko miał sadzawkę pod swoją brzezinką, obfitą i rybną, ale ta była starannie ogrodzona, zamknięta i wystarczała tylko dla jego bydła i koni. Do pól, także do sianożęci, wszędzie trzeba się było otrzeć o prezesa, lub się przez jego grunt przedzierać. Wszędzie tymczasem były warty, nigdzie nie puszczano, grabiono, jeżeli co wpadło, i znaglano do swojej ziemi obchodzić po pół mili i więcej. Zmuszeni taką surowością, przyciśnieni długiem, którego termin ekspirował, jedni po drugich zbywali swoje posiadłości, tak, że ledwie lato upłynęło, a już prezes był panem całych Czapliniec, wyjąwszy części pana Starzyckiego.

Cicho było, ale smutno w tym zacnym domu. Brama ciągle była zamknięta, ostrożność największa nakazana, aby nikt z ludzi nie śmiał nogą stanąć na gruncie prezesa, by po nic się nie udawał do żadnego z jego poddanych, aby nie ważył się dopuszczać do żadnego najmniejszego zatargu, najmniejszej kłótni.

Pan Starzycki zrobił się jeszcze bardziej zamyślonym i milczącym, ale uczucie swojego prawa, cierpliwość, którą czer-

pał w rozumie i sumieniu, i rezygnacja, która splywała z nieba do tej duszy szczerze pobożnej, nadawały jakiś dziwny majestat i rozrzewniający wyraz jego twarzy. Patrząc na ten stan syna, dziadzio czasem był do lez wzruszony, czasem zupełnie innych doznawał uczuć: gniewał się, zapalał i zaczynał grozić czeresznią.

XIV.

Bał się prezes pana Starzyckiego, nie dlatego, aby mu imponowała cnota i rozum, aby miał to przekonanie, że krzywda, uczciwemu i niewinnemu człowiekowi zrobiona, czy przedziej, czy później, odbiera zasłużoną karę; ale poprostu przez wzgląd na córkę, której determinacją znał, której miłość widział, chociaż udawał, że nic nie postrzega. Postanowił więc ponętą zysku trafić do jego przekonania i pojąć koniecznie i ten kawałek ziemi, który leżał w środku jego obszernej dziedziny i ciągle drażnił jego zdobywcze serce. Chciał naprzód przez Szłomę rozpocząć te negocjacje, ale Szłoma, z wielkiem podziwieniem prezesa, odradzał mu zaczepiać pana Starzyckiego, i niczego podjąć się nie chciał. Wysłał więc Mortka, i przez niego kazał mu ofiarować po siedemdziesiąt i po siedemdziesiąt pięć dukatów za duszę. Ale pan Starzycki odpowiedział, że ziemi, którą ojciec jego ciężką pracą wysłużył, którą on ulepszył, obrobił i upiększył, na której porodziły się i wychowały jego dzieci, za nic i nikomu nie odstąpi. Po niejakiem czasie znowu prezes przez jednego z swoich oficjalistów jeszcze korzystniejsze ofiarował warunki, ale taką samą odebrał odpowiedź. Wtenczas, nie zważając już na nic, mając, jak mówił, spokojne sumienie, wziął się do zwyczajnych środków. Klął go więc szpilkami drobnych przykrości i pretensyj, ale pan Starzycki znosił wszystko stale; szkody drobne, bez których nie mogło się obejść, wynagradzał pierwszy, o swoje się nie upominał, i nie okazywał najmniejszego śladu niecierpliwości. Zato dziadzio zżymał się, gniewał, unosił i nieraz groził czeresznią.

Dowiedział się o tem prezes, i uważając to za słabą stronę tej fortecy, której zdobyć nie mógł i która kapitulować nie chciała, postanowił <http://stroi.nauka.pl> przypuścić. Poznawszy

dobrze charakter, żywość i słabość starca, stosownie do tego plan swój ułożył.

Z lewej strony ogrodu pana Starzyckiego był ogród warzywny, niegdyś pana Cepowskiego. Obejrzawszy pozycję, prezes przekonał się, że zaraz za płotem była wielka szparagarnia, którą dziadzio sam założył; sam pielęgnował, i z której sam na wiosnę wyrzynał szparagi; że dalej był duży plac, zasadzony najpiękniejszymi truskawkami, z których najpierwsze niósł synowej; że dalej była szkółka szczepów najrzadszych i najstarszanniej utrzymana; słowem, że cały ogród był wzorowo urządzony, wszędzie czem użytecznem zajęty i jak ulubione dziecko czysty i wypielęgnowany. To było dosyć dla prezesa. Ogród ów przyległy zamienił na oborę i tam kazał trzymać wszystkie folwarczne świnię.

Krew uderzyła do głowy zacnego starca, gdy to spostrzegł. Chwycił za czeresnię, ale powoli, powoli zreflektował się i uspokoił. Całą noc jednak spać nie mógł, raz przez bojaźń o swoją pracę, drugi raz przez tę myśl, że to zrobiono umyślnie, na złość, na złość im, którzy nikomu krzywdy nie zrobili. Na drugi dzień jednak raniuteńko zapowiedział pastuchom, że jeżeli nie będą pilnować, i którakolwiek świnia wlezie do ogrodu, to naprzód świnię zastrzeli, a im kości połamie. Pogróżka ta doszła do prezesa i powiększyła jego apetyt. Tydzień przeszedł spokojnie. Ale jednego dnia o świcie posłyszał dziadzio jakieś gruchanie w ogrodzie. Zerwał się, ubrał się coperędzej, chwycił czeresnię, i gdy wyszedł, postrzegł z dziesiątek ogromnych świń, z całą progeniturą córek i synków rozkoszujących po szparagach, podrzucających w górę truskawki z korzeniami i buszujących w szkółce dziadziowej. Pastuchy, postrzegłszy dziadzia, weszli do ogrodu niby wypędzać. Wtenczas już dziadzio nie był panem siebie, rzucił czeresnię i jednego z pastuchów ugodził w plecy tak silnie, że ten upadł na ziemię. Przypadł do niego starzec, zaczął go bić, szarpać za włosy, i opamiętał się dopiero wtedy, gdy chłop wyrócił się na wznak, oczy w słupek postawił, i cały krwią się oblał. Wtenczas dziadzio odskoczył, załamał ręce, wspomniawszy na te przykrości i ambarras, jakie sprawi synów. Nie zważał już na świnię, które nie

przestawały ryc jego szparagarnią, i stojąc tak na miejscu z zakrytą twarzą nad konającym czy zemdlonym człowiekiem, starzec prawie ośmdziesięcioletni zapłakał. Przybiegł syn, zbiegł się domownicy, zaczęto odlewać i ratować człowieka, który po długich zachodach, nacieraniu wodą, octem i spirytusem, spójrzał nareszcie przytomniej, westchnął i zaczął przychodzić do siebie.

Ale i ze strony prezesa był już tam ekonom, był Mortko i wielu innych ludzi, przygotowanych widać na świadków. Gdy chłop przyszedł do siebie, rozebrano go i opatrzone znaki. Kiwał głową ekonom, kiwał Mortko, kiwali ludzie. Wyniesiono z wielką ceremonją pastucha, który iść czy nie mógł, czy udawał, że nie może; a pan ekonom wyprawił natychmiast posłańca do prezesa, a bryczkę i trzy konie posłał po sprawnika i lekarza powiatowego, dla zrobienia formalnego śledztwa. Łatwo sobie wyobrazić, w jakim stanie był zacny starzec, zagrożony kryminalnym procesem. — Najrozmaitsze uczucia go miotały; a ta myśl, że ściągnął taki kłopot i wrzawę na cichy i spokojny dom syna, że starą żonę, zgryzioną tym wypadkiem, wprowadził w chorobę i zaprowadził do łóżka, że stał się ofiarą zimnej i wyrachowanej złości egoisty bez czucia, przyprowadzała go do rozpacz, rozdzierającej serca obecnych. Szczęściem, że tego samego wieczora przyjechała Anulka i przywiozła starcowi żwawego i śmiejącego się prawnuka. Złagodził się cokolwiek jego ból i sen na kilka godzin pokrzepił jego siły.

Nazajutrz przyjechali sprawnik i lekarz powiatowy i rozpoczęło się śledztwo. Chłop wprawdzie miał się nieźle, i żadne niebezpieczeństwo mu nie groziło, ale z miny i mowy tych panów poznał pan Starzycki, że rzecz była naprzód ukartowana, jak to śledztwo poprowadzone być miało. Wtenczas strwożył się mocno i zasmucił głęboko niebezpieczeństwem ojca, którego kochał nad wszystko. Nie namyślając się długo, zdecydował się pan Starzycki pojechać do prezesa, i dla oszczędzenia zgryzot i wstydu starcowi, którego czcił, ugiąć się przed człowiekiem złym, którego nie szacował.

Anulka, dowiedziawszy się o zamiarze ojca, napisała list

do panny Kamilli, pelen rozpaczy. Opisała jej całe zdarzenie, wystawiła stan drogiego dziadka, odmalowała smutek, boleść, przestrasz, jaki padł na cały ich dom, dotąd tak cichy i spokojny; wspomniała o chorobie babki stąd wynikłej i o jej rozpaczy, że może umrzeć nie pobłogosławiwszy swego Józia; napomknęła jak mogła najdelikatniej o niesprawiedliwości prezesa, o przygotowaniu umyślnem całego tego nieszczęścia, słowem, każdy jej wyraz był silnym, rozdzierającym, mogącym poruszyć nawet obojętną osobę. Łatwo sobie wystawić, do jakiego stanu miał przyprowadzić pannę Kamillę, którą rzecz ta pod tak rozmaitemi względami interesowała.

Anulka tajemnie oddała list ten człowiekowi, jadącemu z ojcem, i poleciła mu, aby koniecznie oddał pannie do rąk. Było to dosyć trudno, ale przypadek pomógł.

Pan Starzycki, przyjechawszy, poszedł prosto do prezesa. Przechodząc przez salę, spotkał pannę Kamillę; przywitał ją z uszanowaniem, popatrzył przez chwilę z dziwnym jakimś wyrazem przywiązania i litości, i poszedł dalej. Zmieszana, rozrzewniona, rozdarła bolesnemi wspomnieniami, nie mogła słowa wymówić. Usiadła biedna, załamała ręce i łzy puściły się jej z oczu. Po kilkunastu minutach, przyszedłszy cokolwiek do siebie, zajrzała w okno, a obaczywszy powóz, wyszła, żeby choć z człowiekiem pomówić o tych, których tak kochała. Wtenczas furman zszedł z kozła, i poznawszy pannę Kamillę, oddał list Anulki. Chwyciła go coperędzej i pobiegła do swego pokoju.

Prezes przyjął pana Starzyckiego z miną pobożną i układną. Przechyliwszy głowę i puszczając wielkimi palcami najpowolniejszego młynka, zawołał:

— Jezus Marja! ktoby się spodziewał takiego nieszczęścia? Można się rozgniewać i unieść; ja jestem sam prędko; ale żeby człowiek w takim wieku tak się zapomniał? Biedny chłop umrze, jak mi mówiono.

— Ja sędzę, że panu prezesowi mówiono, że nie umrze — odpowiedział z powagą pan Starzycki.

— Ach! nie; mówiono, mówiono, że umrze.

— Kto to mówił, to skłamał — rzekł, czerwieniąc się cokolwiek zacny człowiek, oburzony widokiem takiej hipokryzji.

— Było za co się rozgniewać, to prawda — mówił dalej prezes; — ludzie starzy przywiązują się szczególnie do każdej trawki, którą wypielegnują. Ja sam lubię ogród, a szczególnie szparagi; ale żebym się tak uniósł, nigdy. Sumienie przede wszystkim. Życie człowieka, stworzonego na obraz i podobieństwo Boże, powinno być dla nas rzeczą świętą, i grzeszy, poddaje się całej surowości praw, kto się na nie targa, jeszcze za co? za trawkę! Jezus Marja! czy to się godzi?

— Panie prezesie! — rzekł z mocą, wyprowadzony z cierpliwości pan Starzycki — ja tu przyszedłem do pana z prośbą o umorzenie tej sprawy, która, jak przez pana przygotowana, skombinowana i wszczęta, tak i przez pana umorzona być może. Tymczasem pan przybrałeś ton kaznodziei i moralizujesz mnie. Nie mam ja pretensji do doskonałości, ale gdybyśmy zamienili role, i gdybym ja zaczął mówić, miałbym daleko więcej do powiedzenia. O tem pan wiesz dobrze.

Przygryzł wargi prezes, zaczerwienił się, potem, zacząwszy prędzej kręcić palcami, zapytał:

— Czy śledztwo już skończone?

— Śledztwo jeszcze nie skończone — odpowiedział pan Starzycki — bo widać, że ci panowie jeszcze nie wiedzą dobrze, jak pan chcesz, aby skończonem było.

— Jezus Marja! — odpowiedział prezes — cóż tu już odemnie zależy? Wszyscy żyjemy pod prawem, prawo nami rządzi, a nie my niem. Ja się do tego mieszać nie mogę i tym panóm dyktować, o co mają zapytywać, jak mają widzieć rany i stan umierającego. To od nich zależy dać zdanie, czy jest kryminal, czy nie.

— Uniesienie gniewu — odpowiedział pan Starzycki — jest zapewne nagannem, bo skutkiem jego może być zbrodnia, choć mimowolna. Ale kto zwolna wszystko przygotowuje, aby ten gniew wybuchnął, i z zimną krwią naraża dwóch ludzi, jednego na śmierć i kalectwo, a drugiego na zbrodnię, ten nie wiem, czem jest i czy mu wolno mówić o kryminalach.

— Nie rozumiem pana — odpowiedział prezes.

— Rozumiesz mnie pan bardzo dobrze, bo ja zawsze mówię, co myślę, a zatem tłumaczę się jasno. Ale prosiłem pana:

nie ciągnij mnie pan za język, abym nie powiedział więcej, niż chciałem; bo powtarzam panu, że mam dużo do powiedzenia; a powtóre, że przyszedłem tu nie z kazaniem, które byłoby grochem na ścianę, ale z prośbą.

Zagryzł znowu wargi prezes, i jeszcze prędzej kręcąc palcami, zapytał: — O cóż idzie?

— Czy chcesz pan, czy nie chcesz umorzyć tę sprawę? Gdybym to ja zrobił, lub mój syn, bądź pan pewnym, żebym się u pana ani pokazał. Znalazłbym sposoby bronienia się, jak znajdę i teraz, jeśli się pan upierać będziesz. Ale ponieważ tu idzie o starca prawie ośmdziesięcioletniego, ponieważ od tego zależy zdrowie, a może i życie mojej matki, dlatego przychodzę i proszę pana, i proszę usilnie, abys tę rzecz kazał skończyć zgodzeniem chłopca.

— Jezus Marja! czybym ja nie rad? Ale jeżeli umrze?... Pan się uśmiechasz... daj Boże! daj Boże, żeby nie umarł. Zapewne względy to ważne: stary ojciec, matka sędziwa! Z jednej strony wstyd, a tam może śmierć. Jezus Marja! czyjeżby się serce nie wzruszyło? a tem bardziej moje. Nie mówię ja, żebym mógł mieć jakiś wpływ na tych panów urzędników; niech mię Bóg uchowa, ludzi takich sprowadzać z drogi; ale mógłbym wpłynąć na mojego chłopca dobrą radą, wreszcie i pogróżką. Bo któż winien, jeżeli nie on, że nie patrzył, jak mu było przykazane? Ale cóż? ci nieszczęśliwi ludzie mówią mi zawsze, że takiego rodzaju sprawy będą ciągle, że temu nigdy nie będzie końca, póki cudzy poddani i obcy panowie będą we wsi. Dlatego, jeżeli pan przyjmiesz pewien warunek...

— Jedziesz pan przez Jampol i Ostróg do Czapliniac — rzekł pan Starzycki, uśmiechając się z politowaniem, a potem z twarzą poważną i surową dodał: — że pan tak krętą ścieżką prowadzisz rozmowę, tego panu nie mam bardzo za złe. Ta egzercycja może pana bawić jako dowód rozumu, a jeżeli doprowadza do pożądanego rezultatu, daje panu tę pociechę, żeś rozmawiał z głupim. Ale że pan tak zdaleka przygotowujesz także wypadki, i niby niechcący kopiesz jamy na drodze ludzi uczciwych, to coś więcej niż zabawka, to występek.

— A więc, pan chcesz, żebym mówił wprost — rzekł pre-

zes zupełnie innym tonem i głosem. — Otóż panu powiem, że mogę umorzyć tę brudną sprawę, ale pod pewną kondycją; dodaję oraz, że to jest kondycja *sine qua non*...¹

Tylko co chciał prezes wymówić to, czego się pan Starzycki oddawna domyślał, gdy nagle drzwi się otworzyły i weszła panna Kamilla z zapłakanemi oczyma, z surową twarzą i z listem w rękę.

Prezes zbladł cokolwiek, obaczywszy córkę. Rączki jego czempredziej i jakby machinalnie złożyły się na brzuchu i palce zaczęły się obracać. Panna Kamilla spojrziała na pana Starzyckiego, który powstał z wyrazem pełnym czułości i czci, i rzekła drżącym głosem:

— Drogi papo! pan Starzycki przyjechał tu prosić cię, abyś tę nieszczęśliwą sprawę kazał umorzyć. Dowiedziałam się o tem zdarzeniu z tego listu, i proszę cię także, kochany papo, niech się to skończy zagodzeniem chłopca.

— Nibyż to chłop nie człowiek — rzekł prezes, wróciwszy znowu do tonu słodkiego i pobożnego — że go można skaleczyć, a potem zagodzić.

— Wpuszczając szkodę do cudzej własności — odpowiedziała — i stając na drodze człowieka uczciwego, ale prędkiego, wiedział, na co się naraża, i nie zrobił tego zapewne bez obiecanej nagrody. Można mu tę nagrodę podwoić.

— A jeżeli umrze? — rzekł prezes, przygryzając wargi.

— Nie umrze pewnie — odpowiedziała z intencją. — I jak mu kazano leć i mdleć pod uderzeniami, tak, gdy mu każą wstać z śmiertelnej pościeli, upewniam cię, drogi papo, że wstanie i pójdzie.

— Jezus Marja! jakim ty tonem mówisz to — rzekł prezes, przechylając głowę.

— Mówię — odpowiedziała — tonem kobiety, której serce pęka od żalu i której czoło pokrywa się wstydem.

— Pięknie to jest, moje dziecię — odpowiedział — litować się nad cudzą biedą, a nawet nad cudzą nieroztropnością, która do niej doprowadza; ale nie widzę, dlaczegoby serce

¹ bez której nie... (załatwimy sprawę — trzeba się domyśleć).

twoje pękać miało, że człowiek stary zapomniał się, i dlaczegoś się wstydzić miała, że za swój błąd i uniesienie musi pokutować. To dla ciebie sprawa obca... idź sobie.

— O, mój ojcie! — odpowiedziała, przystępując bliżej — jak to źle, jak to źle, że mię zmuszasz powiedzieć ci to, co ci teraz powiem. Sprawa ta nie jest mi obcą. Pokój tych zacnych ludzi obchodzi mnie więcej niż mój własny, bo ich szanuję i kocham, bo to są rodzice tego, którego mi Bóg naznaczył za towarzysza w tem życiu, a którego mi, ojcie, dać nie chcesz, sądząc w grzesznej dumie, że wiesz lepiej niż niebo, co mi do szczęścia potrzebne. Dlatego serce moje pęka. Wstydę się zaś... — Tu umilkła i zakryła sobie twarz obiema rękami.

— Mów, mów! — rzekł zmieszany prezes, i nadrabiając miną. — Czego się wstydzisz?

— Wstydę się — rzekła, podnosząc głowę — wszystkich tych czynności, które się robią w mojem imieniu i dla mnie, a których ja nie chcę i nie aprobuję.

— Jezus Marja! — zawołał prezes — czy nie do mnie się to ściąga? i czy nie myślisz mnie sądzić?

— Nie wolno dzieciom sądzić rodziców — odpowiedziała z zapalem — ale grzech i rodzicom stawiać dzieci w takim położeniu, że muszą być lub ich współnikami, lub sędziami. Milczałam dotąd, mój ojcie!... i potrzeba było takiej bolesnej ostateczności, aby te słowa przedarły się przez moje usta, ale Bóg widzi, ile nocy przeplakałam, ile godzin przepędziłam na kolanach, aby cię niebo natchnęło innymi myślami. Bo nie takie są twoje czynności, mój ojcie, abym się nimi pysznić mogła. I nacóż to wszystko robisz? czy nie dla wzbogacenia mnie, jedynej swojej dziedziczki? Ja nie chcę tych grzesznych bogactw. I tak mam nadto, aby być nieszczęśliwą. Jeżeli umysł twój potrzebuje zajęcia, masz o ścianę marszałka, masz z drugiej strony hrabiego. Z nimi walcz, jeśli cię to bawi. Ale obarczać biednych całą siłą zimnej krwi, rozumu i pieniędzy, korzystać z ich nieuwagi, głupstwa, nieumiarkowania, a nawet szlachetnego gniewu... to nieuczciwe, mój ojcie, i ja umyłam ręce od wszystkich skutków tych machinacyj.

Oparł się prezes o poręcz krzesła i słuchał, przymrużywszy

oczy i błady jak ściana. Postrzegła to panna Kamilla, rzuciła się przed nim na kolana, i ręce jego całując, wołała:

— Ojczy! ja cię kocham. Bóg widzi moje serce. Uczyniże zadość prośbie córki, która wyrzekła się szczęścia całego życia, aby ci dowieść, że wolę twą szanuje.

— Idź precz, niewdzięczna dziewczyno! — krzyknął prezes, podnosząc się i drżąc z gniewu. A potem, zwracając się do pana Starzyckiego, dodał z gwałtownością: — Widzisz pan, do czegoście mnie doprowadzili, i czujesz to pewnie sam, czy macie teraz jakiegokolwiek prawo do mojego względu. Oświadczam więc wam, że nie doznacie żadnego, że was ścigać będę od dziada do wnuka, że jeden jest tylko środek, którym możecie uniknąć mojej zemsty, bo to już zemsta, tak, to wam objawiam jasno i wyraźnie. Jeżeli pan dziś, natychmiast, nie podpiszesz tych punktów, które oto są już gotowe, jeżeli mi nie dasz na piśmie, że się stąd wybieriecie daleko, i że was nigdy oczy moje nie obaczą, jutro ojciec pana poddanym zostanie pod sąd, jak kryminalista.

— Nie rób pan tego — rzekła panna Kamilla stanowczo.— Ten kawałek ziemi jest panu równie drogim jak i mnie. Zbywać go nie chcesz, nie możesz i nie powinienes. Pod tym dachem urodził się ten, któremu mnie Bóg nazaczył, i którego kochać będę do śmierci. Nikt tam nie powinien mieszkać i nie będzie mieszkać — dodała z mocą, — tylko ci, co mu dali życie, co go nauczyli być dobrym i uczciwym; co mu dali rozum i szlachetność; co mu przykazali nie korzystać ze słabości kobiety kochającej, której byłaby pewnie uległa, gdyby tylko był pisał słowo. Ojczy! ja cię jeszcze raz proszę, napisz do tych panów urzędników, aby sobie jechali; oddaj zapomnieniu tę sprawę i zostaw tych szanownych ludzi w pokoju. Pod tym tylko warunkiem powtarzam ci obietnicę i przysięgam na cienie mojej matki, że nie będę żoną pana Józefa Starzyckiego bez twojej woli i pozwolenia.

— A jeśli tego nie zrobię? — krzyknął prezes, drżąc cały i z twarzą purpurową od krwi, która uderzyła do jego głowy.

— Jeśli teraz zaraz nie dasz do rąk pana Starzyckiego listu, którego żądam, tej nocy jeszcze, bosa, ucieknę z twego

domu; pójdę piechotą na Podole i rzucę się w objęcia tego, który mi stanie za wszystko. Namyśl się, mój ojczy, abyś nie żalował, bo znasz mnie dobrze. Zrobisz, o co proszę, zostanę; nie zrobisz, pójdę, jak Bóg żywy i wielki. I wtenczas do tej zemsty, o której mówileś, przyłączysz i swoich własnych wnuków.

To powiedziawszy, wyszła. Pan Starzycki, przystępując do prezesa, który stał bez ruchu, z podniesioną głową, z opuszczonymi rękoma, których nawet spleść nie był w stanie, rzekł tonem poważnym i perswadującym:

— Panie prezesie! nie wiedz pan swojej własnej córki na pokuszenie i nie przyprowadzaj jej do nieposłuszeństwa. Dostycie masz grzechu, żeś ją zmusił powiedzieć ci gorzką prawdę i osądzić tak, jak cię sądzą ludzie, którzy przez ciebie cierpią, i jak cię osądzi Bóg, który to wszystko widzi.

Prezes nie odpowiedział; drżąc i milcząc, napisał list i oddał go panu Starzyckiemu, który skłonił się i wyszedł. Gdy przechodził przez salon, postrzegł tam pannę Kamille. Siedziała przy stoliku; głowa jej wsparta była na ręku, twarz okropnie blada, a oczy zwrócone ku drzwiom ojcowskiego gabinetu. W takiej pozycji, pełnej rozpacz, i w natężonym oczekiwaniu wypadku, od którego zależeć miało jej niezłomne postanowienie, wyglądała widać wyjścia pana Starzyckiego. Gdy postrzegła papier w jego ręku, zawołała:

— Masz pan? o, dzięki Bogu! — potem przystąpiła bliżej, położyła głowę na jego piersiach i mocno płakać zaczęła. Po chwili, utuliwszy się cokolwiek, dodała: — Jemu nic pan o tem wszystkim nie pisz. Rana jego odnowi się; a nam potrzeba wielkiego męstwa. — Po tych słowach zakryła sobie twarz i poszła powoli do swego pokoju. Patrzał za nią długo wzruszony do gruntu serca pan Starzycki, i po jego męskiej twarzy, na której tylko głęboka myśl się wyrażała, dwie łzy potoczyły się strumieniem.

XV.

Widać, że ten grzech wielki, który prezesowi postawił przed oczy pan Starzycki, dopełnił miary, bo odtąd i sam pre-

zes to uczul, i trwoga jakaś ogarnęła jego serce. Scena ostatnia, którąśmy starali się szczegółowo opisać, o mało że go o śmierć nie przyprowadziła, tak silnie krew wzburzona uderzyła mu do głowy. Skończyło się przecież tylko kilkodniową delirją, w której prezes ciągle rzucał się, coś marzył, coś niewyraźnie i bez związku szeptal, dając słyszeć tylko kiedy niekiedy wyrazy: — Jezus Marja! bosą ucieka, Starzycczyzna, osiemdziesiąt lat, kajdany, i t. p. — Panna Kamilla, która gorzko sobie wyrzucała ten stan ojca, nie odstępowała go na chwilę, otaczała wszelkimi staraniami dziecka, przejętego śmiertelną trwogą, i modliła się w duszy, gdy zaczął marzyć i wymawiał wyrazy, które sumienie do ust jego posyłało, a których rozum, osłabiony i skrzepowany gorączką, na dnie serca utrzymać nie mógł. Przyszł wreszcie prezes do siebie i wrócił powoli do dawnego stanu i dawnych myśli. Ale ufność w dawne siły i zręczność utraciwszy, zrobił się smutnym, gniewliwym, rozdrażnionym, tak, że najmniejsza okoliczność, która okazywała, że mu się zaczyna nie udawać, przyprowadzała go do gniewu, rzucała krew do głowy i wprawiała w kilkunastogodzinną gorączkę. Szczególnie ta myśl, że tak dobra okoliczność oczyszczenia Czapliniec wymknęła mu się z rąk, nieraz spać mu nie dawała; a wiele razy wracał z tej nowej swej majętności i poglądał na ten dom cichy i spokojny, na topole, które stały jak pierwszej przy bramie zamkniętej, na te jasne okna, z których wyglądał pokój, umiarkowanie i owa wyższość, jaką daje rozum, sumienie i wiara, wracał upokorzony, zirytowany, i każdą taką przejażdżkę odchorował. Cierpiała jego duma, że nie postawił na swoim, a uważał tę strzechę słomianą jako skałę granitową, o którą się rozbijają jego zamysły; widział z pomiędzy tych drzew wypielegnowanych wychodzącą rękę silną i młodą, która miała zagarnąć wszystko, co zbierał z takim wysileniem rozumu i chytryści, z tak wielką ekspensą sił i sumienia. Rozmaite szkody coraz większe utwierdzały go w tej myśli, że mu się już nic nie uda, że tu kres jego powodzeń. W tym czasie splonęła jego gorzelnia, umarł siostrzeniec, którego miał w zapasie dla postrachu panny Kamilli; potem, gdy dawał dyspozycje przy budowaniu wielkiego magazynu, spadł

człowiek ze stropu, na który zaciągano belki, o krok od prezesa i nogę złamał. Był to ten sam, którego nie tak dawno dzia-
dzio wybil. Widok ten przeraził prezesa, i myśl jakaś sprawie-
dliwości wyższej, surowej i nieublaganej, jak błyskawica prze-
darła się boleśnie przez jego głowę. Stał się więc jeszcze po-
sepniejszym, bardziej irytującym się, i chudł widocznie. Ale że
to był człowiek jak najmniej duchowy, chociaż miał rozum
i przebiegłość, im więcej się w nim odzywała dusza, a odzy-
wała się trwogą i straszącym głosem, tem więcej dogadzał swo-
jemu ciału i chwilowem ukontentowaniem chciał zatlumić
ciągle szeptanie niespokojnego serca. Jadł więc wykwintniej,
więcej i częściej niż dawniej, spijał najdroższe wina, odziewał
się w kosztowne jedwabie i miękkim puchem starał się sen
przywołać.

Raz, poniósłszy jakąś znaczną stratę, mocno zirytowany
siadł do obiadu; stół był zastawiony obficie, i prezes, mimo
prośb panny Kamilli, jadł i pił za czterech. Po obiedzie, z peł-
nym żołądkiem, z pełną głową, z bijącymi mocno pulsami i drże-
niem gwałtownem serca, poszedł prezes do gabinetu i usiadł
w swoim krześle. Głowa jego robiła się coraz gorętszą i w skro-
niach czuł bicie, jak młotem. Wtedy zjawił się Szłoma, któremu
kazał przyjść zaraz po obiedzie. Ze zwykłym uśmiechem i ele-
gancją wszedł żyd, uklonił się i zapytał o zdrowie.

— Jezus Marja! — odpowiedział prezes — alboż ty nie
widzisz, że się mam najgorzej? Schudłem okropnie, nieszcze-
gólny mam apetyt i serce mi ciągle bije.

— Tego nie widać — odpowiedział żyd; — jaśnie wiel-
możny pan wygląda bardzo pięknie. A co się tyczy schudnięcia,
to powiem jaśnie wielmożnemu panu, że to i lepiej. To jest
znak zdrowia.

— Łiesz, żydzie! — odpowiedział prezes. — Dla starego
to nie znak zdrowia; to znak, że się zsuwa, opada, niknie, aż
póki nie zaryją go w ziemię. Zwłaszcza, kiedy tak często krew
uderza i w skroniach bije, jak młotami.

— Skąd jaśnie wielmożnemu panu takie smutne myśli
przychodzą? — rzekł żyd z uśmiechem.

— Skąd? a skąd pochodzą wszystkie myśli, jeśli nie stąd

— stąd — rzekł smutno prezes, i ukazał na głowę i na serce. — Tu jest to, co pamięta dzień wczorajszy, a tu to, co przeczuwa jutrzejszy i drży przed nim. Ja czuję, że się zsuwam, że wkrótce pójdę z tego świata. Nic mi się już nie udaje: strata za stratą ostrzega, że mi już nie działać należy, ale rozpamiętywać com zrobił. A gdy wspomnę na to wszystko, to serce strwożone i drżące przesyła krew do głowy, aby zjadliwe myśli zalala. — To powiedzawszy, wziął się oboma rękami za skronie i mocno je ścisnął.

— Naco jaśnie wielmożnemu panu — rzekł Szloma z uśmiechem wzgardliwego politowania — dopuszczać sobie do głowy takie wyobrażenia? Prawda, poniósł jaśnie wielmożny pan straty znaczne, ale jakże się może obejść bez strat w gospodarstwo, chcę mówić, w gospodarstwie i w handlu? A przy takim majątku, jaki jaśnie wielmożny pan ma, to kropla w morzu. Straty, to rzecz zwyczajna; dlaczego je uważać za jakieś dopuszczenie, lub za karę?

— Dlaczego? dlaczego? — odpowiedział prezes — bo ja widzę palec Boży. Kiedy mi się spaliła gorzelnia, myślałem, że to przypadek. Ale kiedy mi siostrzeniec nagle umarł, który mnie jeszcze bronił od tych przeklętych Starzyckich, kiedy ten sam chłop, którego nastawiłem, aby złapać i rozdrażnić starca z białą głową i uczciwym sercem, upadł o pół lokcia odemnie i nogę złamał: to już nie był przypadek, nie! i tybyś tak myślał, gdybyś miał sumienie; aleś ty szelma, żyd.

— A przecież ja nie chciałem — odpowiedział Szloma z pewną godnością — podejmować się żadnych intrygi, chcę mówić, intryg, przeciwko państwu Starzyckim, i jaśnie wielmożnemu panu radziłem nie podnosić ręki na nich, bo to ludzie zacni i uczciwi i im wyraźnie Pan Bóg błogosławi.

— A czemuś ty mi nie radził — rzekł prezes — abym i innych nie gnębił? Choć byli nierozumni i głupi, choć sami leżeli w sidła, jak owce, ale zawsze to ludzie! Nie byłbym ich kusił, gdybyś mi był choć słowo powiedział. Aleś ty mi, huncwocie, pomagał, boś za to brał pieniądze. A teraz uśmiesz się, kiedy mnie się głowa rozrywa, i śpisz spokojnie, kiedy ja się przewracam na pościeli, jak potepieniec!

— Czyż to moja rzecz — odpowiedział żyd zawsze z uśmiechem — dawać jaśnie wielmożnemu panu lekcje moralności i miłości bliźniego? Mnie się zdaje, że jaśnie wielmożny pan powinieneś to być sam czuć doskonale i lepiej wiedzieć ode mnie, że kusić głupiego nie godzi się, że to wszystko jedno co pijakowi podawać ciągle wódkę, aby się na śmierć zalał, co przyprowadzić ślepego nad rów i kazać mu iść dalej, zachęcając, że tam już równa droga.

— A dlaczegoś — krzyknął prezes — nie gadał tak pierwszej?

— Jaśnie wielmożny pan — odpowiedział Szloma, kłaniając się — dawał mi od każdego kupna dobry procent.

— O, ty niegodziwy szachraju! — zawołał i podniósł się z pięściami, ale upadł nazad na krzesło i znowu chwycił się za głowę.

Wtenczas przyniesiono list od pani Włodzimierzowej Podziemskiej. Usłyszawszy prezes to nazwisko, ożywił się cokolwiek; usiadł prosto, jak dawniej, i usiłując spleść ręce na brzuchu, kazał sobie list przeczytać.

Uwładamiała go pani Włodzimierzowa krótko i zimno, że znalazłszy kupca na dwie wsi, które się znajdowały w zakładzie u prezesa, sprzedała je, i że pieniądze, które mu winna, a które na tych wsiach były oparte, znajdują się złożone w sądzie głównym w Żytomierzu, gdzie transakcja przyjętą została do akt, i gdzie dług swój wraz z procentem będzie mógł odebrać.

Był to cios silny, niespodziewany, i uderzył go jak piorunem. Nadzieja zagarnienia tych wiosek, po wyjściu bliskiego już terminu, była ostatnią pocięgą prezesa, ostatniem polem, na które spodziewał się jeszcze wystąpić i odżyć, ostatnią deską, na której jego duma z zalewu niepowodzeń wyratować się miała. Widząc, że ją utracił, jęknął głęboko, oparł się o krzesło i uczuł, że mu się w głowie zmieszało i krew gwałtownie na mózg napłynęła.

— Jezus Marja! — zawołał — co się ze mną robi?

— Może jaśnie wielmożnemu panu doktora? — rzekł żyd prędko.

Prezes nic nie odpowiedział, tylko trzymał się za głowę. — To może jaśnie wielmożnemu panu księdza? — dodał Szloma.

— Dobrze, dobrze, posyłaj — odpowiedział prezes, wstrząsnawszy się na te słowa i zwracając na żyda twarz okropnie czerwoną i wyrzeszczone oczy.

Wyszedł Szloma z gabinetu, i kazawszy posłać po księdza proboszcza do bliskiego miasteczka i po doktora, sam wrócił prędko i udał się do panny Kamilli, dając jej znać, że ojciec mocno chory. Zbladła jak ściana, jakby jakimściś przecuciem uderzona biedna panienska, i załamawszy ręce, zawołała: — O! tom ja temu winna! — Gdy przyszli oboje do drzwi gabinetu, zastali je ze środka na klucz zamknięte. Ale zaledwie kilkanaście sekund upłynęło, usłyszeli wewnątrz pokoju ryk okropny, potem silne stuknienie, jak gdyby co ciężkiego upadło.

W rozpacz zaczęła panna Kamilla szarpać drzwi; żyd wypadł, wołając na cały dom ratunku, a gdy się zbiegli ludzie i wylamali je, znaleziono prezesa na ziemi, z siną twarzą i bez życia. Widać uderzony był apopleksją. W rękę miał pióro konwulsyjnie ściśnięte. Chciał zapewne pisać testament, bo na arkuszu, który leżał na stole, były te wyrazy, nadzwyczajnie nieczytelne i krzywo zaczęte: W Imię... w Imię przenajświęt... potem jakieś znaki zupełnie niewyraźne.

Próżne były wszelkie usiłowania i ratunek. Obcierano go, oblewano wodą, trzeźwiono; Szloma nawet krew mu puścił scyzorykiem, ale krew pokazywała się tylko kroplami i zastygła natychmiast. Wtenczas Szloma zostawił pannę Kamillę na kolanach i w rozpacz przy zwłokach ojca, a sam, przyzwawszy jednego z oficjalistów za świadka, pozbierał i schował papiery i listy, i co tylko było na wierzchu, zamknął biuro, opatrzył zamki szuflad, szafek i szkatulek, i opieczętowawszy wszystko starannie, oddał klucze owemu oficjaliście, a pieczęć pannie Beldeau, aby ją oddała pannie Kamilli, gdy się cokolwiek uspokoi. Tegoż samego oficjalistę wyprawił znowu do proboszcza z uwiadomieniem, że już nie spowiadać, ale chować przyjdzie; a sam, wzięwszy z sobą starego pisarza, który wiedział, czego potrzeba dla przygotowania pogrzebu, dla żaloby panny Kamilli i dworu, ruszył tejże nocy do Krzemieńca.

Gdy na trzeci dzień potem paradny orszak żałobny przeciągał przez Czaplince, wyszli przed bramę państwo Starzyccy

i dziadzio. Pan Starzycki smutno poglądał na zamknięte między kilku deskami piersi, którym tak ciasno było na obszernej dziedzinie; pani Starzycka, patrząc na pannę Kamillę, idącą ze zwieszoną głową, z załamanemi rękoma za zwłokami ojca, płakała; a dziadzio zdjął czapkę i modlił się za duszę człowieka, który mu dał chwilę rozpaczy i tylko co nie przywiódł do zbrodni.

W parę dni po pogrzebie, Szloma z polecenia panny Kamilli wyjechał do Starego Konstantynowa, a stamtąd do Żytomierza. Gdy we dwa tygodnie powrócił i oddał jej wszystkie papiery, których żądała, panna Kamilla, przejrzawszy wszystko, rzekła:

— Winnam ci wiele podziękowania, Szloma!

— Czyż pani tego nie widzisz — odpowiedział żyd poważnie — jak mi miło pani służyć?

— Powiedziałam ci kiedyś, że możesz polegać na wdzięczności mojej, i nie zawiedziesz się. Czy chcesz u mnie zostać?

— Ponieważ żyda trzeba zapłacić, bo on niczego innego nie wart — odpowiedział z godnością — to jeżeli się pani w czemkolwiek przysłużył, inszej nagrody nie żądam.

Spójrzała na niego panna Kamilla i nie postrzegła już owego ironicznego uśmiechu na pięknej jego twarzy. Stał wyprostowany, patrzył na nią z zajęciem i oczy jego przymglone nie błyszczaly, jak zwykle.

— Twoja Rachela nie prędko jeszcze pójdzie za mąż? — zapytała panna Kamilla.

— Jeszcze nie mam nikogo — odpowiedział — komubym mógł powierzyć to piękne dziecko, które tak kocham.

— Niechże nie idzie — rzekła znowu zasmucona panienska — póki nie wrócę.

— Pani prędko wyjeżdża?

— Jutro — odpowiedziała, westchnawszy — i żądam od ciebie jeszcze jednej usługi. Ten list odeślesz do Trawisk, do jego siostry, a ten list i pakiet odwieziesz mu sam na Podole i oddasz do rąk. Wkładam na ciebie ten obowiązek dlatego, że pakiet zamyka w sobie ważne papiery, i boję się, aby nie przepadł, albo się <http://pauze.org.pl> nie zawierzył. Powiesz mu, żem

zdrowa, że nieszczęście moje znoszę mężnie, że ufam, iż mi Bóg przebaczy, żem zatrula ostatnie dni życia mego ojca i zgon jego przyspieszyła. — Potem, otarłszy łzy, mówiła po chwili dalej: — Powtórz mu moją prośbę, aby nie rozpieczętował tego pakietu, chyba wtenczas, kiedy się dowie, że ciało moje nie wytrzymało wielkiego żalu, który mnie obarcza, i że Bóg powołał mnie do ojca wcześniej, niżem myślała. Napisz mi, czy zdrów, ale on sam niech do mnie nie pisze. Co się tyczy ciebie, Szlomo, to zostawię moje rozporządzenie temu, komu oddaję rząd mego majątku, póki nie wrócę.

— Więcej mi pani nic nie ma do polecenia? — rzekł żyd prawie rozrzewniony, wzięwszy list i pakiet.

— I owszem, mam — odpowiedziała — i rzecz taką, którą uważam za święty dla siebie obowiązek, a nawet dla ciebie, Szlomo!

— Cóż to, proszę pani? — zapytał, patrząc ciekawie.

— Dzieci powinny nietylko modlić się za dusze rodziców, ale płacić ich długi, darować ich urazy i nagradzać krzywdy, które zrobili. Mój biedny ojciec niezupełnie czystą duszę zanosił przed sąd Boga. Byłabym jeszcze występniejszą córką, niż jestem, gdybym się nie starała nagrodzeniem krzywd, które zrobił, zmniejszyć jego winy i rozbroić surowość Sędziego, przed którym dziś stoi. Ty, Szlomo, pomagałeś mu w złem dziele, bądźże teraz moim pomocnikiem w dobrem. Jest to twój obowiązek i spełnisz go chętnie.

— Spełnię; tego pani możesz być pewna — odpowiedział żyd, patrząc na nią z podziwieniem. — Cóż mam robić?

— Dowiesz się o położeniu i stanie majątku tej wdowy z Żurawki, którą mój biedny ojciec procesował. Doniesiesz mi także, co się dzieje, gdzie się obracają, wiele i w jakim wieku mają dzieci ci wszyscy biedacy, którzy mieli w Czaplincach przytułek i kawałek chleba.

— Pani jesteś szlachetna istota — rzekł żyd ze łzą w oku. — Zrobię wszystko, co pani każe; to się i dzieciom moim przyda.

To powiedziawszy, rzucił okiem na krucyfiks, który stał obok panny Kamilli, spuścił oczy, potarł ręką po czole, odwrócił się i poszedł.

Na drugi dzień panna Kamilla z panną Beldeau pojechała do Lwowa, gdzie miała mieszkać przy ciotce; a tegoż samego dnia pan Hipolit Starzycki odebrał pakiet, w którym był klucz od pokojów jej ojca, naznaczenie go przez marszałka i sąd opiekunem i doradcą panny Kamilli, formalna plenipotencja na zupełne i bezwarunkowe zarządzanie jej majątkiem i list następujący:

»Nie mam nikogo na ziemi, kogobym więcej szanowała i czciła. Mam nadzieję, że i w sercu pana jest dla mnie uczucie przywiązania, pobłażliwości i opieki, jakie słaby i mimowolnie występny wzbudza w duszy silnej i sumiennej! Nie sądzę więc, abys mi pan wziął za złe, że się rozporządziła bez jego wiedzy, i nie prosząc nawet pozwolenia, wyrobiła sobie, że pana naznaczono moim opiekunem i poradcą. Jako pełnoletnia, mam prawo z poradą pana rządzić moim majątkiem. I w tem żądam jego pomocy, i posyłam na to formalną i bezwarunkową plenipotencją. Słaba i znękana, nie czuję się zdolną do wypełnienia tej powinności. Oto jest klucz od pokojów mego ojca, na biurku przy oknie leżą inne kluczyki, z karteczkami odpowiadającymi numerom zamków i szuflad. Nie wiem dobrze, co jest w jego papierach, bom nie miała serca i cierpliwości wszystko przejrzeć. Zdarłam tylko kilka weksli ludzi niebogaty, które mi wpadły w ręce. Widać, że mój ojciec nie miał zamiaru upominać się o te długi, bo to weksle dość dawne. O! nie był on tak złym, i ja tem występniejszą się czuję. Odeszlij pan zdarte weksle ich właścicielom; niech się modlą za jego duszę, i dla mnie także niech proszą o przebaczenie. Ile potrzeba będzie na ozdobę i uporządkowanie, według przyłączonego planu, grobowca mego ojca, na nakłady gospodarskie, na zapomożenie wieśniaków i przyprowadzenie ich do lepszego stanu, na to pan nie żałuj. Resztę dochodów, oraz całą sumę, złożoną w sądzie głównym przez panią Włodzimierzową, proszę zachować na użycie, które mi leży na sercu, a które mi może Bóg pozwoli przywieść do skutku. Mnie proszę nic nie posyłać. Wzięłam z sobą dosyć, a czego mi nie dostanie, to mi da ciotka, u której mieszkać będę we Lwowie. Tu zostać nie mogłam. Gorzkie wspomnienia ciężkiej winy

przeciwko temu, który mi dał życie, wypędzają mnie z domu. Więcej o nic pana prosić nie mam. Daruj mi tylko, że taki ciężar składam w ręce twoje bez wiedzy i zezwolenia. Żegnaj pana z sercem pełnym czci i uszanowania. Proszę pozdrowić odemnie żonę i matkę, której nie znam, ale którą mam ważne powody kochać. Dziadzi ręce całuję. Niech przebaczy memu ojcu i modli się za jego duszę. Tego się spodziewam po szlachetnym sercu starca, którego cała rodzina uwielbia. Do Anulki pisałam i pożegnałam ją. Jemu przesłałam także kilka słów pożegnania. Jeżeli umrę wcześniej, niżby mój wiek i siły spodziewać się kazaly, ostatnia wola moja znajduje się w jego ręku. Winnam mu wiele, bardzo wiele! i dług mój dla niego jest świętym».

W pierwszym postskryptom był adres do Lwowa, a w drugim co następuje: »Szłomę racz pan zostawić na miejscu. Mam mu wiele do zarzucenia, ale winnam mu także wdzięczność za ważne przysługi. Jest to piękna i wyższa natura, którą okoliczności i złe użycie zniżyło. Byłby to człowiek znakomity, gdyby był chrześcijaninem. O tem jestem zupełnie przekonana».

XVI.

Przechodziły tygodnie i miesiące. Panna Kamilla mieszkała we Lwowie u ciotki. Zawsze czarno ubrana, nie robiąca żadnych znajomości, do czego jej dom pobożnej i samotnej staruszki doskonale pomagał, codziennie przepędzała parę godzin w kościele; zresztą zajęta pracą, rozmyślaniami i wyszukiwaniem biednych, którzy jedni z całego miasta ją znali i oczekiwali jak anioła pocieszyciela.

Pan Józef mieszkał zawsze na Podolu. Pracował, uczył się; a gdy go tęsknota ogarnęła, gdy obawa i niepewność przeważała nadzieję, jaką się tajemnie karmił, wtenczas brał rękopism ojca i w nim czerpał siły i pociechę. Na wilją Bożego Narodzenia przyjechał do rodziców, jako w dzień uroczysty dla całej familji, w który wszyscy, dawnym obyczajem, musieli być obecni. Wtenczas odwiedził Szyszkowce, i z sercem na nowo rozranionem widokiem tego miejsca powrócił do domu.

Już przy końcu stycznia nagrobek marmurowy, przywieziony z Odessy, stał na cmentarzu parafjalnego kościołka. Obrzucały go nagimi dziś gałęziami bzy, dawniej przez kogoś posadzone, wśród których proboszcz naznaczył miejsce zwłokom prezesa, i okrażały go sztachety żelazne z drzwiczkami na klucz zamykanemi. Jak tylko robota ta była skończona, doniósł o tem pan Starzycki pannie Kamilli, zdając jej oraz sprawę z postępów gospodarstwa i stanu majątku. Pracował on wiernie, przyprowadził wszystko do porządku, zajmował się poddanymi, niósł im ulgę i pomoc, i każdej niedzieli dziedziniec jego był pelen ludzi, z których jedni przychodzili dziękować, a drudzy prosić.

Ze swojej strony Szloma także nie zależał pola, i już w połowie lutego panna Kamilla odebrała najdokładniejszą wiadomość o wszystkich dawniejszych dziedzicach Czaplńnic. Z niej dowiedziała się, że niektórzy pobrali dzierżawy na kontraktach w Dubnie, inni dostali miejsca ekonomów, a panowie Zarzycki i Cepowski miejsca rządców w kluczach możnych panów, ich zaś synowie przyjęci zostali do służby rządowej; że z tych pan Plachta najgorzej wyszedł, bo nie przestawał żyć komilfo i prawie ostatkiem gonil; że oprócz dwóch córeczek owej wdowy z Żurawki, było wszystkich panienek dorosłych i mniejszych dziesięć, a wszystkich chłopczyków, potrzebujących już szkół i jeszcze małych, szesnastu.

Przy końcu listu Szloma umieścił te słowa: »Wypełniłem rozkaz pani z największą akuratnością. Domyślając się celów pani, więcej zająłem się dziećmi, niż rodzicami, i tych spis dokładny, z oznaczeniem lat każdego, przylączam. Niech pani jeszcze co każe. Im więcej myślę nad przeszłością, tem więcej pragnę rozkazów pani. Ja czuję, że nie był stworzony do szachrajstwa i mógłbym być czem innem się zając.

»Pana Józefa widziałem niedawno. Był u rodziców na świętach. Smutny jest, ale zdrow. Mało mówiliśmy o pani, bo jemu lzy przeszkadzają, a on mężczyzna, wstydzi się płakać przy żydzie. Gdyby wiedział, co pani ze mnie zrobiła, toby tak nie myślał.

W miesiąc potem pan Starzycki odebrał od panny Ka-

milli list, w którym dziękuje mu za wszystko, co dla niej robił i robi, i prosi o wypełnienie poleceń, które mają ulżyć jej sercu co jej podadzą nadzieję przebaczenia, co może rozjaśnia jej duszę nadzieją szczęścia. Prosi go więc naprzód, aby dwie córeczki wdowy z Żurawki, chorej i skrzywdzonej przez dziadka, u którego trzymała posesję, Anulka wzięła do siebie, póki ona nie wróci i nie zajmie się ich wychowaniem i wyposażeniem sama. Matce zaś żeby dał jeden z dworaków w Czaplincach i naznaczył jej ordynarją. Powtóre: aby rodziców panielnek, wymienionych w przyłączonym spisie, uwiadomił w jej imieniu i upewnił formalnie, że każda z nich będzie miała po piętnaście tysięcy posagu, które odebrać może zaraz po ślubie. Potrzebie: aby uwiadomił rodziców wszystkich w spisie wymienionych chłopczyków, że, począwszy od lat dziesięciu aż do skończenia edukacji, naprzód w gimnazjum rowieńskim¹, a potem w uniwersytecie kijowskim, naznacza na każdego z nich po tysiąc dwieście złotych rocznie; że to utrzymanie nawet na przypadek jej śmierci zabezpieczonem dla nich zostanie.

Pan Starzycki wykonał święcie polecenia, tak zgodne i z jego sercem i przekonaniem, i przesłał jej o wszystkim wiadomość, oraz pakiet listów, w których wszyscy, rodzice i dorosłe już panny, wynurzali jej wdzięczność za takie dobrodziejstwo, i przyrzekali modlić się za duszę jej ojca i prosić Boga, aby jej dał pokój i szczęście. Przeczytawszy to wszystko panna Kamilla, kazała odprawić w ustronnym kościółku mszę żalobną, całą mszę leżała krzyżem i modliła się gorąco, a gdy ją ksiądz błogosławił i wodą święconą pokropił, powstała spokojniejsza i jakby odrodzona. Zdawało się jej, że słońce inaczej świeci, że świat boży inaczej wygląda, że na nim jest jeszcze nadzieja, że radość i szczęście mogą jeszcze mieszkać na ziemi. Odtąd i rumieniec zaczął na twarz jej powracać, i dawniejszy uśmiech ozdabiał niekiedy jej śliczne usta. Z wielką pociechą patrzyła na to panna Beldeau, która się serdecz-

¹ *Równo*, na Podolu; w mieście tem było po r. 1831 gimnazjum.

nie nudziła, ale przez przywiązanie do panny Kamilli nigdy jej tego poznać nie dała.

Dobrodziejstwa heroiny naszej prędko się rozgłosiły i miały pożądaný skutek. Pan Remigjusz i pan Paweł Smyczkowski, dowiedziawszy się o posagu pańien Plachcianek, pogodzili się z sobą i obaj, z lewej strony pokręcając węża, na znak zgody i ukontentowania, zajechali przed dom pana Plachty, który nie znalazł dla siebie dogodnej posesji i żył tymczasowo w miasteczku, uważając to za rzecz bardziej komilfo. Zastali tam zgromadzoną całą rodzinę. Pan Plachta, jako dyplomata, czytał gazety, pani Plachcina siedziała na kanapie, obok niej obie panny, a naprzeciwko siedział pan Jakób, grał na gitarze i śpiewał: *Te brzoż kilka*. Zacerwieniły się panienki, obaczywszy panów Smyczkowskich, i krzyknęły obie. Krzyk ten przerwał śpiew pana Jakóba w miejscu najpatetyczniejszym, to jest w połowie wyrazu: *Lucyna*. Wszakże nie gniewał się o to były czapliniecki Orfeusz, bo tegoż samego wieczora nastąpiło oświadczenie, a we trzy tygodnie potem, gdy pan Remigjusz przywiózł z Łucka indult¹ i dyspenzę² biskupa dla dwóch sióstr, wychodzących za dwóch braci, odbył się szlub solennie, i o tyle komilfo, o ile stawało funduszów. Wszakże pani Birucka, która mieszkała o sześć mil od państwa Plachtów, upewniała pod sekretem i ruszając ramionami, że wszystkie koszta na wyprawę i na szlubłożył tajemnie pan Jakób pod pretekstem pożyczki.

Po szlubie pan Remigjusz z żoną i pan Paweł z żoną pojechali do pana Starzyckiego, który im wypłacił natychmiast trzydzieści tysięcy.

Gdy ta wiadomość gruchnęła po okolicy, i gdy się przekonano, że to nie prosta obiecanka, ale że nie żartem wypłacają posag gotowizną i natychmiast, rzucono się do pozostałych jeszcze pięciu pańienek, z których panna Birucka starsza wyszła za pana Zarzyckiego młodego, a młodsza panna Birucka została panią Cepowską. Inne znalazły sobie także mę-

¹ *indult* — pozwolenie na odbycie ślubu po jednorazowych zapowiedziach.

² *dyspenza* — zwolnienie od przepisu (siostry wychodzące za dwu rodzonych braci potrzebowały dyspenzy).

żów, a niektóre nawet dobre partje. Niektórzy nawet na dwie małe córeczki państwa Skrętskich i na córeczkę państwa Pożyczkowskich obrócili oczy i postanowili na nie czekać.

Z chłopczyków sześciu zaczęło edukacją: dwóch pana Zarzyckiego, jeden pana Cepowskiego i trzech drobniejszej jeszcze szlachty. Inni czekali dziesiątego roku. Tych sześciu pan Starzycki sam odwiózł do Równa, oporządził i ulokował. Wszystkim zaś młodym mężatkom, którym oddawał posagi, wszystkim dziecióm, na które nadziewał szkolny mundur, wrażał w pamięć, aby nie zapominały, z czyich rąk odbierają tak wielkie dobrodziejstwo, że szlachetna kobieta, która je świadczy, innej wdzięczności nie wymaga, jak codziennej modlitwy za duszę jej ojca.

Tymczasem mijały tygodnie i miesiące, przeszło lato i jesień uchodziła. W połowie października, właśnie w rocznicę tego dnia, kiedy panna Kamilla poznała pana Józefa, wychodząc z fary, postrzegła przed kościołem podróżną karete. Wsiadł z niej młody człowiek niewielkiego wzrostu, ale czerstwej i przystojnej twarzy. Ozdabiała ją ładne wąsy, gęste włosy wychodziły z pod podróżnej czapeczki, a we wszystkich jego ruchach była jakaś pewność i żywość. Za nim wysiadła młoda, ładna blondynka, z śmiejącem się i uszczęśliwionem licem. Podał jej obie ręce ów młody człowiek i pomagał wysiadać z karety, z której ona z żywością i śmiechem wyskoczyła. Za nimi wysiadł trzeci mężczyzna, przyzwoicie ubrany, w czamarcie nowej i militarnie zapiętej, wąs miał rudawy i cokolwiek siwiejący, czapczkę na uchu, i we wszystkich jego ruchach widać było dawnego wojskowego. Gdy młoda para, wzięwszy się pod ręce, poszła do kościoła, furman rzekł do owego pana, który wysiadł ostatni:

— Proszę pana, czy mam tu czekać?

— A jużci tu, mosanie, póki państwo nie wyjdą z kościoła.

— A jak nas stąd spędzą? — zapytał furman.

— Ej! pluń na to, mosanie — odpowiedział wojak; — będziesz mi się bał Miemca z laską i rzemykiem. Małoś ich widział? Zjadłby mi sto djabłów który z moich... — mruczał po-

tem do siebie pan Siodłowski, którego zapewne czytelnicy poznali, i poszedł do kościoła.

Uderzona znajomą sobie twarzą, chociaż nadzwyczajnie zmienioną, zatrzymała się z boku panna Kamilla, i gdy pan Siodłowski się oddalił, posłała lokaja do ludzi zapytać, czyja to karetka i kto ta pani. Dowiedział się człowiek, że to powóz pana Henryka Podzińskiego, że ta pani to jego żona, i że wracają do matki na Wołyń. Serdecznie ucieszyła się tą wiadomością panna Kamilla i podziękowała Bogu, że i ten ciężar spadł jej z sumienia.

Pan Henryk, wyjeżdżając z domu, wziął z sobą Siodłowskiego na usilne prośby matki i dla jej uspokojenia. Przejechał Lwów i udał się prosto do Wiednia. Tam osiadłszy, z wielkiem nieukontentowaniem pana Siodłowskiego, który nie wiedział, co robić między Niemcami, zaczął życie twarde, pracowite i oddane wszelkiego rodzaju ćwiczeniom. Miał dwóch nauczycieli: jednego literatury, drugiego historii; wstawał o godzinie piątej, spał na twardym materacu, wyrzuciwszy niemieckie piernaty; codzień chodził do zupełnego umęczenia, fechtował się, uczył się strzelać, jeździć konno, i w szkole pływania był najzawziętym uczniem. Wspomnienie upokorzeń, których doznał, dodawało mu wytrwałości, a widoczne wzmaganie się sił, zręczność i śmiałość, których mu stopniami przybywało, obudziły wrodzoną odwagę i energją, które pierwotna edukacja uderzyła letargiem. Po roku takiej pracy zwiedził brzegi Renu, obszedł piechotą Szwajcaryją i wrócił do Galicji, do krewnych, których miał w stanisławowskim cyrkule¹. Tam poznał kuzynkę niezbyt bogatą, ale żywą, ładną, której się podobał. Ucieszony tem szczęściem, którego w chwilach rozpoczy nigdy się już nie spodziewał, aby się podobać kobiecie milej i edukowanej, przystał do niej sercem i duszą, i otrzymawszy po zwołeniu matki, ożenił się. Właśnie teraz wracał do domu, zdrów, śmiały i szczęśliwy, nie wiedząc o tem, że przechodził pod bokiem tej, która pierwsza obudziła w nim to uczu-

¹ w cyrkule — w okręgu. Małopolskę, nazwawszy ją Galicją, podzielił rząd austriacki na cyrkule (potem na starostwa).

cie poniżenia, w jakim się znajdował, i w którym byłby prędko zginął, gdyby jej wzrok, pelen życia i siły, nie padł był na niego, jak ożywiający promień słońca na roślinę bliską zwiędnięcia.

I znowu przechodziły tygodnie i miesiące, i zima się skończyła. Gdy przyszła wiosna, gdy się wszystko okryło zielonością, gdy ptaki śpiewały miłość, gdy kwiaty zwracały się ku sobie, gdy w powietrzu pełnem woni wszystko powoływało istoty żyjące do szczęścia i radości, panna Kamilla poczuła nieogarnioną tęsknotę, i zebrawszy się jednego wieczora po nieszpiorach, gdy się poradziła z Bogiem, nazajutrz wyjechała.

Dziadzio właśnie stał na ganku, w popielatej czapeczce na bakier, z toporkiem w rękę, gdy zajechała karetą, i panna Kamilla, w czarnej jeszcze sukni, z niej wyskoczyła, rzuciła się w jego objęcie, i zaczęła ręce jego całować. Plakał poczeiwy starzec, ścisł ją, i zaniósł prawie na rękach do pokoju. Nie będziemy opisywać przywitania jej z resztą familji, bo to są chwile święte, których nie godzi się profanować słowami. Dodamy tylko, że babunia przez cały czas nie puszczała jej od siebie. Trzymała jej rękę i wpatrywała się w tę twarz czarującą, na której zostały ślady cierpienia, głębszych refleksyj, a czyniąc ją poważniejszą, niż była, jeszcze ją piękniejszą robiły.

Nazajutrz pan Starzycki przybył do Szyszkowiec, i zdawszy jej sprawę ze stanu majątku i interesów, chciał jej zdać cały zarząd, który przez półtora roku sprawował. Ale panna Kamilla uprosiła go, aby to odłożył na potem, że jeszcze jej serce i głowa potrzebują wytchnienia i że niezdolna niczem się zająć. Tak przeszły dwa tygodnie na odpoczynku, na odwiedzaniu państwa Starzyckich w Czaplincach i na rozmowach, a niekiedy i na szeptach z babunią.

W połowie maja, już po dziesiątej wieczorem, na cmentarzu parafjalnego kościółka, stał oparty o kraty grobowca mężczyzna czarno ubrany i patrzył na pływający po niebie księżyc, który co chwila chmury zakrywały. Wtem posłyszał szelest i postrzegł zbliżającą się osobę w żałobie i z zakrytą twarzą. Przystąpiła do niego spokojnie, podała mu rękę i otworzywszy drzwi, weszła z nim razem. Tam ukłękli oboje i modlili się długo. Klony szumiały nad ich głowami, bzy rozkw-

tające błękitnymi kitami dotykały ich ramion, a księżyc, uwalniając się od chmur, które stopniami uciekały, zawisł nad nimi na czystym i błękitnym niebie. Po dwóch godzinach klęczenia wyszli. Ona zamknęła kratę, podała mu znowu rękę i poszła. On został jeszcze przez czas niejaki na miejscu, i także z wolna się oddalił.

Nazajutrz państwo Starzyccy odebrali bilecik od panny Kamilli, że jutro o godzinie jedenastej czeka ich wszystkich u siebie, i że prosi na wszystko, aby i babunia nie odmawiała jej tego szczęścia i przyjechała także, że przysze po nią karetę i spokojne konie, żeby jej było wygodnie i bezpiecznie. Babunia uśmiechnęła się jakoś nieznacznie, i przyrzekła, a posłaniec powrócił galopem.

Gdy na drugi dzień o godzinie jedenastej dziadzio, babunia wystrojona i wyświeżona i państwo Starzyccy weszli do pokoju w Szyszkowcach, zastali tylko pannę Beldeau, która ich przyjmowała, oświadczając, że panna Kamilla zaraz wyjdzie. Wkrótce zjawili się kilku oficjalistów, którzy także byli wezwani. Po chwili przybył i ksiądz próboszcz i przywitał wszystkich, nic nie mówiąc, poco przyjechał; pan Starzycki, widząc to, chodził niespokojny i tarł ręką czoło, a babunia nieznacznie uśmiechała się. Nareszcie otwarły się drzwi od bocznego pokoju, i wyszła panna Kamilla w białej sukni, z mirtym na głowie i z woalem. Nie miała na sobie żadnych ozdób, nie miała brylantów, jaśniała tylko poważną i dziwną pięknoscą. Prowadził ją pan Ignacy. Za nią szedł pan Józef ze spuszczonej oczyma, którego prowadziła Anulka.

Gdy wszyscy byli zadziwieni tym widokiem i uderzeni wdziękami obojga, podała rękę kochankowi panna Kamilla i uknęła z nim razem przed babką.

— Ty błogosław najpierwsza — rzekła rozrzewniona panni — on twój.

Pobłogosławiła ich staruszka ze łzami, dziadzio przyłączył swoje błogosławieństwo, wtenczas panna Kamilla, zwracając się do pana Starzyckiego, który stał zamyślony, rzekła:

— Ojcie! balam się twoich skrupułów, i dlatego ten sekret przed tobą. Twoja matka wiedziała o wszystkim i poblogo-

ślawiła. Daruj ty jemu i mnie, i pobłogosław. Myśmy dużo cierpiei, długo walczyli, i należy się nam cokolwiek szczęścia na ziemi. Proś za nami, mamó!

To powiedziawszy, upadli oboje na kolana przed rodzicami. Zwyciężony pan Starzycki, położył ręce na ich głowach i rozrzewnionym głosem rzekł:

— Widać taka była wola Stwórcy. Niech wam da szczęście, boście go warci oboje. — Matka także żegnała ich, płacząc. Otrzymaawszy błogosławieństwo wszystkich, weszli do sali, gdzie był przybrany ołtarz, przy którym stał już proboszcz.

Po skończonej ceremonji, pani Józefowa, obracając się do męża i podając mu obie ręce: — Józiu mój — rzekła — teraz razem do śmierci tu, a może Bóg da, razem i tam.

Objął ją uszczęśliwiony mąż, przycisnął do serca, i tak się wszystko skończyło.

Odtąd zgoda, miłość i pokój panują w tym domu. Kwitnie majątek, swywoją prawnuczki, rosną dziatki wyposażonych panienek, uczą się chłopczyki i poddani błogosławią; bo szczęście wysłużone walką, bo dobrymi czynnościami wyproszone przebaczenie za winy przodka, serca młodych małżonków oczyszczone od próżności, bo umiarkowanie i rozum ojca kieruje ich szlachetnymi popędami, a modlitwy dziadzia i babuni ciągle się nad nimi unoszą.



PAŁACZKI
 PAN
 INSTYTUT
 LITERATURALNO-ARTYSTYCZNY
 L I O T E K A
 00-390 Warszawa, ul. Nowy Świat 77
 Tel. 26-68-69

TREŚĆ.

WSTĘP. Napisał prof. Konstanty Wojciechowski	III
KOLLOKACJA	1—189

Pierwsza serja

BIBLIOTEKI NARODOWEJ

obejmuje:

- Kochanowskiego TRENY, w opracowaniu prof. *Tadeusza Sinki* (Nr. 1)
Słowackiego KORDJAN, w oprac. prof. *Józefa Ujejskiego* (Nr. 2)
Kochanowskiego ODPRAWA POSŁÓW, w oprac. *T. Sinki* (Nr. 3)
Niemcewicza POWRÓT POSŁA, w oprac. prof. *Stan. Kota* (Nr. 4)
Lenartowicza WYBÓR POEZYJ, w oprac. prof. *M. Janika* (Nr. 5)
Mickiewicza POEZJE (Tom I), w opr. prof. *Józefa Kalienbacha* (Nr. 6)
Słowackiego ANHELLI, w opracow. prof. *Józefa Ujejskiego* (Nr. 7)
Towiańskiego WYBÓR PISM, w oprac. prof. *Stan. Pigoń* (Nr. 8)
Felińskiego BARBARA RADZIWIŁŁOWNA, w opracowaniu prof. *Marjana Szykowskiego* (Nr. 9)
Brodzińskiego O KLASYCZNOŚCI I ROMANTYCZNOŚCI, w opracowaniu prof. *Aleksandra Łuckiego* (Nr. 10)
Mickiewicza DZIADY WILENSKIE, w opr. prof. *J. Kallenbacha* (Nr. 11)
Żółkiewskiego PAMIĘTNIKI O WOJNIE MOSKIEWSKIEJ, w opracowaniu prof. *Wacława Sobieskiego* (Nr. 12)
Słowackiego BENJOWSKI, w oprac. prof. *Juljusza Kleinera* (Nr. 13/14)
Kopernika WYBOR PISM, w oprac. prof. *L. Birkenmajera* (Nr. 15)
Słowackiego LILLA WENEDA, w opr. prof. *Miechata Janika* (Nr. 16)
Mickiewicza KSIĘGI NARODU I PIELGRZYMSTWA POLSKIEGO, w opracowaniu prof. *Stanisława Pigoń* (Nr. 17)
Kraśnińskiego PRZEDSWIT, w opr. prof. *Juljusza Kleinera* (Nr. 18)
Potockiego WIERSZE, w opracowaniu prof. *A. Brücknera* (Nr. 19)
Mickiewicza DZIADY, CZĘŚĆ III, w opr. prof. *J. Kallenbacha* (Nr. 20)
Pola PIESN O ZIEMI NASZEJ, w opr. dyr. *R. Zawilińskiego* (Nr. 21)
Fredry SŁUBY PANIENSKIE, w opr. prof. *Eug. Kucharskiego* (Nr. 22)
Czartoryskiej MALWINA, w opr. prof. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 23)
Kraśnińskiego NIEBOSKA KOMEDJA, w opr. prof. *J. Kleinera* (Nr. 24)
Korzeniowskiego SPEKULANT, w opr. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 25)
POLSKA PIESN LUDOWA, w opr. prof. *J. St. Bystronia* (Nr. 26)
Mickiewicza TRYBUNA LUDÓW, w oprac. red. *E. Haechera* (Nr. 27)
Korzeniowskiego KOLLOKACJA, w opr. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 28)
Słowackiego KSIĄDZ MAREK, w oprac. *St. Turowskiego* (Nr. 29)
Zaleskiego WYBOR POEZYJ, w opr. prof. *Józefa Tretiaka* (Nr. 30)
Długosza BITWA GRUNWALDZKA, w opr. *J. Dąbrowskiego* (Nr. 31)
Fredry ZEMSTA, w oprac. prof. *Eugenjusza Kucharskiego* (Nr. 32)
Pola PIESNI JANUSZA, w opr. prof. *Józefa Kallenbacha* (Nr. 33)
Brodzińskiego WYBÓR POEZYJ, w opr. prof. *Al. Łuckiego* (Nr. 34)
Konarskiego WYBOR PISM POLITYCZNYCH, w opracowaniu prof. *Władysława Konopczyńskiego* (Nr. 35)
Fredry PAN JÓWIALSKI, w oprac. prof. *Eug. Kucharskiego* (Nr. 36)
Ujejskiego WYBÓR POEZYJ, w oprac. prof. *M. Janika* (Nr. 37)
Bliźnińskiego PAN DAMAZY, w opr. *Dra Z. Nowakowskiego* (Nr. 38)
Romanowskiego DZIEWCZE Z SACZA, w opr. *Dr. St. Lama* (Nr. 39)
Reja WYBÓR PISM, w oprac. prof. *Aleksandra Brücknera* (Nr. 40)
Krasickiego DOSWIADCZYNSKIEGO PRZYPADKI, w opracowaniu prof. *Bronisława Gubrynowicza* (Nr. 41)

- Kraśnińskiego IRYDION, w oprac. prof. *Tadeusza Sinki* (Nr. 42)
- Słowackiego MINDOWE, w opracow. prof. *Wiktora Hahna* (Nr. 43)
- Goszczyńskiego ZAMEK KANIOWSKI, w opr. prof. *J. Tretiaka* (Nr. 44)
- Sowińskiego WYBOR POEZYJ, w opr. dyr. *Wł. Brydy* (Nr. 45)
- Malczewskiego MARJA, w oprac. prof. *Józefa Ujejskiego* (Nr. 46)
- Słowackiego POWIEŚCI POETYCKIE, w opr. *M. Kridla* (Nr. 47)
- SIELANKA POLSKA XVII WIEKU, w oprac. *A. Brücknera* (Nr. 48)
- Słowackiego TRZY POEMATA, w opr. prof. *Józ. Maurera* (Nr. 49)
- Goszczyńskiego KROL ZAMCZYSKA, w opr. prof. *J. Tretiaka* (Nr. 50)
- Słowackiego BALLADYNA, w opr. prof. *Juljusza Kleinera* (Nr. 51)
- Polá MOHORT, w opracowaniu prof. *Aleksandra Łuckiego* (Nr. 52)
- Kraszewskiego STARA BASN, w opr. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 53)
- Syrokomli WYBOR POEZYJ, w oprac. prof. *Fr. Bielaka* (Nr. 54)
- Kraszewskiego BUDNIK, w oprac. prof. *Wiktora Hahna* (Nr. 55)
- Mochackiego O LITERATURZE POLSKIEJ XIX WIEKU, w opracowaniu prof. *Henryka Życzyńskiego* (Nr. 56)
- Słowackiego SEN SREBRNY SALOMEI, opr. *S. Turowskiego* (Nr. 57)
- Kraszewski POWROT DO GNIAZDA, w opr. *W. Hahna* (Nr. 58)
- Galla-Anonima KRONIKA, w oprac. prof. *R. Grodeckiego* (Nr. 59)
- SREDNIOWIECZNA POEZJA POLSKA SWIECKA, w opracow. dra *Stefana Vrtel-Wierczyńskiego* (Nr. 60)
- Rzewuskiego LISTOPAD, w oprac. prof. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 61)
- Paska PAMIETNIKI, w oprac. prof. *Aleksandra Brücknera* (Nr. 62)
- Korzeniowskiego KARPACCY GORALE, w opr. *W. Hahna* (Nr. 63)
- Norwida WYBOR POEZYJ, w oprac. prof. *St. Cywińskiego* (Nr. 64)
- SREDNIOWIECZNA PIEŚN RELIGIJNA POLSKA, w opracowaniu prof. *Aleksandra Brücknera* (Nr. 65)
- Mickiewicza POEZJE (Tom II), w opr. prof. *J. Kallenbacha* i prof. *J. Bystrzyckiego* (Nr. 66)
- Asnyka WYBOR POEZYJ, w opr. prof. *Eug. Kucharskiego* (Nr. 67)
- SREDNIOWIECZNA PROZA POLSKA, w opracowaniu prof. *Aleksandra Brücknera* (Nr. 68)
- Anczyca KOŚCIUSZKO POD RACŁAWICAMI, w opracowaniu prof. *Jana St. Bystronia* (Nr. 69)
- Skargi KAZANIA SEJMOWE, w opr. prof. *Stanisława Kota* (Nr. 70)
- Kraszewskiego DZIECIĘ STAREGO MIASTA, opr. *W. Hahna* (Nr. 71)
- Mickiewicza KONRAD WALLENROD, w opr. *J. Ujejskiego* (Nr. 72)
- Zimorowica ROKSOLANKI, w oprac. prof. *A. Brücknera* (Nr. 73)
- Mickiewicza GRAŻYNA, w opracowaniu prof. *Henryka Życzyńskiego*, z wstępem prof. *Józefa Tretiaka* (Nr. 74)
- Potockiego WOJNA CHOCIMSKA, w opr. prof. *A. Brücknera* (Nr. 75)
- Słowackiego MAZEPA, w opr. prof. *Bron. Gubrynowicza* (Nr. 76)
- TOWARZYSTWO FILOMATÓW, w opr. prof. *Al. Łuckiego* (Nr. 77)
- Anczyca OBRAZKI DRAMATYCZNE LUDOWE, w opracowaniu prof. *Jana St. Bystronia* (Nr. 78)
- Mickiewicza PISMA ESTETYCZNO-KRYTYCZNE, w opracowaniu prof. *Henryka Życzyńskiego* (Nr. 79)
- Trembeckiego WYBOR POEZYJ, *SOFIÓWKA*, w opracowaniu *Władysława Jankowskiego* (Nr. 80)

F
23120